



Maria Kączkowska
Ojciec Kolbe

Maria Kączkowska

Ojciec Kolbe

Niepokalanów – 1975

Wstęp

Oddajemy do rąk Czytelnika książkę nieco odmienną od dotychczasowych publikacji o świętym O. Maksymilianie Kolbem.

Jeżeli prawdą jest powiedzenie, że "miłość jest sztuką, tak samo jak sztuką jest życie", to w odniesieniu do O. Kolbego, bohatera i męczennika z miłości, ciekawi nas, jak zdobywał on umiejętność miłowania, której ukoronowaniem była ofiara dobrowolna z własnego życia, by ocalić życie drugiego człowieka. Ofiara nie odruchowa ani spontaniczna. O. Kolbe podjął ją zdecydowanie, świadomy okrutnych cierpień powolnej, głodowej śmierci w bunkrze hitlerowskiego obozu zagłady. Tutaj był szczyt jego życia, jego sztuki miłowania.

Opanował ją doskonale, aż do granic bohaterstwa, heroizmu, męczeństwa z miłości. I za to Kościół wyniósł go do chwały ołtarzy.

U jakich mistrzów uczył się O. Kolbe sztuki miłowania?

Powszechnie wiadomo, że przyszłe postawy człowieka w dużej mierze warunkuje atmosfera okresu dzieciństwa. Ważną więc rolę w formowaniu osobowości odgrywa środowisko rodzinne, koleżeńskie, sąsiedzkie, międzyludzkie. I właśnie na ten aspekt Autorka zwróciła szczególną uwagę. W sposób prosty, bezpretensjonalny, a jednocześnie wiarygodny, bo oparty na faktach, uchyliła rąbka tajemnicy z życia rodziny Kolbów, małego Rajmunda, potem lwowskiego gimnazjalisty, kłeryka, kapłana-zakonnika, apostoła-misjonarza na Dalekim Wschodzie, głośnego wydawcy i w końcu ofiary całopalnej w obozie oświęcimskim.

Kolbowie byli tkaczami. Wywodzili się z ludu, stanowili przeciętną rodzinę robotniczą, tyle tylko że kwitła w niej głęboka kultura religijna i patriotyczna. Przy stosunkowo miłej atmosferze w domu, Kolbowie doznali wielu zawodów i niepowodzeń: częste przeprowadzki - ze Zduńskiej Woli do Łodzi i Pabianic, bezrobocie, strajki, bankructwo sklepowe, bieda, okupacja. A jednak w żadnych okolicznościach nie stracili ducha żywej wiary, optymizmu, sąsiedzkiej solidarności i nadziei doczekania lepszych czasów w wolnej ojczyźnie.

Rajmund dzielił losy rodziny od lat czternastu. Później kształcił się przez 5 lat w zakonnej szkole średniej we Lwowie, następnie odbył studia wyższe w Rzymie uwieńczone dwoma doktoratami i tam został wyświęcony na kapłana. Po siedmiu blisko latach pobytu w Wiecznym Mieście wrócił do ojczyzny i rozpoczął samodzielną pracę apostolską zawsze w oparciu o posłuszeństwo wobec przełożonych zakonnych. Wreszcie wojna. Pawiak i obóz koncentracyjny.

Jego dzieciństwo, chociaż zwyczajne, szare, utkane wieloma wyrzeczeniami, kryło w sobie zarodki przyszłej wielkości. Sprzyjała temu gorąca, serdeczna więź rodzinna Kolbów, duże poczucie wspólnoty parafialnej, zawodowej, społecznej i narodowej, a także bezgraniczne zaufanie Kolbów do Boga i Kościoła.

U Rajmunda, późniejszego O. Maksymiliana i świętego, zdolność do miłości i poświęcenia kształtowała się w określonej kulturze poszczególnych środowisk, w jakich wzrastał. Na przykładzie własnych rodziców, wychowawców w zakonie i bohaterów "Trylogii" Sienkiewicza O. Kolbe uczył się wielkiej prawdy, że miłość jest niezwykłą energią w człowieku. Tę prawdę uznawał, nią żył i w niej się ćwiczył. "Tylko miłość jest twórcza, nienawiść prowadzi do zguby" - wlewał słowa pociechy w serce kolegi-współwięźnia, który pod osłoną zmroku przywarł do jego pryczy obozowej prosząc o spowiedź. Tylko miłość pobudza do miłości - tłumaczył swoim braciom zakonnym - nie da się ona nakłonić ani przymusić. "Miłość, która się od kogoś czegoś spodziewa, nie jest prawdziwą miłością". Może dlatego właśnie, że tak bardzo miłował, sprawiedliwie i po bożemu, zdobył do współpracy wyjątkowo liczne grono zakonnych Braci-robotników, których uważał za swoje dzieci, w duchu wiary zrodzone dla sprawy Bożej, dla sprawy Niepokalanej. Może dlatego też jako wydawca kilku czasopism zyskał tak niebywałą liczbę czytelników zarówno w Polsce jak i na innych kontynentach.

W rozumieniu chrześcijańskim prawdziwa miłość identyfikuje się z pojęciem moralnej doskonałości, czyli świętości. Jej źródłem jest Bóg. "Bogiem jestem, nie człowiekiem; pośrodku ciebie jestem Ja - Święty, i nie przychodzę, żeby zatracić" (Oz 11, 9), "Bóg jest miłością" (1 J 4, 8). Na pewno świętość O. Kolbego nie wyskoczyła z nagła. Musiał ją zdobywać w ogromnym trudzie, pracy i cierpieniu przez całe życie bardzo bujne i bogate.

Książka próbuje ukazać rozwój świętości Rajmunda Maksymiliana Kolbego. Autorka, wysokiej klasy pedagog, znana w warszawskim środowisku starszej inteligencji katolickiej, prowadziła ożywioną działalność katechetyczną na terenie stolicy. Przez 15 lat uczyła religii w szkole ćwiczeń Seminarium Nauczycielskiego Katolickiego Związku Polek, prężnej organizacji społecznej kobiet w okresie międzywojennym, później w Seminarium dla Przedszkolank zorganizowanym przez tenże związek. Przy Związku Polek istniało Koło Katechetek. Rozwinęło ono bardzo piękną, dynamiczną pracę społeczno-oświatową. Biorąc czynny udział w pracach społecznych Koła, Autorka okazała się gorącą zwolenniczką nowej metody nauczania prawd wiary, mianowicie wprowadzenia do programu czytanek religijnych. Na skutek powyższej akcji razem z p. Janiną Kotarbińską powzięła myśl założenia pisma stanowiącego pomoc w nauczaniu wiary. Powstał więc miesięcznik pt. "Radość Życia". Pismo, w tym charakterze, zostało dopuszczone przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego i wkrótce osiągnęło nakład 15.000 egzemplarzy.

Podczas okupacji przy departamencie Kształcenia Nauczycieli Ziem Zachodnich istniały tajne komplety, a następnie kursy repolonizacyjne dla przedszkolank. Pani Kączkowska włącza się w nurt podziemnej pracy oświatowej i prowadzi wykłady z zakresu metodyki nauczania religii i literatury dziecięcej. Ponieważ po wojnie odczuwano zapotrzebowanie na hagiografię, a nie było odpowiednich materiałów, wyszło spod jej pióra kilka książek o wybitnych świętych, które zyskały pochlebny opinię: "Mała Nelli. Pierwsza Komunia święta", Warszawa 1947, wyd. 3; "Przyjdź, Panie Jezu! Przygotowanie do Pierwszej Spowiedzi i Komunii świętej", Warszawa 1947; "Pierwsza Komunia święta na wsi. Czytanki religijne na klasę III", Poznań 1937; "Zwycięzca. Dziecięce lata O. Williama Doyla", Warszawa 1947, wyd. 2; "Kwiaty mówią. Życiorys św. Teresy z Lisieux", Kraków 1948; "O Janku przywódcy młodzieży" - rzecz o św. Janie Bosco, Warszawa 1948; "Chrystian", Warszawa 1948.

Opowiadania o O. Kolbem Autorka oparła na faktach z życia, wychodząc ze słusznego założenia, że fakty są jego najbardziej autentyczną ilustracją.

Wydawca żywi nadzieję, że lektura niniejszej książki wniesie do polskich rodzin katolickich dużo optymizmu, uwrażliwi je na dobro wspólne, dopomoże w wychowaniu szlachetnych, ambitnych i pracowitych jednostek. Czytelnik znajdzie w książce pokrzepienie i odpoczynek. Młodzi zachęcą się do wytrwałości i wysiłku w zdobywaniu wiedzy i kwalifikacji zawodowych, starsi odetchną z ulgą i jeszcze raz przeżyją swoją młodość, bo czytając rozdziały z młodzieńczych zabaw Rajmunda przypomną sobie rozrywki własnego dzieciństwa.

Autorka niczego nie narzuca. Przybliży tylko fakty z życia rodziny Kolbów. Sam Czytelnik zechce ocenić atmosferę i kulturę poszczególnych środowisk, które złożyły się na kształtowanie postawy życiowej Rajmunda Maksymiliana Kolbego. Sam niech osądzi troskę i poczucie odpowiedzialności Bohatera tej książki, jego poszanowanie i poznanie Boga, ludzi, spraw zwyczajnych, codziennych, takich jak nasze szare dni. Bowiem w szarzyźnie codzienności Rajmund Maksymilian Maria Kolbe sięgnął po "kariere" świętości, którą dziś podziwia cały świat.

"Nikt nie ma większej miłości niż ten, kto daje życie za przyjaciół swoich" (J 15, 13).

Redakcja

I. Na Browarnej

Mieszkanie na ulicy Browarnej było duże, jednoizbowe. Na środku stały cztery masywne warsztaty tkackie. Przez cały tydzień biegały po nich w tę i w tę stronę czółenka, stukająca drewniana rama z osnową i wypływał z niej miękko świeży zwój płótna.

W jednym końcu izby za szafą i zasłoną stała łóżka Kolbów. Na zwykłej staroświeckiej komodzie Maria urządziła ołtarzyk.

Tu było święte miejsce rodziny Kolbów: duży, ładny obraz Jasnogórskiej Pani, kwiaty i czerwona lampka oliwna. Tu zbierali się domownicy na modlitwę: czeladnik, terminatorzy, sąsiedzi... Tu oddawano Matce Bożej swoje życie i śmierć, smutki i radości, ciężką dolę robotników i los Ojczyzny, rozdartej przez trzy państwa zaborcze.

W drugim końcu izby stała kuchnia. Matka, Maria Kolbowa, miała dość roboty, żeby wyżywić wszystkich. Dwuletni Franuś płatał się pod nogami, pokrzykując wesoło, a w kołyszce leżał nakarmiony Rajmundek.

Urodził się miesiąc temu, 8 stycznia w roku Pańskim 1894, i tego samego dnia został ochrzczony. Mróz był wtedy siarczysty. Dzisiaj też wiatr hula po łąkach. Matka przysunęła go z kołyską bliżej kuchni, żeby się nie zaziębił i, obierając ziemniaki, coraz to spoglądała na dziecko.

Jeszcze tak niedawno ani myślała wychodzić za męża. Rodzice wychowali ją po katolicku i Maria była bardzo pobożna. Kochała Matkę Bożą za Jej niepokalaną czystość i chętnie wstąpiłaby do zakonu, aby ofiarować Bogu swoje młode życie. Ale w zaborze rosyjskim nie było zakonów. Trudno. Wola Boża. Maria pogodziła się z nią i zaczęła pracować w parafii. Postanowiła wypełniać pilnie swoje obowiązki. Mieszkała u rodziców w Zduńskiej Woli, zajmując się tkactwem.

Nieśmiała i małomówna, obmyśliła sobie dokładnie, jakie życie chce prowadzić. I wtedy zjawił się Juliusz Kolbe, wysoki, przystojny, wesoły. Maria poznała go w kościele. Juliusz był dobrym katolikiem. W niedzielę widziała go zawsze, jak się modlił z książki do nabożeństwa, klęcząc na oba kolana. Był zelatorem Kółka Różańcowego, a ksiądz proboszcz cenił go bardzo.

Gdy się oświadczył, Maria powiedziała: tak, ale od razu postawiła swoje warunki. Nie będzie pił i nie będzie palił papierosów. Będą żyli po bożemu, po katolicku. Pan Bóg ma rządzić w rodzinie, a nie grzech.

Pobrali się w kościele Najświętszej Panny. Wkrótce po ślubie wstąpili obydwójce do III Zakonu św. Franciszka. Trzy lata zleciały jak z bicza trzask. Juliusz nigdy głosu nie podniesie, złego słowa nie powie - dobry mąż. W domu panuje zgoda i spokój, a jak się zejdą wieczorem znajomi, to i wesołość. Nie potrzeba im wódki ani wina - śpiewają i śmieją się. Juliusz gra na skrzypcach pieśni religijne i narodowe, a potem goście i swoi - wszyscy klękają do różańca. Czasem i ksiądz proboszcz z nimi posiedzi, albo ksiądz Włodzimierz Jakowski, który jest ich szczerym przyjacielem.

Uśmiechnęła się Maria do tych myśli. Tymczasem Mundzio obudził się i zaczął płakać, więc utuliła go i obejrzała się na zegar, który dokładnie właśnie wydzwonił dwunastą.

Wrócił wkrótce Juliusz od fabrykanta. Zdjął czapkę i powiedział pochwalonego. Położył w kąciku toboł z przędzą i uśmiechnął się do Franusia, który przybiegł się z nim przywitać.

- Wszystko u nas idzie jak w zegarku - rzekł wesoło. - A najlepszy zegar to głód. Jak się jeść chce, to i do domu śpieszno. - Nie usiadł jednak, tylko poszedł do warsztatów sprawdzić robotę terminatorów, którzy mu często psuli płótno.

Dopiero gdy Maria zawołała: "chodźcie na obiad; co Bóg dał, to zjemy" - zaczęli myć ręce i szykować się.

Ziemniaki dymiły na półmisku, żur pachniał majerankiem, a na środku stołu leżał czarny, grubo mielony chleb. Choć było ubogo, nikt nie narzekał. Najedli się i obcierali wąsy. Potem prostowali kości, zaczynała się pogawędka z majstrem, który zawsze miał jakieś nowiny.

W niedzielę matka pilnowała, żeby się nikt nie spóźnił na Mszę św. Juliusz, starannie ogolony, szedł naprzód z książką do nabożeństwa. Wyglądał godnie i odświętnie. Obok niego Maria, drobna, szczupła, z miłym uśmiechem prowadziła Franusia za rączkę.

Oboje pragnęli, by Franuś został księdzem, by spełnił ich własne marzenia o służbie Bożej. Był ich pociechą i dumą. Rajmundek został w domu z cicią Andzią, gdyż był jeszcze malutki. Z oczkami wpatrzonymi gdzieś w dal, był także bardzo kochany, ale to nie Franuś.

Ileż to razy, gdy matka prowadziła Franusia do kościoła, myślała o tym, że kiedyś ujrzy go przy ołtarzu.

- Panie Boże - prosiła - Ty wiesz, jakie są życzenia mego matczynego serca. Ofiaruję Ci na służbę syna pierworodnego. Wysłuchaj mnie, jeśli taka jest Twoja święta wola - dodawała pokornie w obawie, aby nie zgrzeszyć zbyt dużą śmiałością wobec Pana nieba i ziemi.

II. Pan aptekarz

- Ja takiej roboty nie chcę. Tego nikt nie kupi - grymasił kupiec-fabrykant. Odrzucił całą sztukę płótna i urwał skąpy tygodniowy zarobek rodziny Kolbów.

Juliusz miał usposobienie łagodne i wielką ufność.

- Jakoś tam Pan Bóg zaradzi, że nie zginiemy - myślał w ciężkich chwilach. Ale dzisiaj wrócił do domu stroskany. O robotę było coraz trudniej. Nie przyniósł ani motka przędzy.

- Nie chciał ci dać roboty? - spytała Maria, patrząc bystro na męża.

- Nie. Mówił, że ludzie teraz mało kupują, bo jest bieda.

- Z czego będziemy żyli? Coś trzeba zmienić.

- Ale co? - rzekł zamyślony Juliusz. - W Zduńskiej Woli niełatwo o robotę.

- To się przenieśmy gdzie indziej. Nie martw się; Matka Boża nas nie opuści - mówiła z przekonaniem Maria. Twarz jej zarumieniła się z lekka. Nie dojrzał na niej przygnębienia. Wiedział, że nie dba o pieniądze. Chce być uboga na wzór Chrystusa, ale przecież żyć trzeba.

Po naradzie postanowili przenieść się do Łodzi. Juliusz poszedł do fabryki jako tkacz. Cały dzień stał teraz przy warsztacie w dusznej hali fabrycznej i zarabiał pół rubla dziennie. Zaledwie wystarczało im na życie.

W Łodzi przybył im trzeci syn. Dali mu na imię Józef i wyprawili chrzciny jak należy.

Wkrótce potem przenieśli się do Pabianic, gdzie w dzielnicy zwanej Jutrzkowice wynajęli mały lokal, w którym założyli warsztat tkacki i sklep spożywczy. Sklep zdawał się mieć zapewnione powodzenie. Towary dostawali na kredyt i Maria zakrzętnęła się koło porządków. Urządzili sklep czysto i schludnie. Zdawało się, że wszystko pójdzie dobrze - i jakoś szło.

W domu warsztat tkacki też nie próżnował. Dorabiali się, jak mogli.

Zrujnowały ich dopiero złe czasy, które nadeszły po 1900 roku.

- Co to się dzieje? - myślał Juliusz. - Wszyscy chcą kupować na kredyt. Juliusz Kolbe był przyjacielski i rozmowny, więc robotnicy chętnie przychodzili do sklepu, ale w kasie były pustki.

Ten został zwolniony z fabryki, ten wraca na wieś do rodziny... W kraju coraz większa bieda i zastój w przemyśle.

Jakże im nie pomóc?

Maria w małym zeszytiku skrętnie notowała długi. Były przeważnie drobne: ćwierć funta cukru dla dzieci, albo funt soli...

- Niech no pani zapisze, pani Kolbowa - prosiły kobiety. - Dzieci głodne, nie mają co jeść.

Przybywało tych długów coraz więcej, aż wreszcie trzeba było zamknąć sklep.

- Kolbe zrobił plajtę, bo ma za miękkie serce - mówili ludzie. A Juliusz rachował i rachował... Znowu nie miał nic.

- Żebyś nie ty, Mario - mówił kiedyś do żony - nie wiem, jak byśmy sobie dali radę.

Maria podniosła znad książki oczy i powiedziała poważnie:

- Zobaczysz, że Matka Niepokalana dopomoże nam. Pan doktor znów dał mi polecenie do chorej. Wiesz, do tej kobiety z przeciwka. Dzieci się u niej nie chowają. Już pięcioro zmarło.

Pan doktor mówi, że gdzie on nie poradzi, tam Kolbową pośle, bo Kolbowa się modli. Pewnie. Życie ludzkie jest w ręku Boga.

Zawsze im radzę, żeby ofiarowali dziecko Matce Boskiej - i niech żyją po bożemu. Życie wstrzemięźliwe i czyste - to życie zdrowe. Niech Bóg da zdrowie doktorowi, że mi pożycza te książki. Człowiekowi jaśniej się robi w głowie.

Wstała, żeby przygotować posłanie, a Juliusz zobaczył okładkę książki: Ksiądz Kneipp, "Zasady przyrodolecznictwa".

Były to rozmaite porady, objaśnienia i recepty. Juliusz uważał je za wyrocznie w wychowaniu swych synów. Kazał im wstawać rano wcześniej, polewał ich zimną wodą, pędzał boso po śniegu i uprawiał z nimi gimnastykę. Było dużo radości i śmiechu. Potem uciekali pod pierzynę, żeby się zagrzać.

Franuś przygotowywał się do drugiej klasy handlówki i miał zostać księdzem.

- Ty, Mundziu, będziesz w domu pomagał - mówiła Maria. - Przypilnujesz Józia, zrobisz obiad i zwiniesz mamusi przędzę. Jak mamusia wróci od chorej, to będzie tkać. Tatusz też pójdzie do pracy. Zostaniesz sam. Tylko drzwi zamknij na klucz, żeby kto nie wszedł.

Mundzio skłonił posłusznie główkę i odrzekł: "dobrze". On by też chciał być księdzem, ale rodzice nie mają pieniędzy na szkołę. Tyle wyprosił, że chodzi do księdza Jakowskiego na lekcje i uczy się ministrantury. Jak posłyszysz gdzie słowo łacińskie, zaraz pyta: Co to znaczy?

Pewnego dnia matka wróciła od chorej, aby dać dzieciom obiad. Mundzio już przygotował wszystko i ucieszył się, że przyszła. Ale matka była zamyślona, wcale z nim nie chciała rozmawiać.

- Wiesz co, Mundek? - odezwała się po chwili. - Mam ciężko chorą. Muszę zaraz iść do niej. Przydałby się okład z "foenum graecum". Leć no do apteki, przynieś mi prędko. I powiedz panu aptekarzowi, że to na okład rozgrzewający, rozumiesz?

- Rozumiem, mamó. Foenum graecum... Foenum graecum - powtórzył sobie kilka razy i już go nie było.

- Dzień dobry panu. Proszę mi dać foenum graecum - powiedział grzecznie. - Na okład rozgrzewający.

Pan aptekarz Kotowski spojrział zza okularów. Przed nim stał mały, biednie ubrany chłopczyk, z buzią rumianą jak jabłuszko.

- Foenum graecum - powtórzył jeszcze raz dobitnie, jakby miał szczególne upodobanie w tych dźwiękach.

- Skąd wiesz, jak to się nazywa?

- O, ja wiem! To po łacinie - odpowiedział Mundzio.

- A czy ty chodzisz do szkoły?

Mundzio zaczerwienił się jak winowajca.

- Ja? Nie. Rodzice nie mają pieniędzy, by mnie posyłać, ale mój starszy brat będzie chodził - do handlówki. On ma być księdzem. I ja też uczę się łaciny u księdza Jakowskiego...

- Jak ty się nazywasz?

- Rajmund Kolbe - odpowiedział poważnie.

- Kolbe... - przypominał sobie pan Kotowski. - A co twój tatuś robi?

- Tatuś jest tkaczem, a mama chodzi do chorych.

- Już wiem.

- A, to zdolny malec - szeptał do siebie pan aptekarz, szykując lekarstwo. - Szkoda, żeby się zmarnował.

- Masz tu okład. No... i przyjdź do mnie. Ja cię będę uczył.

Mundzio uszom nie wierzył. Stał chwilę jak skamieniały, aż pan Kotowski powtórzył głośniej:

- Powiedz rodzicom, że cię będę uczył. Przyjdź jutro.

Teraz już nie wątpił. Porwał lekarstwo ze stołu i krzyknął:

- Przyjdę, proszę pana, dziękuję! - Potem szastnął nogami i wyszedł. Tyle miał przytomności, że drzwi zamknął po cichu, ale potem pędził do domu, ile miał sił w nogach. Radość trysnęła mu na twarz rumieńcem.

- Mamo, mamó! - wołał od progu. - Pan aptekarz będzie mnie uczył! Kazał jutro przyjść na lekcję?! O, tu jest lekarstwo - dodał ciszej, bo matka spojrziała surowo, jakby się obawiała, że znowu coś zmalował.

- Tylko mów prawdę. Jak to było?

- To wszystko przez to foenum graecum.

Mundzio opowiedział spokojnie, od początku, ale wewnątrz wszystko w nim dygotało z radości i niepokoju, czy pozwolą?

Matka nie sprzeciwiała się. Jeszcze poszła podziękować aptekarzowi.

III. Dwie matki

Mundek ślęczał teraz codziennie nad lekcjami. Musiało być w zeszytcie czysto i porządnie, bo matka nie darowała niedbalstwa. Mówiła, że litery są szczerbate i że to grzech marnować papier. Przy czytaniu nie wolno się było zacinać i jąkać. Kary sypały się na biednego Mundzia, chociaż starał się, jak mógł najlepiej.

Tymczasem nadeszła wiosna i zrobiło się ciepło. Wiatr przeganiał tumany pyłu na ulicy, a obok cuchnących rynsztoków wyrastały gdzieniegdzie żółte jaskry. Mundzio siedział sam w domu. Zamiast pisać, gryzł obsadkę i spoglądał w okienko. Po drugiej stronie domu był ogródek państwa Zalewskich, który stał się dla niego prawdziwą pokusą.

W ogródku ciągle coś się działo. Jednego dnia pan Zalewski skopał grządki, a na drugi dzień trzeba było siać rzodkiewkę i sałatę. To znów bielił wapnem drzewka i kazał Adasiowi zeszkrobywać zeschniętą, popękana kora, pod którą kryły się gąsienice. Naturalnie Mundzio mu pomagał, bo z Adasiem bardzo się lubili. Przy każdej okazji wrywał się z domu i biegł pracować w ogródku. Wracał zdyszany, czerwony jak w gorączce.

- Gdzie ty byłeś, Mundziu? - pytała matka, patrząc na niego surowo. - Tylko mów prawdę. Wiesz, że kłamać nie wolno.

Spuszczał oczy jak winowajca. Matka chyba wie, że on zawsze mówi prawdę. Woli przyznać się niż wykręcać, gdyż Pan Bóg i tak wie wszystko.

- Masz nigdzie nie chodzić, tylko się ucz! Co tam robisz? - pytała matka.

Bąkał coś nieśmiało. Może to grzech - myślał - cieszyć się tak słońcem i ziemią świeżo skopaną. Każdą roślinkę tam znał. Pani Zalewska pozwalała mu się bawić, nigdy nie gniewała się na niego. Ale mama każe pilnować domu i uczyć się. Zasłużył na karę, więc spojrzał smutno i czym prędzej zaczął kuć słówka rosyjskie.

Na drugi dzień pobiegł znowu do ogródka. Pani Zalewska posadziła kurę na jajkach i Mundek musiał to zobaczyć. Adaś nazaczył sobie jedno jajko i będzie miał własne kurczątka. Mundzio chciałby mieć także. Pani Zalewska pozwoliła. Dostał właśnie od ojca pieniądze, więc nie namyślając się, kupił jajko i podłożył. Kura nastroszyła się jak balon i zaczęła skrzeczeć.

Roześmiał się i pogłaskał ją po skrzydłach. Zapomniał o wszystkim przez to jajko. Tego dnia kasza się przypaliła, a Józio pobrudził wapnem ubranko. Wszystko sprzysięgło się na Mundzia.

- Mówiłam ci, żebyś nie wychodził z domu. Zmarnowałeś mi taki dobry garnek - gniewała się matka. - W dodatku nie nauczyłeś się lekcji i nie pilnowałeś braciszka. Co tam masz u tych Zalewskich? Żle ci w domu, czy co? Oj, Mundziu, Mundziu, co z ciebie będzie? - rzekła z żalem, załamując ręce. Póki się gniewała, stał spokojnie. Teraz przeraził się i rozplakał.

O mało się Kolbowie nie wyprowadzili od Zalewskich. Pani Kolbe czyniła wyrzuty sąsiadce, że Mundzio ucieka z domu i nie uczy się. Jeszcze się do niego przyczepią jakie złe myśli, a może i grzech.

- Ależ, Mario - tłumaczyła sąsiadka - Mundzio jest grzecznym chłopczykiem; że sobie jajko kupił, cóż w tym złego? Przecież to nie grzech!

- Grzech, nie grzech - Mundzio ma słuchać matki i uczyć się.

Wreszcie dała się ułagodzić, ale Mundek został ukarany.

- Mamo, ja już nie będę - mówił żałośnie.

Nic nie pomogło. W duszę chłopięcą wkradł się żal, jakiego jeszcze nie było.

- Co ze mnie będzie? - powtarzał sam do siebie. Musiał koniecznie iść pomodlić się, pomyśleć... Okazja trafiła się wkrótce. Chłopcy poszli na lekcje do księdza Jakowskiego i Franek został dłużej. Mundzio miał wracać do domu, lecz wstąpił na chwilę do kościoła i ukląkł przed ołtarzem Najświętszej Panny, ale nie mógł się modlić jak zwykle. Znowu zabolął go w sercu ten żal piekący.

- Matko, co ze mnie będzie? - szeptał, ukrywając twarz w dłoniach. Łzy ciurkiem sączyły mu się przez palce - i tak klęczał przygięty smutkiem aż do ziemi. Nagle poczuł dziwną radość, jakby ktoś położył mu na sercu kojącą rękę. Podniósł oczy i zdziwił się ogromnie. Nie widział przed sobą obrazu, tylko samo piękno i czystość. Tak, to była Ona, Niepokalana, Najświętsza... W rękach trzymała dwie korony. Jedna z nich była olśniewająco biała, druga - czerwona jak krew.

- Co to znaczy? - zapytał ufnie.

- To jest czystość i męczeństwo. A potem - niebo. Którą chcesz?

Podniósł ręce i zawołał:

- Chcę obie!

** ** **

- Z tym Mundziem ciągle są jakieś kłopoty - myślała matka. - Płacze teraz często w czasie modlitwy. Co mu jest? Siedzi w domu i uczy się. Taki się zrobił posłuszny. Ale dlaczego płacze? - Podpatrzyła go matka przy pacierzu wieczornym. Modlił się jak anioł, a oczy miał pełne łez.

- Co ci jest, Mundziu? - spytała, gdy zostali sami.

- Nic.

- Jak to nic? - Pani Kolbowa ani myślała ustąpić. - Dlaczego płaczesz? Co ci jest? Mamie trzeba powiedzieć. Mama ci wszystko wytłumaczy.

- Czy i Ona tego żąda? - myślał Mundek. - Na pewno żąda posłuszeństwa. Pan Jezus był posłuszny aż do śmierci.

I Mundzio powiedział wszystko.

- A ty co? - spytała matka.

- Powiedziałem, że chcę.

Pogłaskała go po głowie i rzekła:

- Nie mów o tym nikomu. Może ci się to wszystko zdawało.

Myślał, że się będzie gniewała, więc ucieszył się i pocałował ją w rękę. Nigdy już nie powie nikomu. Ale nie zdawało mu się. Pamięta, jak przyrzekł Matce Bożej. Niech go Bóg broni, żeby zapomniał.

IV. W składzie drzewa

Po rozmowie z matką Mundek odzyskał dobry humor. Przestała mu ciążyć tajemnica, zdał do handlówki celująco i cieszył się, że będzie się uczył razem z Frankiem.

Bawili się teraz prawie codziennie w składzie drzewa naprzeciwko.

Był to istny raj dla dzieci: stopy desek zwalone bezładnie, albo poukładane przewiewnie, do suszenia - pachnące w słońcu żywicą i świeżością lasu.

Właścicielem składu był stary pabianicki handlarz Król.

Już było późno, więc zamknął kantor i z kluczami w ręku stał na schodkach, patrząc, jak wesoła piątka skacze po deskach, goni się i pokrzykuje.

- To są dzieci! - pogładził siwą brodę i cmoknął z zachwytem. - Wesołe, zręczne, pełne życia. Nigdy się nie kłócą i nie mówią ordynarnych wyrazów. Nigdy też się nie biją. - Dlatego pozwala im się bawić. Trzem chłopcom Kolbów i Kłysom.

Inne też się dopominały przez parkan o pozwolenie.

- Panie Król, pozwól nam wejść, pobawić się.

- Nie można - mówił, kręcąc głową.

- A Kłysowie się bawią i chłopcy Kolbów? Oni to mogą?

- Oni mogą. Idźcie już. Idźcie sobie. - Nieraz gwizdali przez palce, dokuczali staremu, ale nie pozwilił.

Mundek wcisnął się właśnie w wąską szczelinę pomiędzy deskami i zataił dech w piersiach. Szukali go. Przywarł rozpalonym policzkiem do szorstkiej sosnowej deski. Pachniała wilgocią po wczorajszym deszczu.

Był powstańcem i ukrywał się. Już wypatrzyli go. Zerwał się prędko i zaczął uciekać, hen, aż na drugi koniec składu.

Nagle spostrzegł, że jest późno. Jezus, Maryja! - pomyślał. - Mieliśmy dziś wcześniej wrócić do domu. Podniósł ręce w górę i zawołał:

- Wymawiam! Franek, Józiu, chodźcie prędko. Mama kazała wcześniej wracać.

Słońce zachodziło właśnie i ostatnie promienie padły na deski, że stały się złote i różowe, a w powietrzu zapanowała cisza.

Mundzio spoważniał nagle, uciszył się w sobie i obciągnął starannie czarny mundurek uczniowski. Zapiął zielony aksamitny kołnierz, na którym złociły się dwie metalowe kotwice, strzepnął kurz i wolno szedł w stronę furtki.

- Co to będzie - myślał. Ogarnęła go znów ta niepewność, jak zwykle wtedy, gdy źle zrobił i sumienie się odezwało.

- Zdrowaś Maryjo! Łaski pełna... - zaczął pospiesznie modlitwę, szukając u Matki Bożej ratunku. Poczekał chwilę na braci. Szli teraz wszyscy razem, ale on nie przestawał odmawiać swoich zdrowasiek i ich zachęcał do mówienia.

- Mundek, co się tak modlisz? - szturchnął go Edek Kłys. Mundek nie odpowiedział, aż skończył. Potem rzekł:

- Zmówcie i wy Zdrowaś Maryjo! Franuś, słyszysz? Mama kazała wcześniej wrócić, a myśmy się zabawili do wieczora.

- No, to i co? - wyrwał się Edek. - Przecież nie dostaniesz w skórę.

- Czego się boisz? - dodała Bronka, odrzucając w tył cienkie warkocze. Ale Mundzio był szczerze zmartwiony i nie odpowiedział im wcale. Wychodząc, ukłonił się staremu handlarzowi i rzekł:

- Dobranoc panu. Takeśmy się dobrze bawili. Czy możemy przyjść jeszcze jutro?

- No, no, możecie przyjść jutro i pojutrze... i zawsze - mówił Król, gładząc brodę.

- Dziękujemy panu. To dobrze. - Wymknęli się pojedynczo przez furtkę i pobiegli do domu.

Kolbowie mieszkali naprzeciwko, przy ulicy Złotej. Mieli małą stancję na poddaszu, schludnie podzieloną na dwie części. W jednej stały łóżka rodziców, komoda i ołtarzyk Matki Bożej. W drugiej przy kuchni krzątała się matka, szykując wieczerzę.

- No, jesteście nareszcie - odezwała się, obrzucając ich badawczym spojrzeniem. Stanęli czujnie w mundurkach zapiętych pod szyję, cisi i skromni. Trochę byli niepewni, co z tego będzie. Na wszelki wypadek Mundek kończył pospiesznie swoje zdrowaśki: "Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen".

Przegląd wypadł dobrze, więc jeszcze tylko dodała:

- Gdzieście byli? u Króla?

- Tak, Król pozwala nam się bawić w składzie.

- No, no... A lekcje umiecie? Trzeba się uczyć, a nie myśleć o zabawie.

- Weź no się, Juliusz, do tych chłopców, bo się jeszcze rozleniwiają. A ty, Mundek, nalej zupy na talerze.

Spojrzeni na ojca. Uśmiechnął się pogodnie, prawie wesoło, jakby się cieszył, że tak się im udało. Kochany ojciec! Nie bił nigdy, nie krzyczał. Po kolacji usiadł z nimi i sprawdzał lekcje, potem pokazał im podręcznik, który pożyczył od kolegi z fabryki. Były tam różne przyrządy i maszyny. Utkwili nosy w książce i oglądali stronicę za stronicą. Ojciec czytał, tłumaczył i dziwił się razem z nimi, jaka to wspaniała ta fizyka.

Matka przez ten czas sprzątnęła ze stołu i rozebrała łóżka do spania. Krzątała się cicho, uśmiechnięta. Dzień zeszedł po bożemu, przy pracy. A teraz w domu tak dobrze. Mąż złego słowa nie powie. Chłopcy rosą zdrowo, uczą się. Na co okiem rzucić, wszystko czyste i schludne, chociaż ubogie. Lepsze takie ubóstwobez grzechu niż wielkopański przepych.

Przysiadła na prostym stołku i pilnie kończyła szydełkiem szarą włóczkową pelerynkę.

Nagle zegar wybił dziesiątą godzinę.

- Jak ten czas leci - westchnęła. - Trzeba iść spać.

Poprawiła lampkę na ołtarzyku i wszyscy uklękli. Ojciec z twarzą pogodną i skupioną klęczał na obu kolanach, matka w czarnej sukni, z włosami gładko zaczesanymi nad czołem, odmawiała głośno modlitwy.

Wszystkie myśli i pragnienia rodziny Kolbów biegły do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Ona tu rządziła, opiekowała się, błogosławiła.

Ktoś zapukał i drzwi skrzypnęły. Weszła sąsiadka jedna i druga. Nikt z modlących się nie odwrócił nawet głowy. Pokłękały przy drzwiach i w ciszy słyszeć było tylko dźwięczny głos Marii Kolbowej: "Zdrowaś Maryjo, łaski pełna..."

V. W fabryce

Chłopcy liczyli dni do wakacji. Przez cały rok pracowali w pocie czoła. Lekcje w handlówce były po rosyjsku, oprócz języka polskiego i religii. Nie wolno było mówić po polsku, groziła za to trójka ze sprawowania i wilczy bilet. Wyrzucali uczniaka ze szkoły i nigdzie się już nie mógł dostać. Chłopcy dobrze musieli się pilnować.

Szeptali po kątach po polsku, oglądając się, czy kto nie podsłuchuje.

Mundek celował w matematyce, z innymi przedmiotami szło mu ciężiej. Obaj narzekali na trudności i bali się, czy przejdą do następnej klasy. Toteż radość była wielka, gdy przynieśli dobre cenzurki. Matka napięła racuchów jak w wielkie święta, a ojciec zabrał ich na wycieczkę. Pojechali furmanką do Zduńskiej Woli, do dziadków. Cieszyli się, widząc pola uprawne, zboża i sady, bo w mieście brak im było powietrza i przestrzeni. Wszystko tego dnia było radosne. Jasne niebo i słońce - bez chmurki.

Dziadziowie ugościli ich, czym mogli, i pozwolili zrywać czereśnie. Chłopcy pół dnia przesiedzieli w sadzie i byli szczęśliwi. Ale wieczór się zbliżał, trzeba było wracać do domu.

- No, moi synkowie - mówił ojciec w drodze - pomagałem wam w lekcjach, jak umiałem. Teraz wy mi pomożecie w fabryce.

Spojrzeni na siebie zdziwieni i roześmieli się. Ojciec pewnie żartuje, jak zwykle.

- Od jutra nie będę już chodził na godzinę piątą do kościoła - mówił dalej w swój zwykły, pogodny sposób.
- Przed ósmą przyniesiecie mi śniadanie i zastąpicie przy warsztacie, a ja sobie pójdę na ósmą do św. Mateusza na Stare Miasto. Będę u Komunii św. i na Mszy świętej.

Podobało im się.

- Dobrze, tato! - wykrzyknęli obaj. - Przy tej okazji zobaczymy wewnątrz fabryki.

Na drugi dzień zerwali się rano, żeby nie zasnąć. Z blaszanką kawy zbożowej, z pajądą razowego chleba porządnie zawiniętego w papier zapakali do dyżurki. Dozorca znał ich.

- A wiecie, jak się idzie? Druga sień na prawo - mówił życzliwie, odpowiadając skinieniem głowy na ich grzeczny ukłon.

Z Juliuszem Kolbem wszyscy byli w przyjaźni. Miał szczęście do ludzi. A chłopcy? Włosy krótko strzyżone, czysto ubrani, karni prezentowali się korzystnie.

Z dużej hali fabrycznej dochodził hałas. To maszyny stukały, aż się wszystko trzęsło. W powietrzu unosił się szary pył. Było duszno i gorąco, ale oni nie zważali na to, rozglądając się po hali. Wreszcie zobaczyli ojca przy warsztacie. Uśmiechnął się i zaraz zaczął im tłumaczyć, jak się mają wziąć do roboty.

- Józefie - zwrócił się do Lenickiego, który pracował obok - daj baczenie na chłopców, żeby mi tu czego nie zepsuli. A wy pamiętajcie, smyki, żeście z rodziny tkaczy: nie zróbcie mi wstydu.

Chłopców nie trzeba było pilnować. Uwijali się tak zręcznie, że pan Lenicki coraz to zerkał w ich stronę i uśmiechał się, widząc tę młodość pełną zapału. Nie minęła godzina, jak wrócił ojciec. Usiadł sobie przy oknie i popijał kawę. Widać było, że jest dumny ze swoich chłopców, a oni już się trochę wprawili i robota szła im dobrze. Odtąd przychodzili codziennie i wyręczał ojca. Podobało im się w tej fabryce. Widzieli, jak wszyscy szanują ich tatusia. Robotnicy przychodzili nawet z innych działów, aby z nim porozmawiać. Czasem śmiali się i żartowali, częściej powtarzali półgłosem jakieś nowiny. W Łodzi ktoś zastrzelił żandarma i w kilku fabrykach wybuchł strajk.

- Co to jest strajk? - pytali chłopcy.

Ojciec musiał im tłumaczyć. To znów rozmawiali o wojnie na Dalekim Wschodzie. Krążyły po mieście wiadomości o bitwie pod Mukdenem i porażce Rosjan. Robotnicy zacierali ręce. Ot, car taki potężny, a nie może dać rady Japończykom. Przyjdzie na niego kryska. Zobaczycie. Nowiny były pomyślne, zapowiadały pewne swobody dla "Prywiślinia", inne budziły grozę i lęk. Z frontu coraz częściej przychodziły listy z pieczętką Czerwonego Krzyża. Tu poległ ojciec, tam syn. Kobiety płakały i w kraju bieda była coraz większa.

Pewnego dnia Lenicki przyszedł taki stroskany, że Juliusz spytał go:

- Co ci jest?

- Ot, nieszczęście - machnął z rezygnacją ręką - szwagier nie może nic zarobić. Usunęli go. Siostra ma siedmioro dzieci. Byłem tam wczoraj: nędza.

- Czekajże, trzeba coś radzić. Ja ci pomogę, Józiu, nie martw się - odpowiedział żywo Juliusz Kolbe i dorzucił żartobliwie: - Ja teraz wielki pan.

Kolbe niedawno awansował. Przeszedł na mechaniczne warsztaty, lepiej płatne. Ender podniósł mu płacę z 4 na 6 rubli tygodniowo. Czuł się bogaty, że ha!

- Kto prędko daje, dwa razy daje - mruzczał, wychodząc z fabryki. Po drodze nakupił kaszy, cukru, fasoli. Pani Maria dołożyła jeszcze słoniny i boczku.

- Nam się teraz lepiej powodzi - mówiła - a im ciężko. Pan Bóg by nas skarał, gdybyśmy nie pomogli. "Byłem głodny, a nie daliście mi jeść. Byłem spragniony, a nie daliście mi pić. Idźcie, przekłęci, ode mnie w ogień wieczny". - Maria Kolbowa lubiła cytować Pismo święte przy różnych okazjach.

- Dalej, chłopcy, szykować mi się! - komenderowała z miłym uśmiechem na twarzy. - Zanieście na Stare Miasto. Wiecie dokąd? Do pana Lenickiego, to dla jego siostry, pani Paradowskiej.

Koszyk był pełen. Ledwie mogli udźwignąć.

- Mundek, spytaj się, za co go wyrzucili, czy za Polskę? - mówił cicho Franek. - A może on należał do tych, wiesz...

Urwali rozmowę, bo ktoś szedł za nimi. Obejrzeli się:

- Może tajniak? - Chłopcy, pracując w fabryce, wiedzieli niejedno. Nurtowały ich różne myśli. Czasem prężyli ramiona, chcieliby także iść walczyć o wolną Polskę. Tymczasem dźwigali kosz z żywnością na poddasze i tak służyli Polsce.

Dzieci ich obskoczyły. Radość była i płacz na widok tylu darów.

- Niech wam Bóg błogosławi - mówiła matka, a pan Lenicki nie chciał wszystkiego wziąć. - Co, tak dużo? - powtarzał.

Na drugi dzień uściskali się z Juliuszem. - Dlaczego tak dużo? - mówił. - Ja nie chciałem wziąć, ale chłopcy zostawili i uciekli.

- Dobrze zrobili - śmiał się Juliusz. - Pewnieście im chcieli dziękować. Nie ma za co. Trzeba sobie pomagać, bo inaczej naród zginie. Mówię ci, Józiu, cała rzecz w tym, żeby jeden drugiego z biedy wyciągał. Dziś tobie - jutro mnie.

- Tyle jedzenia, Boże drogi! - mówił wzruszony Lenicki.

A chłopcom nagle otworzyły się oczy. Teraz wiedzieli, za co tak robotnicy lubią ojca. - Bo czyż nie widzą, jaki on jest? - pomyśleli z dumą. - Matka taka sama. Niech się uśmiechnie życzliwie, każdy dla niej przychylny. Nie dba ani o pieniądze, ani o wygody. Bóg i obowiązek - to dla niej wszystko.

VI. Przyjaźń

Była zima i chłopcy z handlówki ślizgali się do upadłego. Tylko jeden z nich miał łyżwy i to związane sznurkiem. Czasem pożyczzał je kolegom i wtedy koło niego robił się tłok.

- Mnie, mnie pożycz - wołali. - Ja ci dam za to kawałek gumy.

- Idź ze swoją gumą, on mnie jest winien stalówkę.

- Ty, Edek - ja tylko raz jeden. Zobaczę, jak się to jeździ. Pożycz choć jedną.

Od kłótni dochodziło nieraz do bitki, tarzania się po śniegu i sińców. Potem od zwartej masy odrywała się cząsteczka i w czarnym mundurku ze złotymi kotwicami na kołnierzu pędziła przez pabianickie rynsztoki. Za nią druga, trzecia, dziesiąta. Raz przynajmniej te rynsztoki były instytucją użyteczności publicznej. Prawie przez cały rok stała w nich brudna, mętna woda, teraz szkliły się w słońcu białe, gładkie, kuszące.

Chłopcy Kolbów trzymali się trochę z dala od gromady pabianickich chłopaków. Nigdy nie bili się i unikali kłótni. Woleli też obejść się bez łyżew niż prosić. Tak byli wychowani.

- Lepiej dawać, niż brać - mówili rodzice. Ale ślizgawka to co innego. Radość zimy: ruch, pęd, gwałtowne upadki i śmiech wyzwalamy zdrową energię. Mundzio i Franek wracali do domu roześmiani z rumieńcami na twarzy i głodni.

- Zedrå buty na tej ślizgawce - skarżyła się matka.

- To będą chodźć boso - śmiał się ojciec. - Od ślizgawki nie powstrzymasz chłopaka, chyba że jest niedołągą. A naszym, dzięki Bogu, nic nie brakuje.

Chłopcy cieszyli się, że ojciec jest po ich stronie. Matka była surowa. Zaraz kara i grzech. Mundzio bał się trochę, ale w końcu i ona patrzyła przez palce, jak zdarli obcasy, albo trzeba im było wstawiać łąty na mundurkach. Ważne było, żeby się tylko uczyli!

Po powrocie ze szkoły ślęczeli nad książką. Jeden pomagał drugiemu. Ojciec nie potrzebował ich upominać, siedział z nimi i uczył się razem, zawsze głodny wiedzy.

Pewnego dnia Mundzio wpadł do domu zdyszany.

- Mamo, mamó, proszę iść prędko. Coś się stało Adasiowi. Nie może wstać.

- Gdzie?

- Na ulicy. Ślizgaliśmy się i upadł... Zaraz tu, niedaleko.

Pani Maria nie pytała więcej. Chwyciła grubą chustkę i wybiegła. Za nią Mundek. Zęby mu latały ze strachu, bo Adaś zrobił się taki blady, jakby już umarł. Ale nie. Dzięki Bogu, dźwignął się i stał pod ścianą, tylko jedna ręka zwisała mu bezwładnie.

- Adasiu, co ci jest? - mówiła pani Kolbe zatroskanym tonem.

- Moja ręka - szepnął i twarz wykrzywiła mu się z bólu.

- Weź mnie zdrową ręką za szyję i spróbuj, czy możesz iść. Zaprowadzę cię do domu.

Objęła go w pasie i prawie niosła. W domu okazało się, że ręka jest zwichnięta w łokciu; zsiniała i zaczęła gwałtownie puchnąć.

- Prawa rękę, pani Kolbowa, może wezwać doktora - mówiła zrozpaczona pani Zalewska.

- Na razie nie potrzeba.

Maria macała delikatnie chorą rękę, potem chwyciła mocno w stawie, pociągnęła. Adaś krzyknął.

Pani Maria odetchnęła: - Już dobrze. Łokieć wrócił na swoje miejsce. Teraz kompres i bandaż. Pani Zalewska, musimy unieruchomić tę rękę. Nie ma pani bandażu? Jakiś kawał prześcieradła czy coś takiego.

Mundzio darł płótno i podziwiał matkę. Jej surowość wydała mu się teraz konieczna.

Pani Zalewska jest łagodna, ale matka umie pomóc ludziom. Czyn wymaga pewnej surowości i decyzji. Mundzio strasznie był przejęty tym wszystkim. Potem Adaś położył się do łóżka, a Mundzio siedział przy nim. Pani Zalewska rozmawiała z jego matką, do Mundzia dobiegały poszczególne słowa: cenzura, matematyka, Adaś. Wreszcie usłyszał serdeczny głos pani Zalewskiej:

- Dziękuję, pani Kolbowa, dziękuję!

Dopiero po chwili zrozumiał. Matka zgodziła się, że Mundzio będzie przychodził do Adasia i odrabiał z nim lekcje. Och, to była radość.

Gdy wracali do domu, nagle wziął matki rękę i przycisnął do ust.

Pogłaskała go po głowie i rzekła:

- Widać Matka Boża tego chce, Mundziu. Będziesz się uczył z Adasiem, ale żebyś mi się nie zaniedbał w pracy, pamiętaj!

O, jakże gorąco modlił się Mundzio wieczorem. Tyle dzisiaj przeżył lęku i niepokoju. A na końcu spotkała go radość. Czyż nie widać w tym woli Niepokalanej? Ona dopuszcza cierpienie i przemienia je na dobre.

Gdy Mundzio zasypiał, stanęła mu nagle przed oczami blada twarz Adasia i jeszcze jedna mała, bledziutka twarzyczka Antosia. Mundzio już wiedział, co to jest śmierć. Niedawno umarł mały braciszek, a drugi jeszcze przedtem. Mama mówi, że poszli do nieba, tam gdzie jest Niepokalana, Przekzysta Matka Boża. Mundzio poczuł nagle, że Ją jedną kocha najwięcej. Z Nią chciałby być zawsze. Może dlatego właśnie, że jest przekzysta. Miał przy sobie małą figurkę Niepokalanej, którą kupił za własne pieniądze na odpuście w Lutomierniku. Po cichu wyciągnął rękę i wziął ją ze stoliczka. Przytulił obiema rękami, potem przyłożywszy głowę do poduszki zasnął.

VII. Ogródek

Zbliżało się południe. W ubogim mieszkaniu Kolbów przy ulicy Konstantynowskiej gospodarowali chłopcy. Franek sprzątał pokój rodziców i wyśpiewywał wszystkie znane piosenki. Taki był zawsze: wesoły i rozmowny. Matka mówiła o nim: wykapany ojciec. Mundek gotował obiad. Uwijał się przy kuchni krępy, niski, przepasany ścierką. Ze swoją okrągłą, czerwoną twarzą wydawał się bardziej dziecinny, niż był naprawdę. Zupa już była gotowa. Nastawił wodę na kluski i poprawił ogień. Tylko patrzeć, jak ojciec i matka przyjdą z fabryki. Pracowali oboje jako tkacze od szóstej rano. W południe była godzina przerwy. Robotnicy szli do domu na obiad, a potem znowu pracowali do dziewiętnastej.

- Dlaczego te kluski tak się kleją? - pomyślał strapiiony Mundek. - Mąka ciemna, grubo mielona. Wiedział, że mu nie wolno brać pszennej. W niedzielę matka robi białe kluski na parze i wszyscy się będą zajadać. Ale dziś dzień powszedni. Rodziców nie stać na zbytek.

Ktoś zapukał.

- Kto tam?

Mundek wyjrzał przez drzwi i uśmiechnął się serdecznie.

- Ach, to ty, Adasiu.

- Jak się masz, Mundziu? - rzekł Adaś. - Co ty robisz? Chodź do nas. Wiesz - ojciec przywiózł drzewka, będziemy je sadzić w ogródku.

- Sadzić drzewka?... Mundek aż westchnął z zachwytem. Mały ogródek to był szczyt jego marzeń. Mundzio wyrwał się, jak tylko mógł, zwłaszcza na wiosnę i latem, z ciasnego mieszkania w oficynie, które zajmowali jego rodzice. Każdą wolną chwilę spędzał z Adasiem w ogródku. Ale sadzenie drzewek - to było coś niezwykłego. Mundek jeszcze nigdy nie widział, jak się sadi drzewka.

- Jabłonki? - spytał niemal nabożnie.

- Są cztery jabłonki i dwie śliwki. Chodź, zobaczysz. Za trzy lata będą miały pierwsze owoce - mówił Adaś z powagą znawcy.

- Nie mogę - jęknął żałośnie Mundek. - Rodzice zaraz przyjdą, a obiad jeszcze nie gotowy.

Wnet za Adasiem przyszła jego matka.

- Mundziu, będziemy sadzić drzewka - rzekła serdecznie. - Musisz przyjść nam pomóc.

Pani Zalewska bardzo lubiła Mundzia. Jaki to dobry chłopczyk - mówiła zawsze - wyjątkowo pobożny i dobry. - Takim był naprawdę. Nieśmiały, skromny, chociaż wesoły i pełen życia. Nikomu nie zrobił przykrości.

- Ja bym chciał, proszę pani, ale nie mogę - bąknął i zaczął znów energicznie kręcić nieszczęsne kluski.

Pani Zalewska roześmiała się:

- Ależ, Mundziu! Nalałeś za dużo wody. Dosyp jeszcze mąki. O, tak. - Wzięła mu z ręki łyżkę i zaczęła wyrabiać ciasto.

- Już słyhać gwizdek u Endera - rzekła po chwili. Idźcie naprzeciw rodziców. Ja tu za was skończę.

Zadowoleni, że mogą się wyrwać na ulicę, zbiegli ze schodów, ciągnąc za sobą najmłodszego Józia. Za chwilę stali przy bramie fabrycznej i patrzyli uważnie, jak wysypuje się z niej tłum robotników.

- Nie bój się. Poczekamy na ciebie - dźwięczał mu jeszcze w uszach miły głos pani Zalewskiej. Mundek nie mógł wprost myśleć o czym innym jak o tym sadzeniu drzewek, więc uśmiechnął się sam do siebie i stał cicho pełen oczekiwania. Jak to dobrze, mama już się nie gniewa i pani Maria Zalewska często przychodzi dopomóc w gospodarstwie.

Bo też obie sąsiadki kochały się jak siostry, obie były pobożne. U Kolbów odmawia się wspólnie różaniec, u Zalewskich odprawia drogę krzyżową. - "Taki u nas w domu klasztor, że ha! Wszyscy nam zazdroszczą" - mówi nieraz pani Zalewska.

Chłopcy tymczasem wypatrzyli rodziców. Ojciec szedł, rozmawiając z kolegami, tłumaczył coś, spokojny i pogodny jak zwykle.

Robotnicy byli podnieceni i rozprawiali głośno, niektórzy wygrażali pięściami.

Ojciec zobaczył chłopców i z daleka już uśmiechnął się do nich. Matka szła trochę pochylona od pracy przy warsztacie. Taka dobra, chociaż stanowcza, czasem nawet surowa. Zaraz zaczęła pytać:

- Czy obiad gotów? Kto jest w domu?

Józio uczeplił się jej za rękę. Starsi chłopcy prowadzili ojca - zadowoleni, że spotkali rodziców i są znów razem. Po obiedzie Mundek bardzo się spieszył, prędko pozmywał naczynia, sprzątnął i zaczął się kręcić po izbie.

- Franuś - mówił - ty zostaniesz z Józiem, co? Musisz zostać. Ojciec ci kazał zrobić dwa zadania.

- A ty dokąd?

- Ja tylko trochę do Adasia.

- Zaraz wracaj - zawołał Franek, mimo woli naśladowując ton matki. Ale już drzwi trzasnęły. Mundzio wpadł zdyszany do ogródka. Pan Zalewski kopał doły pod drzewka, Adaś podsypywał nawóz.

- Patrz, Mundziu, jakie ładne szczepy - rzekł Adaś rozwiązując sznurek. Korzenie zawinięte były w szmatę, oblepione gliną, wilgotne. Gdzieniegdzie tylko zwisały białe obnażone włókienka, które chłopcy troskliwie przykryli ziemią.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - przeżegnała pani Zalewska drzewko. Mąż ostrożnie ustawił je w dole i przytrzymał, podczas gdy Adaś zgarniał ziemię łopatą. Dokoła jabłonki wyrosła mała pulchna kulka, którą pan Zalewski zlał obficie wodą.

Mundek był bardzo przejęty. Ogromnie by chciał także posadzić drzewko, żeby rosło i dało owoce. Nie śmiał prosić, ale pani Zalewska wyczytała to w jego oczach i rzekła do męża:

- No, teraz niech chłopcy sadzą drzewka.

Ach, jakże się Mundzio cieszył. Ostrożnie, z miłością, ujął w ręce szczep pozornie martwy. Wiedział, że tam wewnątrz krążą ukryte soki. Bóg da mu wzrost i rozwój. Jaki Bóg dobry!

- Wyżej, wyżej - mówił pan Zalewski. - Nie ugniataj ziemi przy pniu, tylko po bokach.

Adaś pomagał zasypywać ziemię i podlał drzewko. Potem posadzili resztę. Zaraz na drugi dzień Mundek przybiegł zobaczyć, czy drzewka rosną. Państwo Zalewscy śmiali się z niego, ale to nic. Wiedział, że są życzliwi. Kochają ten ogródek i drzewka, i jego też. Bo są dobrymi ludźmi.

Drzewka stały długo jakby bez życia, opadły z nich powędłe liście. Dopiero wiosną wypuściły zielone pędy, a dwa z nich zakwitły. Miały po kilka bladych, wątych kwiateczków, które pan Zalewski oberwał.

VIII. Ojczyzna

Chłopcy już spali w kuchence, a do ojca wciąż jeszcze przychodzili robotnicy, że to niby ich golił. Sprowadzał jakieś brzytwy z Poznania. Poznań był wtedy za granicą. Siedzieli nad tymi brzytwami do północy. Co się Mundek obudził, to słyszał przyciszony gwar rozmów. Chciał zawołać: tato!... ale się powstrzymał. Przyszła mu na myśl wojna, strajki, więzienie. Zdawało mu się, że w ciemnościach coś się czai. Więc zaciskał ręce na piersiach i modlił się do Niepokalanej. Potem zaczął słuchać. Z pokoju dochodziły tylko pojedyncze wyrazy: "Kiliński, Bóg, Ojczyzna, konstytucja..."

- Dlaczego wciąż o tym Kilińskim?

Mundek wiedział, że to był szewc warszawski i że jak pan Kościuszko wydał wojnę caratowi, to Kiliński zebrał lud warszawski i zorganizował powstanie.

- A teraz co zrobią? Ciągłe coś szepczą.

Niedawno słyszał, że napadli na pociąg i uwolnili więźniów. Władze carskie się wściekają. Oho, Mundzio wie niejedno, ale woli nie pytać starszych.

- Kiedyś jak będziesz większy - mówił ojciec - to przypasziesz szabelkę i pójdziemy się bić za naszą Polskę. Ale najpierw musisz się dużo uczyć, bo wojna to niełatwa rzecz. Osaczyli nas zaborcy z trzech stron i kraczą nad nami jak wrony. Ale z nami jest Bóg. Zobaczysz, jeszcze Polska powstanie wolna, potężna.

Mundzio wierzy święcie w to, co mówi ojciec. W domu wszyscy w to wierzą. Nawet mały Józio umie już taki wierszyk:

Kto ty jesteś? - Polak mały.

Jaki znak twój? - Orzeł biały.

Gdzie ty mieszkasz? - Między swymi.

W jakim kraju? - W polskiej ziemi.

Czym ta ziemia? - Mą Ojczyzną.

Czym zdobyta? - Krwią i blizną.

Czy ją kochasz? - Kocham szczerze.

A w co wierzysz? - W Polskę wierzę!

Pewnego dnia Mundziowi upadło pióro. Gdzieś się zapodziało tak, że nie mogli znaleźć. Odsunął kufer - nie ma. Położył się plackiem i zaglądał pod szafę - też nie ma. Wreszcie wsunął rękę za paczkę z węglem i natrafił na coś miękkiego.

- Co to jest? - Odwinął z wierzchu papier i przeczytał: "Kiliński". Włosy mu stanęły na jeża. Pisemek było z dziesięć. Drukowane na cienkim papierze, od razu widać, że nielegalne. Mundzio nie mógł się powstrzymać. Z zapartym tchem przeczytał wszystko. To nie był żaden Kiliński sprzed stu lat, tylko pismo, które rozdawał tata robotnikom. Teraz już Mundek wie, po co się schodzą wieczorami. Ułożył gazetkę porządnie i zawinął. Potem wsunął to wszystko za paczkę z węglem. Uważnie, tak jak było. Nie powie nikomu - nawet Frankowi, nawet ojcu - że o tym wie.

Ale wkrótce tata sam pokazał chłopcom nowy numer. Nie był to już "Kiliński", tylko "Polak". Przeczytał im artykuł pod tytułem: "3 maj w Warszawie". Opisany był wielki pochód narodowy. Niesiono sztandary amarantowe z Białym Orłem i wojskowe jeszcze z powstania. Ludzi było moc.

- Dokąd poszli, tato?

- Do ruin w Botanicznym Ogrodzie. Są takie ruiny. Niedawno żandarmi aresztowali studentów za to, że tam położyli kwiaty. Bo to pamiątka Konstytucji 3 maja. Tam miał być kościół.

Mundek patrzył na pisemko. Na okładce był polski orzeł. Mundzio miał straszną ochotę przerysować go. W końcu odważył się powiedzieć i tata pozwolił i jeszcze pomógł mu przekalkować.

- Niedawno poszłoby się za to na Sybir - mówił ojciec - a teraz mamy niby swobodę. Robotnicy wzięli się za żandarmów, to już tak nas nie gnębią. Ale do szkoły tego nie bierzcie, bo jeszcze was kto przyłapie - ostrzegął ojciec.

Wieczorem schował Mundek swojego orzełka pod poduszkę, a na drugi dzień, gdy wrócił ze szkoły, zaczął na nowo rysować. Z cieniowaniem i bez. Tak się wprawił, że potrafił narysować od ręki.

- Mundzio zbzikował - śmiał się Franek. Ale Mundzio wiedział, co robi. Na ostatniej lekcji zwędził kredę w klasie i trochę niespokojny wrócił do domu. Umówili się z Adasiem.

- Lepiej nie w mundurkach. Wiesz, Mundziu, co? Przebierzemy się na cywila - mówił Adaś trochę niepewnie.

Nietrudno było. Wzięli stare porcięta i pobrudzone koszule: wyglądali jak łobuziaki. Adaś wsadził na bakier cyklistówkę i ręce włożył w kieszenie. Mundzio rozczzerwienił się z przejęcia i poszli. Wieczór już zapadł. Gdzieniedzie paliły się wątle gazowe latarnie, ale oni wiedzieli na pamięć, dokąd idą. Domy rządowe były z cegły, otoczone murem stały teraz ciche, gdyż był wieczór. Adaś stanął na straży, a Mundek pac, pac... Na czerwonym murze wyrastał polski orzełek. Adaś pytał cicho:

- Już?... - I w nogi, chociaż nikt ich nie gonił. Wrócili zdyszani i szczęśliwi.

- Gdzie byłeś? - spytał ojciec.

Mundzio spłonął rumieńcem.

- Z Adasiem - bąknął.

- Coście robili?

- Rysowaliśmy polskie orły.

- Gdzie?

- Na murach... - podniósł głowę śmiało i z oczu strzelały mu dziwne błyski.

- A to zuchy! Podobacie mi się.

- Właściwie to tylko ja, tato.

- Jeszcze lepiej. A on co?

- On stał na straży.

- Udałeś mi się, synu - mówił Juliusz Kolbe, przyciskając Mundzia do piersi. - Ale dosyć tego. Niech by cię kto przyłapał; pożegnałbyś się z handlówką na amen. A nauka ważna rzecz. Zabieraj mi się zaraz do lekcji.

I Mundzio usiadł posłusznie, szczęśliwy, że się na tym skończyło.

IX. Cierpienie

Mundek pomagał ojcu nieść książki. Przydźwigali całą paczkę od proboszcza.

- Znowu coś nowego - uśmiechnęła się Maria.

Juliusz Kolbe już nie sprowadzał brzytwy ani nie golił robotników. Teraz oprawiał książki. Mieszkali przy ulicy Złotej nr 5 na poddaszu.

- Tato, czy można rozpakować? - prosił Mundzio.

- Dobrze, synku, ale trzeba zrobić dla nich miejsce.

- Mario, opróżnimy tę półkę. Twoje torebki z kaszą muszą ustąpić, chociaż nie wiadomo, co ważniejsze: bez jedzenia i książka nie zda się na nic - mówił wesoło ojciec.

- Dobrze, dobrze - odpowiedziała spokojnie Maria. Teraz biblioteka jest ważniejsza niż wszystko. Nowe sitko na kołek. Za miesiąc będzie coś innego.

- A może ty, matko, nie lubisz, jak się czyta głośno wieczorem? - zażartował Juliusz. - Patrz: Ojca Kajsiowicza "Rozmyślania o Męce Pańskiej", katechizm, "Życie duchowne", "Historia Polski"...

Juliusz Kolbe zatarł ręce z radości.

- Patrz no, Mundziu, co za książki!

A Mundzio trzymał właśnie w rękach małą broszurkę o gwiazdach i czytał zapamiętałe o szybkości promieni świetlnych.

- Tato, co to są lata świetlne? - spytał nagle.

- Czekajże, tata ci tak zaraz nie wytłumaczy. Trzeba najpierw przeczytać, pomyśleć.

Tymczasem wieczór zapadł i zaczęli się schodzić robotnicy: Lenicki, Luboński, Koch, Zalewski i inni. Stanowili zwartą grupkę i zbierali się co tydzień. Rozprawiali o zdarzeniach w kraju, o sprawie robotniczej, o przyszłej wolnej Polsce. Czasem wpadł im w ręce urywek z dzieł Mickiewicza albo stary tomik wierszy pod tytułem "Kłosa polskie". Wtedy ktoś czytał głośno i nad ubogą robotniczą izbą unosił się powiew poezji.

Juliusz Kolbe brał skrzypce i zaczynał grać, a wszyscy siedzieli cicho, słuchając. Grał pieśni religijne i narodowe, które przemawiały do ich dusz, aż wreszcie Maria z westchnieniem dawała znak, że czas skończyć.

Józio najczęściej już spał skulony na stołeczku, z głową wciśniętą w róg łóżka. Trzeba go było budzić do pacierza. Wszyscy klękali przed ołtarzykiem. Maria odmawiała głośno cząstkę różańca.

- Ale, ale, Juliuszu, pożycz nam te książki. Masz tu coś nowego - mówili, żegając się.

- Moi kochani, poczekajcie, aż oprawię, ponumeruję. To jest biblioteczka parafialna - niby się bronił Juliusz.

Roześmiali się.

- Zanim ty oprawisz, bracie, to my już przeczytamy. - Książki wędrowały do przepaścistych kieszeni, a Juliusz cieszył się, że idą w świat.

Juliusz Kolbe był podporą parafii. Zorganizował przy kościele św. Mateusza chór i adoracje miesięczne. Był starszym zelatorem i tercjarzem. Księża cenili jego pomysły i pracę. "Żeby to więcej było takich rodzin, co żyją po bożemu" - mówili. W fabryce nazywano ich "świętym małżeństwem". Trochę na śmiech, ale szanowali ich wszyscy.

Nagle w to spokojne pracowite życie uderzył cios.

Pewnego dnia Kolbe nie wrócił do domu. Matka przyszła z fabryki jeszcze przed południem. Była przygarbiona, jakby się nagle postarzała.

- Mamo, tak wcześnie, co się stało? - zapytał Mundzio.

- Strajk, synku. Robotnicy urządzili wiec i Ender wezwał policję. Ojca wzięli - dodała cicho.

- Ojca?

Mundzio poczuł, że w gardle mu zaschło.

- Dokąd wzięli ojca? - zapytał drżącym głosem.

- Do więzienia.

Zacisnął zęby, żeby nie płakać. Otwierała się przed nim jakaś przepaść. Co z ojcem zrobią? Tylu Polaków wysłali już w głąb Rosji. Może go będą męczyć na śledztwie.

- Trzeba się modlić, Mundziu, żeby tata wrócił - powiedziała matka.

Przyszedł zaraz pan Luboński sprawdzić, czy w domu nie ma jakich niedozwolonych rzeczy.

- Trzeba uprzątnąć. Może być rewizja - mówił. - Robotnicy wybrali delegację, będą żądać zwolnienia więźniów. Fabryka obstawiona i nieczynna. Niech pani przygotuje dla męża paczkę: funt chleba, trochę bielizny, szczotkę do zębów i grzebień. Może uda się doręczyć do więzienia. Czy pani ma pieniądze na życie?

- Mam, panie Ludwiku. Bóg zapłać. Tak się pan troszczy o wszystko, jak prawdziwy przyjaciel.

- Jest nas więcej takich. Niech pani się nie martwi.

- Przecież pan widzi, że nie płacę.

- Juliusza pewno niedługo wypuszczą, bo on jest spokojnym człowiekiem. Nie ma żadnych dowodów przeciw niemu. A zresztą, nie on jeden siedzi.

- Będziemy się modlić do Niepokalanej Matki o pomoc. Ona jest mocniejsza niż ten cały oberpolicmajster.

Tego dnia Mundzio wymknął się do kościoła i ukląkł przed ołtarzem. Odmawiał żarliwie Litanię do Najświętszej Panny i "Pod Twoją obronę". Ale gdy powtarzał: "Synowi Twojemu nas oddawaj" - zebrało mu się na płacz. Ukrył twarz w dłoniach, w myśli zobaczył błogosławiącą rękę Matki Bożej i czerwoną koronę - znak męczeństwa - i przypomniał sobie Jej nabrzmiały współczuciem głos:

- Czy chcesz?

Więc pochylił głowę jeszcze niżej i z uporem powtórzył:

- Chcę.

- Tata mówił, że dla Polski nie żał cierpieć, bo Ojczyzna jest wielka, a człowiek jest przy niej mały, jak proch - powtarzał sobie Mundzio, wracając do domu. A przecież cierpiał - aż mu się twarz ściągnęła bólem.

- Gdzie byłeś? - spytała matka, która krzątała się pracowicie po ubogim mieszkaniu spokojna, tylko jeszcze bardziej skupiona niż zwykle.

- W kościele - odpowiedział krótko.

- Weźmiesz, Mundziu, paczkę i pójdziesz ze mną.

Narzuciła na głowę czarną chustkę, zamknęła starannie drzwi i wzięła Józia za rękę.

- Dokąd, mamo, idziemy?

- Do więzienia.

Dreptał za nią, gdyż szła pospiesznie. Milczał. Paczka objęła mu się koło nóg, ale nie zważał na to.

Wcale nie dziecinne myśli tłoczyły się pod jego krótką czupryną. Burza myśli.

- A gdyby tak robotnicy odbili więźniów? Byłaby strzelanina, walka. On też poszedłby się bić za ojca, który nic złego nie zrobił. I za Polskę, i za tych wszystkich robotników, co się tak muszą męczyć.

Nagle ponad te wszystkie niespokojne myśli wybiła się jedna, wyrażona słowami piosenki: "Nie dbam, jaka spadnie kara".

Aż zwolnił kroku, tak mu się wydało to wszystko trudne i ciężkie.

- Pan Bóg nie pozwala oddawać złem za złe. Nie wolno się mścić - pomyślał.

- Co to, Mundziu, zmęczyłeś się? Daj, to ci pomogę nieść paczkę - rzekła matka, oglądając się za nim. Już dochodzili do więzienia.

Wysoki czerwony mur tchnął na niego ponurym zimnem. Skrzypnęły okute drzwi i usłyszał głos żandarma:

- Czego?

- Przyniosłam paczkę dla więźnia - mówiła matka spokojnie, wchodząc do dyżurki.

- Juliusz Kolbe... czy jest taki? Wzięli go w fabryce Endera w tkalni. Proszę zobaczyć, czy jest?

Żandarm obtarł wąsy i sięgnął po teczkę z papierami.

- Kolbe... Kolbe - mruzczał, wodząc palcem po dużym arkuszu. - Jest.

Matka wsunęła mu rubla do ręki.

- Nu, tak... dawaj - powiedział bardziej przychylnie i odłożył paczkę na stos obok innych, które leżały w kacie.

- Dziękuję - chciała powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

Wyszli prędko na ulicę i oboje odetchnęli głęboko.

W kilka dni po śledztwie wrócił ojciec. Przywitał go okrzyk radości.

- Tato, tato!... - wołali chłopcy, czepiając się jego rąk.

- Ano, puścili mnie jakoś, Bogu dziękować - mówił siadając. - Jeszcze ze dwudziestu siedzi. Będą mieli sprawę o zamieszki.

Ojciec był zarośnięty, brudny i pod oczami miał sine obwódki.

- Zagrzej no wody, matka, to się umyję po tym kazionnym mieszkaniu. Pewnie jeszcze tam co łązi po mnie.

- Odejdźcie, chłopcy - rzekła matka, wrażliwa, jak zawsze, na czystość. Oczy jej się zaszklily, spojrzała na niego serdecznie, prędko przyniosła świeżą bieliznę. Rozglądał się po domu, jakby wrócił z dalekiej podróży. Mógł przecież zajechać aż na Sybir.

- Dzięki Bogu, nikt mnie nie oskarżył - pomyślał z ulgą.

Umył się starannie, przebrał i odzyskał swój dawny humor.

Po obiedzie zaczął znów oprawiać książki. Chłopcy nie odstępowali go na krok. Rozdał im robotę.

- Niech pracują i niech się uczą. Jak dorosną, pójdą walczyć o nową Polskę.

X. Granica

Kościół św. Mateusza był pełen ludzi. Chłopcy Kolbów dopchali się przed wielki ołtarz. Pierwszy raz mieli słuchać nauk misyjnych. Wiedzieli, że przyjedzie z Łodzi zakonnik, franciszkanin, i ogromnie byli ciekawi, jak to będzie. Mundek ukląkł pobożnie i zaczął się modlić. Wobec Bożej wielkości i mocy czuł się zawsze trochę onieśmielony, a niepojęta obecność Pana Jezusa ukrytego w Najświętszym Sakramencie napełniła go głęboką pokorą. Potem obejrzał się. Koło niego klęczał kolega.

- Jak ten Nowak klęczy - pomyślał Mundek ze zgorzaniem.
- Nie dosyć, że na jedno kolano, to jeszcze podparł się jak w karczmie.

Mundek pochylił się do niego i rzekł po cichu:

- Teodor, klęcz na dwa kolana, bo Pan Bóg będzie cię kiedyś za to sądził.

Chłopiec znowu pograżył się w modlitwie.

- Czego ten Mundek chce ode mnie? - pomyślał Nowak. Ale że to było w kościele, poprawił się i nic nie odpowiedział. Potem przyszło zastanowienie:

- Ostatecznie Mundek ma rację. On zawsze taki dokładny i solidny we wszystkim.

Tymczasem na ambonę wszedł ojciec Peregryn Haczela, poprawił kaptur i gromkim głosem odezwał się do wiernych:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mundzio zapomniał o wszystkim i cały zamienił się w słuch. Ach, ten sąd Boży! Ojciec Peregryn jeszcze go utwierdził w tej myśli, że sąd Boży będzie szczegółowy i dokładny. Z każdego słowa trzeba będzie zdać sprawę i oddać ostatni szeląg, zanim się wejdzie do nieba. Mundek pochylił głowę i myślał, że niemałe rzeczy obiecał Matce Najświętszej. Jak on to wszystko wykona, jak wypełni w swym życiu Jej wolę tak, żeby mógł stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem. Jedno jest pewne, że będzie walczył. Bez walki nie zdobywa się nic wielkiego. Będzie walczył o cześć Matki Bożej, o Polskę wolną, wierną Bogu; o dusze ludzkie, które lecą na zatracenie jak zwiędłe liście... Będzie rycerzem Maryi, czystym, bez skazy... Zawsze na służbie, zawsze dla Niej, aż do ostatniego tchu.

Tymczasem nauka się skończyła. Ojciec Haczela ogłasza z ambony, że franciszkanie przyjmują kandydatów do swego gimnazjum we Lwowie. Słowa te wstrząsnęły Mundkiem głęboko.

- Słyszałeś, Franuś? - zagadnął brata.

- Co?

- Pójdziemy do ojca misjonarza i zgłosimy się do gimnazjum. Nauka jest bezpłatna, słyszałeś?

- No, to chodź! - odpowiedział Franek beztrąsko. - Co do mnie, to rodzice pragną już od dawna, bym został księdzem, ale wątpię, czy tobie mama pozwoli.

Mundek poczuł się żywo dotknięty słowami brata, który zdawał się nimi zamykać przed nim rozległe horyzonty, nowych ludzi, nowe warunki, nowe życie.

Ojciec Haczela przyjął ich życzliwie w zakrystii.

- Ja, proszę ojca misjonarza, w sprawie przyjęcia do gimnazjum - odezwał się nieśmiało Franuś.

- Ano, dobrze, zuchu, zobaczymy. Tylko trzeba, żeby rodzice się zgodzili. Niech przyjdzie ojciec.

- Zgodzą się na pewno - zapewnił Franuś.

Mundek stał jak na szpilkach. Dlaczego Franek nic o nim nie wspomniał? Żal ścisnął jego serce na myśl, że tylko starszy brat może być przyjęty. Szybko jednak ochłonął z wrażenia i z zapalem wyrecytował:

- Ja też chcę jechać, proszę ojca. I ja chciałbym być księdzem.

Mówiąc to, pochylił się do ręki zakonnika. Bał się, że go nie przyjmą.

- Aleś ty chyba za młody. Ile masz lat? - rzekł ojciec Haczela.

- Trzynaście - odpowiedział, czerwieniąc się.

- On sobie poradzi - wstawił się za Mundziem ksiądz proboszcz. - Dogonił brata w handlówce, są w jednej klasie. To celujący uczeń i pobożny. Tylko nie wiadomo, czy go rodzice puszcza.

Mundek przez drogę powtarzał najskuteczniejsze modlitwy, jakie tylko sobie przypomniał, ale gdzieś w zakamarkach duszy kołatała się wątpliwość, czy go puszcza.

Matka ani słuchać nie chciała o jego wyjeździe.

- Mundzio zostanie w domu - mówiła - on musi nam pomagać. Józio jeszcze mały. Nie można go zostawić samego.

- Ale ja chcę być księdzem, mamó. Józio pójdzie do szkoły, a ja z Frankiem... pojedę... Pojadę, mamó... - płakał głośno

- Dajże pokój, Mundziu. Pojedziesz, jak będziesz starszy.

- Później znowu coś się stanie i nie pojedę. Ja chcę być księdzem - powtarzał.

Nie można go było uspokoić. Wreszcie ojciec wstawił się za nim i matka zmiękła. Może przypomniała się jej ta chwila, kiedy Mundzio był jeszcze mały i mówił o białej i czerwonej koronie. Łzy popłynęły jej z oczu, objęła go serdecznie rękami i rzekła:

- Nie płacz, Mundziu. Myślałam, że będziesz razem z nami, ale może Pan Bóg chce inaczej. Oddaję cię Matce Niepokalanej. Niech Ona cię prowadzi i strzeże.

- Więc pojedę! - krzyknął. - Mama pozwala.

Zaczął całować ją po rękach, potem zaczesał włosy i obciągnął ubranko.

- Może ojciec Haczela cię nie weźmie - westchnęła.

- Weźmie, weźmie, na pewno - zapewniał Mundek. Zdawało mu się, że wszystkie przeszkody już minęły, pozostała tylko radość, rozmach młodzieńczy i oczekiwanie...

- Przede wszystkim muszę dostać świadectwo z handlówki - mówił ojciec Haczela do Juliusza Kolbego. - W sierpniu pan ich przywiezie do Lwowa. Jakoś się to urządzi, gdy przyjdzie czas.

Był wtedy rok 1907.

Matka pogodziła się z wolą Bożą i przygotowywała chłopcom skromną wyprawkę. Przynieśli dobre cenzurki i zaczęli się żegnać. Odwiedzili dziadków w Rozomyślu i Zduńskiej Woli, ciotki i znajomych.

- Daj mi coś na pamiątkę - poprosił Mundek przyjaciela.

- O, chętnie. Masz lornetkę - odrzekł wzruszony kolega.

- Bóg zapłać - powiedział Mundzio i uściskali się.

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu.

Chłopcy spakowali małe tłumoczki i chodzili koło nich przejęci ważnością chwili. Wreszcie pojechali. Matka została z Józiem. Długo klęcząca przy ołtarzyku i odmawiała za nich różaniec.

Juliusz Kolbe wraz z synami, korzystając z różnych środków lokomocji, dotarł w okolice Miechowa. Chłopcy byli podnieceni wrażeniami podróży, ale jednocześnie zdawali sobie sprawę ze zmian, jakim miało ulec ich dotychczasowe życie. Była noc. Ojciec podesłał im koc i przespali się na twardej ławce, a raniem wyruszyli w stronę granicy rosyjsko-austriackiej. Okolica była prześliczna: ogromne lasy, stare kościołki na wzgórzach i wsie rozrzucone u ich stóp. Chłopcy byli zmęczeni i wlekli nogi za sobą. Na szczęście spotkali gospodarza, który jechał furą. Juliusz Kolbe wdał się z nim w rozmowę i podjechali kawałek drogi. Od słowa do słowa dowiedzieli się, że granica jest już niedaleko i że jeden z gospodarzy, który mieszka po tamtej stronie, ma tu kawał łąki w pasie granicznym i że właśnie ma on zwozić siano, więc mogłby ich łatwo przewieźć.

- Zresztą podjedziemy nieco dalej, to was mu przedstawię - zaproponował woźnica, poganiając konie batem.

- Będziemy panu bardzo wdzięczni za tę przysługę - powiedział uradowany Juliusz.

Wkrótce byli już na miejscu. Gospodarz, z którym pragnęli się spotkać, był zajęty wraz z synem suszeniem siana, podczas gdy jego konie skubały kępki pozostałej gdzieniegdzie trawy.

- Szczęść Boże! - pozdrowili pracujących.

- Bóg zapłać! - odpowiedzieli tamci.

Juliusz przedstawił gospodarzowi całą sprawę.

- No dobrze, jeśli dacie trzy ruble, to was przewiozę za jakie dwie godziny, bo na razie siano jeszcze wilgotne.

- Zgoda. Tymczasem trochę odpocznemy i pomożemy przy ładowaniu siana - powiedział Juliusz.

Około dwunastej wóz był załadowany. Kolbowie, ukryci we wgłębieniu w środkowej części wozu i z głowami pokrytymi cienką warstwą łaskotającego ich karki siana, z trudem chwyтали powietrze.

Gospodarz z synem siedli na samym przodzie i konie ruszyły z miejsca. Na granicy pobieżna inspekcja wozu wypadła pomyślnie, więc pojechali dalej. Chłopców, którzy dotąd musieli siedzieć cicho w swojej kryjówce, rozpieęła radość, że tak szczęśliwie i po bohatersku przedostali się przez granicę. Po załadowaniu siana odpoczęli nieco w chacie. Gospodyni postawiła przed nimi garnek zsiadłego mleka i miskę gorących, obficie okraszonych ziemniaków.

Po obiedzie Kolbowie ruszyli w dalszą drogę. Nic się dookoła nie zmieniło. Ten sam las, gęsty, zielony, z podsyciem paproci i krzaków malinowych, ta sama ziemia polska, a jednak nie groziło im już spotkanie z żandarmami rosyjskimi. Poczuli się wolni, bezpieczni. Przygodną furą dojechali do najbliższej stacji. Chłopców wszystko teraz śmieszyło. Wysokie czapki na głowach kolejarzy i jakaś inna mowa.

- Gdzie mój ćwikier - mówiła starsza pani, która wsiadła do ich przedziału, a chłopak sprzedający bułki powiedział Mundziowi:

- Całuję rączki.

Franek trącał Mundzia co chwilę i przedrzeźniał po cichu:

- Całuję rączki, może precelka? Padam do nóżek, panie dobrodzieju...

Potem obaj zaczęli się sennie kiwać, gdyż byli bardzo zmęczeni i tak wkrótce trzęsącym się, brudnym pociągiem dojechali do Krakowa.

XI. W klasztorze

- Dobrze, dobrze, jedziecie z daleka. Niech się chłopcy prześpią - mówił brat furtian do Juliusza Kolbego.

Ale chłopcy strząsnęli sen z oczu i rozglądali się dookoła. Ciemne mury klasztoru tchnęły jakąś surowością i powagą. Tuż obok wznosił się kościół franciszkański.

- Pójdziemy, tato, zobaczyć jego wnętrze - prosili chłopcy.

Furtian zaprowadził ich do pokoju gościnnego i przyniósł trzy talerze gorącej zupy. Przeżegnali się i w milczeniu jedli. Dopiero teraz poczuli, że są głodni. Ojciec tymczasem rozmawiał z bratem furtianem.

- Dziś już za późno - mówił brat. - Jutro będzie u nas o godzinie szóstej prymaria, to zobaczycie kościół, potem zjecie śniadanie i możecie sobie iść obejrzeć miasto.

Chłopcy spali w klasztorze jak zabici, choć było twardo i ubogo. Mundek obudził się pierwszy i przetarł oczy. Gdzie on jest? Przez okno widać fronton jakiegoś kościoła. Obok śpi ojciec i Franek. - Ach, to Kraków! - Mundzio przypomniał sobie wszystko. Nagle sygnaturka zadzwoniła na Anioł Pański, więc wstali prędko, przeciągając strudzone ramiona.

Po Mszy świętej i śniadaniu ojciec zaprowadził ich na Rynek i do kościoła Mariackiego.

- Patrz, polskie orły - mówił Mundek, przechodząc koło Sukiennic.

Z nabożnym zachwytem patrzyli na wspaniałe wnętrze kościoła Mariackiego, na gotyckie sklepienia i ołtarze. Ze starych murów i świątyń przemówiał do nich potężnie polskość. Oddychali polską tradycją i kulturą. Wydało im się, że daleko na północy zostawili groźbę więzienia i ucisku, ale gdy weszli na Wawel i zobaczyli brudne koszary austriackie w królewskim zamku - ogarnęło ich oburzenie i smutek. Długo patrzyli na szarą Wisłę u stóp wzgórza, a Juliusz Kolbe przygarnął do siebie chłopców i rzekł:

- Piękna i wielka jest nasza Polska, tylko trzeba ją wyrwać z obcych rąk.

Mundek podniósł głowę i w oczach zajaśniały mu dziwne blaski. Więcej niż kiedykolwiek poczuł, jak bardzo kocha swoją Ojczyznę. Tak jak dawni rycerze, postanawiał sobie w głębi duszy, że będzie walczył za Polskę z bronią w ręku.

Wieczorem pożegnawszy się z ojcem wsiedli do pociągu jadącego do Lwowa. Trzęśli się przez całą noc, skuleni na wąskich ławkach. Mijali wsie i miasta, góry i lasy, mosty na bystrych rzekach. Wreszcie pociąg zajechał na wielki dworzec z przeraźliwym gwizdem. Usłyszeli wołanie konduktora:

- Lwów. Pociąg dalej nie jedzie. Wysiadać. - Wyszli, dźwigając ciężkie tobołki, do najbliższego przystanku tramwajowego.

- Nareszcie - mówił zmęczony Franek. Mundek rozglądał się w milczeniu.

- Tu rozpocznie się nowe życie - pomyślał i zaczął się modlić do Matki Bożej, oddając jej pod opiekę swoje powołanie kapłańskie, swoją przyszłość.

Wysiadłszy z tramwaju odnaleźli wkrótce ulicę Franciszkańską i zapukali do furty klasztornej. Od razu wpadli w ruch i gwar internatu, który liczył kilkudziesięciu chłopców. Zjeżdżali się dopiero, więc huczało od śmiechu, powitań i rozmów. Kolbów nikt nie znał. Stali na uboczu i Mundek pomyślał, że to wszystko jest jakieś obce. Mnóstwo nieznanymi twarzami, śpiewny akcent kresowy, nawet ubranie mieli inne. Poczuli się onieśmieleni i trochę śmieszni w przyciasnym pabianickim mundurku z długimi połami jak w tużurku. Gdy zobaczył brata dyżurnego, prędko wyszedł za nim na korytarz, wołając za sobą Franka. W sypialni

kazano im rozpakować rzeczy. Na środkowej ścianie wisiał duży czarny krzyż i Mundek ujrzał cierpiące oblicze Pana Jezusa. W rogu stała figura Niepokalanej przybrana kwiatami. Ucieszył się na jej widok, jak gdyby zobaczył matkę.

- Jest podobna do tej, jaką kiedyś kupiłem sobie na odpuszcie w Lutomiersku, tylko znacznie większa - szepnął z promiennym uśmiechem i, skłoniwszy głowę, odmówił "Pozdrowienie Anielskie". Potem spokojnie zaczął układać rzeczy, nie zważając na zaczepki kolegów.

- Skąd jesteście? - spytał jeden z nich.

- My aż z Pabianic - odpowiedział Mundek grzecznie.

- To u was była rewolucja.

- Rewolucję robią socjaliści - bąknął drugi kolega.

- Ale oni walczą o wolną i niepodległą Polskę - odciął się Franek.

Byłaby się zaczęła jedna z tych zapalczywych młodzieńczych dysput, gdyby nie dzwonek na obiad.

- Chodźcie, zaprowadzimy was do refektarza. Trzeba się spieszyć, bo nam zajmą lepsze miejsca przy stole - zawołali chłopcy, biegnąc na wyścigi do drzwi.

Znajomość była zawarta.

XII. Decyzja

Ze śpiewem wbiegli chłopcy na Kurkową. Cicha zazwyczaj uliczka zarośla się od uczniowskich mundurków. Mieli dziś wolne popołudnie i wychowawca pozwolił im iść na Kajzerwald za miasto. Niedawno jeden z nich przemycił do internatu "Trylogię". Czytali ją ukradkiem pod ławkami, w czasie odrabiania lekcji i w lesie na przechadzce, czasem pod kołdrą w sypialni albo za szafą w korytarzu. Chodzili napęczniali atmosferą wojen, pojedynków i dowcipów pana Zagłoby. Głowy i serca mieli pełne bohaterskich porywów, tak pełne, że dziś właśnie na Kajzerwaldzie szykowała się walna wojenna rozprawa między Kozakami i Polską. Na przodzie biegł Bohun ze swoją watahą, dalej Skrzetuski z czaplím piórem na czapce i dragoni pana Wołodyjowskiego.

Rozłożyli się obozem na wzgórzu i mieli bronić Zbaraża.

Mundek ułożył cały plan strategiczny. Wystawił czaty i kazał przygotowywać amunicję. Żywy, prędki, rozgrzany zabawą, uwijał się jak w ukropie. Nagle z boków i z tyłu rozległ się przeraźliwy wrzask:

- Koli, koli!...

Pierwsza i druga klasa biegła do ataku w gęstym szyku bojowym. Zaczęło się natarcie.

Bawili się wspaniale, dopóki gwizdek wychowawcy nie odwołał ich z placu boju.

Mundek wybił się na pierwsze miejsce nie tylko w zabawie, ale celował także w naukach ścisłych. Z matematyki nie było zadania, którego by nie rozwiązał. Zajmowały go żywo: geometria i fizyka, maszyny i przyrządy fizyczne, linie, ruch, światło... To wszystko pochłaniało jego uwagę. Liczył, rachował, dociekał, uprawiając w podziw profesorów. Najgorzej było z łacina. Siedzieli z Frankiem na jednej ławce i kuli. Jeden pomagał drugiemu jak w domu rodzinnym w Pabianicach. Trzymali się zawsze razem. Franek był gwałtowny i lubił dużo mówić. Mundek raczej nieśmiały i cichy, nigdy się nie bronił, gdy mu dokuczali. Owszem, tylko oczy mu się zaszklily od łez. Chłopcy mówili o nich "Królewiaczy" albo "ci spod Rosji". Nazywali ich też zapaleńcami, zwłaszcza Mundzia, bo zawsze paliły mu się w głowie różne pomysły.

Pewnego dnia, po świętach Bożego Narodzenia, chłopcy wybrali się z wychowawcą do teatru. Grano wtedy "Kościuszkę pod Racławicami". Wszystko wydawało się Mundziowi takie dziwne. Zaciemniona widownia, uderzenie gongu. Wreszcie podniosła się kurtyna i ujrzał Naczelnika w czamarze krakowskiej z ręką podniesioną do przysięgi. Mundek zamarł ze wzruszenia. Wszystko było na scenie: stary ratusz krakowski i Sukiennice, a potem bitwa ze strzelaniem. Oszołomił go huk i zapach prochu. Twarz mu płonęła. A gdy Bartosz Głowacki zawołał: "do ataku!" - i kosynierzy ruszyli na wroga, chwycił mocno poręcz fotela, bo miał chęć lecieć tam do nich i bić się.

- Zwycięstwo, zwycięstwo!

Cóż to za piękne słowo. Oczyma duszy widział ziemię polską deptaną przez najeźdźców i moc tkwiącą w prostym ludzie, który ją wyrwie z niewoli.

- Ale ładne było, Mundek, co? - obudził go z tych myśli kolega, trącając w bok.

- Aha - odpowiedział tylko i dodał, jakby się chciał tłumaczyć - pierwszy raz byłem w teatrze. U nas takich rzeczy nie grają, bo nie wolno...

Gdy się położył wieczorem w internackiej sypialni, marzenia znowu go poniosły.

- Polska musi być wolna.

On też będzie walczył o wolność, jak dawniej rycerze z bronią w ręku, ale przede wszystkim będzie walczył o cześć Najświętszej Maryi, która jest Polski Królową. Nagle zawstydził się. Lepiej od razu uczcić Maryję modlitwą, niż tracić czas na próżne marzenia - pomyślał i wyjął różaniec spod poduszki. Odmówił dziesiątek, potem spokojnie obrócił się na bok i zasnął.

Na drugi dzień, po skończonych lekcjach, chłopcy zebrali się w świetlicy, wyciągnęli szachy, warcaby - wszystko, co mieli.

- Poczekajcie - zawołał nagle Mundek - zabawimy się w strategię.

- Patrzcie! O, to są Raclawice.

- Tu wódz naczelny, tu Bartosz, kosynierzy. Stamtąd naciera nieprzyjaciel.

- Teraz w niego!

Bawili się tak zapamiętale, że nawet dzwonek na kolację powitali niechętnie.

Odtąd zawsze zbierali się wkoło niego.

- Mundek, zabawimy się w wojnę. Wiesz co? To jest dobre. Może nam się później przydać.

Mundek myślał tak samo.

Pewnego dnia poszli na górę zamkową, skąd widać było miasto jak na dłoni.

- Patrzcie - zwrócił uwagę chłopców. - Tu były dawne fortyfikacje. I tu, i tu. Widać jeszcze resztki okopów. A teraz? Miasto jest rozległe. Tu na cmentarzu będzie można postawić artylerię. Na wschód od Łyczakowskiej - pas fortów, czołgi, piechota. A lotnisko? Przecież będą samoloty. Niedługo zbudują raketowe - mówił Mundek. - Jak taki pocisk wyleci z wyrzutni - polecą dokąd zechcesz, choćby na księżyc.

- Et, bajesz, Mundek.

- Wcale nie. - I Mundek zaczął im wyjaśniać zasady, według których zbudowane będą rakiety.

Wrócili do internatu i jeszcze w świetlicy rysowali, na planie miasta, nowoczesne fortyfikacje.

Był już rok 1910 i różne znaki zapowiadały zbliżającą się wojnę.

Pewnego dnia chłopcy poszli do katedry lwowskiej na nabożeństwo. Mundek niedawno czytał "Potop" i miał świeżo w pamięci śluby Jana Kazimierza. Ukląkł przed obrazem Najświętszej Panny Łaskawej i pogrążył się w modlitwie.

"Wielka Boga_człowieka Matko i Królowo". Potężne słowa ślubowania poruszyły w nim jakieś dalekie wspomnienia z dzieciństwa.

Gdy wrócił do internatu, z twarzą przy ziemi obiecał Najświętszej Maryi Pannie, królującej w ołtarzu kościoła franciszkańskiego, że będzie dla Niej walczył:

- Wielka Boga_człowieka Matko i Królowo, ślubuję Ci walczyć z bronią w ręku jak dawni polscy rycerze o Twoją cześć, o Twoje w narodzie królowanie. I nie ustane aż do śmierci.

Znowu zaciągnął zobowiązanie wobec swojej kochanej Matki i Pani. Ale jak się z tego wywiąże? Ścisły, nawykły do myślenia umysł pracował z wytężeniem.

- W jaki sposób można służyć Matce Bożej i Polsce, kiedy Ojczyzna jest w niewoli? Trzeba jej służyć orężnie.

Kiedyś marzył o tym, aby zostać kapłanem, wrywał się po prostu do kapłaństwa, ale teraz nachodziły go myśli, żeby zostać inżynierem, wynalazcą. Swoje zdolności odda Polsce, aby ją prędzej wyzwolić.

Zbliżał się koniec roku szkolnego.

- Franuś, co będziemy robić? - zagadnął jednego dnia brata. - Rodzice chcieli, żebyś był księdzem. Ja też dawniej chciałem.

- A teraz nie chcesz? - spytał Franek.

- Chyba nie. Może będzie wojna... pójdziemy się bić za Polskę - rzekł Mundek. - Chciałbym się jeszcze uczyć matematyki. Może zostanę inżynierem.

- Mundziu, jak ty, to i ja. Pójdziemy do ojca prowincjała powiedzieć mu, że wracamy do domu.

- No, to chodźmy - zdecydował Mundek.

Ale do ojca prowincjała niełatwo było się dostać.

- Ojciec prowincjał zajęty - usłyszeli odpowiedź. Więc czekali, kiedy ich przyjmie. Nagle przybiegł zadyszany brat furcian.

- Chłopcy, matka do was przyjechała. Czeka przy furcie. Chodźcie prędko.

- Matka!?

Nie widzieli jej od trzech lat. Weszli do poczekalni. Przez te trzy lata obaj wyrosli i zmężnieli. Mundek miał szesnaście lat. Frankowi dawno już sypnęły się wąsy. Pani Maria stanęła przed nimi wzruszona, ale energiczna jak zawsze, i rzekła:

- No, chłopcy, przyjechałam się z wami pożegnać. Teraz już jesteście prawie dorośli i na dobrej drodze. W klasztorze się wami zaopiekują, a ja wstępuję do zakonu. Tak postanowiliśmy z ojcem. Józio też ze mną przyjechał. Ojcowie zgodzili się go przyjąć. Będzie was trzech. Niech was Matka Boża strzeże i prowadzi. Będę się za was modlić i błogosławię was...

Gdyby się ziemia pod nimi zapadła, Mundek nie zdziwiłby się więcej. Oto chciał wrócić do świata, by tam realizować swe młodzińcze plany, a tymczasem jego matka i młodszy braciszek postanowili poświęcić się Bogu. Zawstydzony i zmieszany stał chwilę w milczeniu. Na jego trochę dziecinnej twarzy odbiło się zmaganie wewnętrzne. Potem skłonił głowę i poddał się woli Bożej. Matka jest narzędziem łaski, która spływa na niego w tej chwili. Trzeba ją tylko przyjąć pokornie i posłusznie.

W tej chwili zawołali ich do ojca prowincjała.

- No i cóż, chłopcy? - spytał.

- Prosimy o przyjęcie do nowicjatu - odpowiedzieli obaj śmiało. Potem Mundek poszedł do swojej dawnej klasy, popatrzył na krzyż, który wisiał na ścianie, i ukląkł. Widzieli go, jak się modlił długo, żegnając szkołę i świat.

XIII. Nowe imię

4 września 1910 roku przyjął Rajmund z rąk ojca prowincjała franciszkański habit zakonny. Był bardzo przejęty. Wiedział, że to jest pożegnanie swobody, młodzieńczych planów i zamiarów.

Przez chwilę wydało mu się, że odchodzi od niego to, co ukochał, z czym się zrosł od dziecka - a to nowe życie zupełnie inne, nieznanne, jest jak ów czwarty wymiar, o którym lubił opowiadać kolegom. Ale wówczas z głębi świadomości wypłynęło jasne, łagodne spojrzenie, uśmiech Niepokalanej. Przypomniał sobie ślubowanie, że będzie Jej służył wiernie aż do śmierci i pochylił głowę pokornie. Policzki zarumieniły mu się z lekka, a w oczach zajaśniało wzruszenie. Ogarnęła go niepojęta radość, nagle zrodzona w głębi serca. Radość, że wstępuje do zakonu. Na swej nowej, nieznannej drodze będzie miał Matkę; najlepszą, najczystsza Matkę Bożą.

- Wszystko dla Ciebie, Maryjo - szepnął, klękając przed Jej obrazem po skończonej ceremonii obłóczyn.
- Dla Ciebie gotów jestem żyć i umierać, walczyć o Twoją chwałę i cześć.

Wszystkie wyrzeczenia i trudy wydały mu się niczym wobec tego, że Matka Boża wzywa go do świętości.

Musi zostać naprawdę świętym. Otrzymał przecież imię Maksymilian i hasłem jego będzie maksimum dobra - całkowite oddanie się Niepokalanej.

W nowicjacie pokazało się jednak, że życie zakonne nie jest łatwe.

Niełatwe było dla młodych chłopców milczenie, modlitwa, posłuszeństwo. Ojciec magister Sowiak nie znosił wybryków, zwłaszcza próżności i elegancji. Gdy zobaczył u młodego brata kapelusza na bakier albo inne oznaki, że nowicjusz zerka jeszcze w stronę kochanego lwowskiego świata - karciał ostro.

Nie wszyscy mogli wytrzymać dyscyplinę zakonną.

- Nowicjat jest próbą - możesz odejść - odpowiadał na ich skargi ojciec prowincjał. - Co to za zakonnik, który nie kocha posłuszeństwa, pokory? Nie masz widać powołania, bracie.

Niektórzy odchodzili, ale ci, co zostali, byli jak żołnierze zahartowani w boju, w najtrudniejszej walce z samym sobą. Brat Maksymilian od dziecka przywykł do posłuszeństwa i ubóstwa. Nieraz w życiu bywało mu chłodno i głodno. Każda praca była dla niego dobra. Toteż gdy inni narzekali, on z radością szedł rąbać drzewo albo szorować garnki. Był skromny i nieśmiały, jak człowiek, który zdobył bezcenny skarb i boi się go utracić.

- Maksio jest najpobożniejszy z nas wszystkich - mówili nowicjusze.

Maksio uśmiechał się i mruzczał. Rano szedł do kaplicy. Codzienna Komunia święta dawała mu coraz więcej przeżyć. Odczuwał w niej cały bezmiar miłości Bożej, nasyczał się nią, karmił, a potem wychodził z kaplicy cichy, z odblaskiem szczęścia w oczach. Przez cały dzień starał się być skupiony, ale to nie było łatwe. W gromadzie młodych nowicjuszy ścierały się różne usposobienia i poglądy, wychodziły na wierzch różne wady. Pod surowym okiem magistra on także mieszał się i tracił swój zwykły spokój. Zbyt żywe spojrzenie, za głośny śmiech lub burzliwa dyskusja z kolegami wydawały mu się przestępstwem. Gdy szedł prędzej, habit płatał mu się koło nóg, przypominając o karności zakonnej.

- Nigdy nie będę dobrym zakonnikiem - myślał z goryczą.

Im więcej się starał, tym bardziej był niezadowolony z siebie i niespokojny. Szedł wówczas do spowiedzi i wyznawał swą nieudolność, a wtedy duszę jego wypełniał błogi spokój. Czemuż się dręczył?

Spowiednik kazał mu więcej ufać, przyjść poradzić się, zapytać i młodziutki brat Maksymilian zawierzył świętemu posłuszeństwu. Odzyskał radość wewnętrzną, na rekolekcjach śmiał się i żartował, opowiadał kolegom o raketach, które polecą na księżyc, i o samolotach odrzutowych. Dyskutował z nimi o spodziewanej wielkiej wojnie i o wolnej, niepodległej Polsce. Wówczas w jego łagodnych piwnych oczach pojawiały się dziwne błyski. Rozkładał na stole mapę Polski - wyciągali, skąd mogli, pionki do gier, guziki, krążki i bawili się w wojnę. Każdy miał swoją armię według wszelkich prawideł strategii.

Pewnego dnia w najciekawszej chwili przerwał im zabawę dzwonek.

- Potem dokończymy - zawołał brat Maksymilian i przypomniał sobie naraz: - Silentium.

Jeszcze w refektarzu szeptali, kto zwycięży. Po wieczery spieszyli wszyscy rozegrać partię. Nagle jeden z nich, zapewne dla żartu, zawiązał rękawem po stole i pomieszał wszystko.

- Nie ruszaj - wołał z daleka Maksymilian, ale już było za późno. Gorąco uderzyło mu do głowy i już miał wybuchnąć. Słowa ostre, bezwzględne cisnęły mu się na usta, zacisnął pięści - lecz zamilczał.

Stał chwilę ze spuszczonej oczami, potem uśmiechnął się i wyszedł spokojnie z sali. To było jego rzeczywiste zwycięstwo. Mimo to brat Maksymilian nie był zadowolony z siebie. Wątpliwości i skrupuły męczyły go prawie bez przerwy, w końcu wróg przypuścił decydujący atak.

Przyrzekłem Matce Najświętszej, że będę rycerzem i z bronią w ręku będę walczył o Jej cześć, o Polskę wolną, która stanie się przedmurzem wiary - myślał pewnego dnia wieczorem. - A teraz co? Wstąpiłem do zakonu. Rycerz w habitach?... Z różańcem... Wojna wybuchnie i co wtedy? Wszyscy pójdą walczyć, a ja... - Gorycz zalała mu serce. Nawet na twarzy malowała się wewnętrzna rozterka.

- Nie wiem, co mam robić - zwierzał się ojcu magistrowi. - Złamałem przyrzeczenie.

Ojciec magister pochylił się nad nim uważnie. Znał go już trochę. Ten młody nowicjusz miał wciąż trudności ze sobą, ale miał tyle dobrej woli - to znak powołania.

- Chcesz walczyć ze złem, to dobrze - odpowiedział. - Zakonnik jest człowiekiem, który walczy. Nie z ludźmi, ale z tym, co ludzi niszczy, to jest z grzechem.

- Nie zniszczy grzechu wojna - ciągnął dalej ojciec magister - lecz jeszcze go przymnoży, przyniesie ze sobą okrucieństwo, zniszczenie, grabież i nagłą śmierć mnóstwa ludzi. Nasza walka - to modlitwa. To jest nasza broń... Naśladuj Matkę Bożą. Czymże Ona zwycięża wszystkie herezje na świecie? - pokorą, czystością, modlitwą. Zamienię ci to młodzieńcze przyrzeczenie na codzienną modlitwę o zwycięstwo sprawy Bożej, o triumf Niepokalanej. Dobrze?

- Dobrze - odrzekł brat Maksymilian i odetchnął głęboko, bijąc się w piersi.

Teraz znów widział jasno drogę, którą chciał iść. Jest to droga Boża, droga Niepokalanej. Zmąciła mu serce i umysł chęć walki zbrojnej. Ale to jest natura, a gdzie łaska? Łaska jest tu: w posłuszeństwie, w miłości Bożej, w pokorze i wierności powołania aż do wylania krwi.

Kłęcząc długo przed ołtarzem odmawiając "Pod Twoją obronę". Myślą ogarniał cały świat, nieprzeliczone mnóstwo dusz, które chciałby rzucić pod stopy Niepokalanej, uświęcić i uszczęśliwić.

XIV. W Krakowie

Juliusz Kolbe nie mógł się nacieszyć synem. Zabrał go na miasto, chodzili po starym Krakowie i opowiadali sobie dzieje ostatnich lat.

- Dobrze wyglądasz, Mundziu, tak wyrosłeś - mówił uradowany ojciec.

- To po wakacjach, tato - roześmiał się brat Maksymilian.

W Kalwarii Pałacowskiej było mu tak dobrze. Pławił się w słońcu, wiązał snopy i zarzucał na furę - używał rozkoszy wsi.

Ojcowie franciszkanie mieli w Kalwarii Pałacowskiej gospodarstwo, a w dodatku Maksio zawarł znajomość z klerykiem Wenantym Katarzyńcem, który mu bardzo przypadł do serca. Zawsze razem chodzili na przechadzki i do kaplic, rozsianych na wzgórzach przyklasztornych.

Wenanty - to był wzór. Pogodny, zawsze równy, wszystkie przepisy zakonne wypełniał z uśmiechem, a duszą był już na wpół w niebie. Jak on się modlił! To szczęście, że na studiach w Krakowie można się będzie z nim spotkać, rozmawiać o świętości - myślał brat Maksymilian, idąc z ojcem przez Planty.

- No, to już jesteś absolwentem gimnazjum - zagadnął Juliusz.

- A tak. Szczęśliwie skończyłem gimnazjum we Lwowie. Już jestem po ślubach. Ale to nie koniec nauki, tato. Mam teraz studiować filozofię i teologię w Krakowie.

- Widziałeś się z matką?

- Tak. Jest u Sióstr Benedyktynek.

- Zadowolona?

- Mama? Ależ tak. Tylko nie chce się wyrzec "franciszkaństwa". Może się przenieść do Krakowa, do Sióstr Felicjanek.

- A tata? - spytał Maksymilian - co tata robi teraz?

- Ja, synku, siedzę sobie u Ojców jak u Pana Boga za piecem. Trochę sprzedaję dewocjonaalia, trochę pomagam w zakrystii. Pamiętasz, jakeśmy to się przeprawiali pierwszy raz przez granicę? Tam u nas, po tamtej stronie, wszystkiego brak, co polskie, co duszę krzepi. Dowożę im różne książeczki, pamiątki. Czasem chłopcy z drużyn chcą, żeby im co przewieźć dla tamtych, wiesz. Młodzi się zbroją. Będzie wojna. Jeszcze i stary Kolbe pójdzie walczyć o nową Polskę, zobaczysz.

Z daleka widać było kopiec Kościuszki, a tu bliżej, na Błoniach Krakowskich, pluton strzelców ćwiczył musztrę. Brat Maksymilian uśmiechnął się i odruchowo wziął do ręki różaniec.

- Wracajmy, tato - rzekł - bo na mnie pora.

Upłynęło parę tygodni. Brat Maksymilian uczył się filozofii. Jego ścisły umysł z radością zagłębiał się w różne zagadnienia logiki i wyprowadzał wnioski, które swoją bystrością zwracały uwagę profesorów.

Nagle pewnego dnia wezwano go do ojca magistra. Nie wiedział, o co chodzi, i siedł, modląc się.

- Podałem cię jako kandydata na wyjazd do Rzymu - mówił ojciec magister, przechadzając się po celi.

- Będziesz chodził na Gregorianum i tam ukończysz studia. Pojedzie was siedmiu ze Lwowa. Cóż ty na to?

Brat Maksymilian zmieszał się ogromnie. Stał chwilę, zaskoczony, bez słowa, wreszcie rzekł, czerwieniąc się.

- Jeśli można - to ja chciałbym się zrzec. Ja nie pojedę.

Ojciec magister popatrzył na niego zdziwiony, wreszcie rzekł:

- Jak chcesz. Myślałem, że się ucieszysz, bo to jest wyróżnienie i zaszczyt. Jeśli się zrekasz, to za ciebie pojedzie kto inny.

Brat Maksymilian wyszedł. Czuł się bardzo nieszczęśliwy. - Właściwie dlaczego się zrekł? Skoro przełożeni tak postanowili, to jest wola Boże. - Długo nie mógł zasnąć. Myślał i modlił się. Na drugi dzień z westchnieniem zapukał do celi ojca magistra.

- No, cóż powiesz? - zagadnął go ojciec magister wesoło.

- Proszę ojca magistra... jeśli można.... to ja... pojedę. Już tak sobie rozważyłem. Jak postanowili przełożeni, tak niech będzie.

- No, dobrze, dobrze. Możesz jechać. Twoje miejsce jeszcze nie zajęte. Tylko musisz się zbierać, bo to już niedługo. Oni wszyscy rozjechali się do swoich rodzin na pożegnanie, a ty?

- Ja nie mam dokąd jechać.

- Z matką widziałeś się niedawno?

- Tak, po wakacjach.

- No, a ojciec? Jest w Krakowie, prawda? Dostaniesz zezwolenie na dwa dni. Niech się ojciec tobą nacieszy. Możesz z nim chodzić, dokąd chcesz. Nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczycie.

** ** **

Kilka dni minęło jak sen. Długie przechadzki z ojcem, adoracje w pięknych krakowskich kościołach, wspomnienia dzieciństwa. Wszystko zapadło mu w duszę głęboko ukrywanym wzruszeniem.

Poniedziałek 28 października 1912 roku - była to pamiętna dla nich data.

Cała gromadka zebrała się na dworcu: brat Rajner Gościński, brat Ludwik K~onig, brat Hugolin Czyż, brat Anzelm Kubit, brat Łukasz Krukar i brat Feliks Wilk, wreszcie brat Maksymilian Kolbe. Odprowadzali ich przełożeni, rodziny i współbracia, którzy wystarali się o wygodny przedział. Serdecznie żegnano kleryków. Ojciec magister pobłogosławił ich znakiem krzyża. Zgrzytnęły hamulce i pociąg pospieszny z tabliczką "Wien" ruszył w ciemność nocy. Brat Maksymilian przeżegnał się i zaczął odmawiać różaniec. Mijali miasta i wsie. Przejechali dawną granicę Polski. Słysząc było coraz cichsze i coraz rzadziej rzucane słowa, jeszcze ktoś z trzaskiem otworzył drzwi, szukając miejsca, i wszyscy posnęli.

Czekała ich podróż niemała: dwie noce i prawie dwa dni mieli spędzić w pociągu. Nad ranem przeciągali strudzone członki, ale gdy przejechali granicę austriacko_włoską, zapomnieli o zmęczeniu. Brat Maksymilian stanął w oknie i patrzył z zachwytem na olbrzymi masyw Alp pokrytych śniegiem. Wysoko, na zboczach skał raz po raz ukazywały się schroniska, zamki i kościoły, a w dole wiły się błękitne wstęgi rzek, po których mknęły żaglówki.

- Patrzcie, jaka to potęga, ile piękna - mówił do braci. Z duszy popłynęły słowa uwielbienia dla Boga, dla Jego mądrości i wszechmocy. Wreszcie minęli góry i wjechali w dolinę Padu w pobliżu wybrzeża Adriatyku. Później znowu przejeżdżali wśród wzgórz, na których rosły gaje oliwne i winnice. W nocy minęli Bolonię i inne miasta, a we środę około południa usłyszeli wołanie: Roma! Ruch się zrobił w pociągu. Wszyscy zaczęli wkładać płaszcze i zabierać swe rzeczy. Wreszcie pociąg stanął. Nasi bracia wyszli za innymi i rozglądali się niepewnie. Nagle zobaczyli dwa habity franciszkańskie i twarze im się rozjaśniły. Cóż dopiero gdy usłyszeli na dworcu w stolicy Włoch mowę polską. Szło naprzeciw nich dwóch młodych kleryków polskich, wesołych, uśmiechniętych, a jeden z nich wołał:

- Witajcie! Ojciec rektor przysłał nas tutaj, żebyście się po drodze nie zgubili. Jest nas w kolegium dziesięciu Polaków z Ameryki. A wy skąd jesteście?

- Ze Lwowa.

- Niech żyją lwowiacy! Zamówiliśmy dorożkę po rzeczy. Kto z was chce, może jechać, a my pójdziemy sobie pieszo do kolegium na via San Teodoro 42.

XV. Rzym

"Nasze kolegium jest naprawdę międzynarodowe - pisał brat Maksymilian do matki - bo są tu prócz Polaków trzej Niemcy, dwaj Węgrzy, jeden Czech, jeden Chorwat, jeden Maltańczyk i wielu Włochów. Jest nam tu bardzo dobrze. Można też słyszeć najrozmaitsze języki".

Brat Maksymilian studiował na Gregorianum filozofię i matematykę. W czwartki razem z kolegami zwiedzał Rzym. Przechadzka kończyła się zwykle adoracją Najświętszego Sakramentu. Podziwiał dzieła sztuki i piękne starożytne kościoły, których w Rzymie jest około trzysta.

"Rzym, to jeden wielki relikwiarz kości i krwi świętych - pisał brat Maksymilian do matki - a zarazem wspaniały pomnik miasta cesarów, którzy rozkazywali całemu podówczas znanemu światu. Więc obok katakumb, kościołów z bogatymi relikwiarzami, leży tu pełno gruzów - to starych murów, to pałaców cesarów, to znów łaźni i wielu innych budowli".

Nie trzeba było daleko chodzić, żeby nasycić oczy pięknem Rzymu. Po skończonej nauce brat Maksymilian stawał nieraz w oknie kolegium i patrzył na rozległy widok, jaki się stamtąd roztaczał. "Prawdziwe cmentarzysko: szczątki starych murów pałacu na Palatynie, otoczone zielenią wspinającą się na wysoki pagórek, a u jego stóp ciągnie się płaszczyna, cała pokryta szczątkami kolumn i murów. Na końcu widać walące się Koloseum, gdzie cała ziemia przesiąkała krwią męczenników".

21 listopada klerycy z kolegium poszli na solenne nieszpory do kościoła św. Cecylii.

"Wrażenie rzeczywiście niemałe - pisał brat Maksymilian - śliczny śpiew (chóry nasze niech się schowają) złożony z mężczyzn i chłopców. Około stu pajaków dwunastoświecowych. Cały kościół napełniony prawie samymi klerykami i księżmi z rozmaitych stron świata.

Kościół to dawny pałac, tylko trochę przerobiony. Z boku widzieliśmy nawet pokój Świętej służący do kąpieli. W tym kościele jest także trumna z jej zwłokami. Tu była zamordowana".

Być w Rzymie, a nie widzieć Papieża!... Pierwsze kroki po przyjeździe skierowali polscy klerycy do bazyliki św. Piotra.

Piazza San Pietro: fontanny, krużganki. Bazylika z wielką renesansową kopułą wywarła na nich imponujące wrażenie. Zadzierali głowy do góry, oglądając w milczeniu białe marmurowe rzeźby, złożone ganki i ołtarze.

- Ale wielka! - westchnął któryś nabożnie.

Wkrótce doczekali się też audiencji u Papieża. Ruch był w kolegium od rana. Ach, jak się szykowali. Świętecznie ubrani, uroczyści - wyruszyli z profesorami i ojcem rektorem do Watykanu.

Brat Maksymilian z radością i wzruszeniem wstępował na marmurowe schody. Przy wejściu trzymali straż halabardnicy w średniowiecznych strojach.

Ojciec św., wszedłszy na salę audiencyjną w otoczeniu swej świty, nie ograniczył się do udzielenia ogólnego błogosławieństwa zebrany, ale pozwolił też każdemu przy powitaniu i pożegnaniu ucałować pierścień Rybaka. Wysłuchał uważnie przemówienia ojca rektora i sam również przemówił.

- Oto jest Piotr w osobie swego następcy - myślał wzruszony brat Maksymilian. - Jak wielki, jak święty jest nasz Kościół Katolicki, rozsiany po całym świecie. Czemuż to jeszcze nie wszyscy znają Chrystusa i słodką Matkę Bożą?

Ogarnęło go pragnienie apostołstwa. Chciałby cały świat rzucić pod stopy Niepokalanej, jak najprędzej iść głosić słowo Boże.

Na razie jednak przypomniał sobie, że jest tylko ubogim klerykiem zakonnym i niewiele znaczy na tym świecie. Może się tylko uczyć, więc uczył się z zapałem.

Nadeszła wiosna. Na ulicach Rzymu pojawiły się kwiaty: złote pióropusze mimozy, żonkile i fiołki. Niebo było lazurowe i słońce przypiekało lepiej niż u nas w lipcu. W bazylice św. Piotra i we wszystkich kościołach odprawiały się wielkotygodniowe nabożeństwa z udziałem kardynałów i biskupów. Klerycy wybrali się do katedry świętego Piotra. Brat Maksymilian stał w tłumie wiernych. Nagle zobaczył, że wszystkie głowy podniosły się w górę - na balkonie stał kardynał w purpurowym płaszczu i błogosławił lud wielkim złotym relikwiarzem, w którym było drzewo Krzyża świętego.

- Nic nie widzę, pożycz mi okularów - szepnął brat Maksymilian do kolegi, który stał obok.

Kardynał skończył błogosławić, wziął w ręce drugą pamiątkę Męki Pańskiej - chustę św. Weroniki - i podniósł wysoko.

Brat Maksymilian spojrział. Przed nim widniała twarz Pana Jezusa cudownie odbita na chuście. Skłonił głowę razem z innymi. Tymczasem rozległ się głos dzwonu na znak, że benedykcja skończona.

W czerwcu 1913 roku brat Maksymilian był jeszcze dwa razy u św. Piusa X na audiencji publicznej.

"Tysięczne tłumy (choć niełatwo otrzymać bilet) wypełniały dziedziniec św. Damazego. Poprzedzony biciem bębnów i muzyką orkiestry papieskich szwajcarów, stojących na dziedzińcu, ukazał się Ojciec święty na balkonie w gronie towarzyszących mu dostojników. Natychmiast powitał go grzmot oklasków. On zaś spoglądał miłościwie, jak ojciec na swe dzieci i król na swych poddanych. Z boku bowiem powiewa chorągiew żółto-biała, a na dziedzińcu stoją żołnierze i gwardziści papiescy, i lud.

Oklaski głuszą muzykę, a w niebo wzbija się okrzyk: "Niech żyje Papież!" Wnet jednak ucichła muzyka i oklaski, zgięły się kolana tłumów, a on, zastępca Pana Jezusa na ziemi, donośnym głosem wyrzekł: "Sit nomen Domini benedictum!" - "Ex hoc nunc et usque in saeculum!" - odpowiedzieli otaczający go kapłani. Następnie wyciągnął rękę, głowy się pochyliły, a wśród ciszy rozległ się czysty głos: "Benedicat vos - omnipotens Deus - Pater - et Filius - et Spiritus Sanctus!" - "Amen" - zaszumiała odpowiedź. Natychmiast zabrzmiała muzyka, a oklaski tysięcznych tłumów wstrząsnęły murami".

Rok szkolny kończył się. Brat Maksymilian zdał dobrze egzaminy i wyjechał na wakacje do Zagarolo, gdzie franciszkanie mieli dość obszerny konwent. Dobrze to były wakacje: stare włoskie miasteczko rozsiadło się wśród gajów pomarańczowych i słodko pachnących winnic. Brat Maksymilian chodził na przechadzki razem z klerykami.

Odpoczywali nieraz, leżąc na łące. Brat Maksymilian nie kładł się nigdy. Siadał obok nich i wyciągał z kieszeni polską książkę. Nikomu z nich nie chciało się czytać. W upalne popołudnie ogarniało ich lenistwo. Patrzyli w niebo i tęsknili do dalekiej Ojczyzny.

W końcu któryś spytał:

- Coś ty przyniósł, Maksiu?

- "Trylogię".

- O, to dobrze, czytaj, czytaj...

"Trylogia" pomagała im odetchnąć polskością. Więc brat Maksymilian czytał. Czasem opuszczał parę zdań ze słowami:

- Co wam po tym!

Wiedzieli, dlaczego. Był bardzo delikatny pod względem cnoty czystości. Bardzo skromny i uważny. Usuwał się nieraz nieznacznie od kolegów, idąc ulicą, spuszczał oczy. Nie chciał widzieć różnych ludzi i spraw, które mogły mu zmacić duszę.

W październiku wrócili do Rzymu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zdrowie brata Maksymiliana, które nagle psuć się zaczęło.

- Cóż to, Maksymilianie, taki jesteś smutny - zagadnął go, przechodząc, ojciec rektor.

Brat Maksymilian szedł właśnie od lekarza z ręką na temblaku, owiniętą grubo bandażem.

- Nie wiem, proszę ojca rektora, co ze mną będzie, palec się nie chce goić. Lekarz mówi, że kość się psuje; trzeba będzie skrobać, a może odjąć palec. Niby mała rzecz, a przeszkoda do kapłaństwa.

- Z małej rzeczy nieraz wielkie powstają. Ja ci dam lekarstwo. Wiesz, co to jest? - mówił ojciec rektor, pokazując mu flaszkę, gdy weszli do celi. - Woda z Lourdes. Gdy miałem dwanaście lat, psuła mi się kość w stopie. Krzyczałem z bólu, nie mogłem wcale spać. W końcu mieli mi odjąć nogę. Widząc to, moja zacna matka wystarała się o wodę z Lourdes. Odrzuciła maści. Wymyła mi nogę wodą z mydłem, a potem przyłożyła cudowną wodę. I cóż powiesz? Pierwszy raz zasnąłem. Gdy się obudziłem byłem zdrow. Lekarz nie chciał wierzyć, dopiero gdy kawałek zepsutej kości oderwał się i wyszedł na wierzch - uznał, że uzdrowienie było niezwykle i - nawrócił się. Pomódl się do Matki Bożej i spróbuj. Ale najpierw idź z tym do lekarza.

- Co, woda z Lourdes? - ucieszył się lekarz. - Spróbujemy. Woda z Lourdes ma w sobie coś uzdrawiającego. Medycyna nie wie, co to jest, ale fakt faktem, trzeba uznać niezwykle działanie.

Jakaż była radość brata Maksymiliana, gdy na drugi dzień lekarz obejrzał palec i powiedział:

- Ależ tak, jest lepiej. Nie potrzeba już operacji.

Po kilku opatrunkach zgoiło się wszystko. Chwała Bogu i Niepokalanej! Brat Maksymilian utwierdził się na swej drodze. Powołanie kapłańskie, a może i życie, zawdzięczał niepojętej dobroci Matki Bożej. Czymże Jej się odpłaci?

XVI. Rok 1914

Szła piosenka żołnierska przez Polskę, od Błoń Krakowskich, przez granicę w stronę Miechowa, Konar, Kielc. Szły oddziały legionistów uzbrojone w stare karabiny austriackie, bez prawa kombatantów, bez żadnych praw. Jedynym ich świętym, niewzruszonym prawem było prawo człowieka do wolności.

Szedł z nimi Juliusz Kolbe w mundurze oficerskim pogodny, wesoły jak zawsze. Że też doczekał się tej chwili! Oto na własne oczy ogląda wolną Polskę. Każdy krok żołnierski, każdy zatknięty wysoko biało_czerwony sztandar śpiewa mu w duszy pieśń o zmartwychwstałej Ojczyźnie.

Niedługo się cieszył. Jesienią 1914 roku, pomiędzy Olkuszem a Miechowem, otoczyli ich Rosjanie w przeważającej liczbie. Żołnierz strudzony spał. Nagle rozległ się gwizdek. Zerwali się, chwycili za broń. Zawrzała bitwa, jedna z tych krótkich, gwałtownych potyczek, w których walczy się na życie i śmierć. W blasku pożaru chłopcy ostrzeliwując się opuszczali wieś. Juliusz Kolbe krył odwrot. Ścisnął w rękę rewolwer, chciał się bronić do ostatka, ale nagle w oczach zrobiło mu się ciemno i upadł lekko ranny. Otoczono go i związano ręce w tył.

- Koniec ze mną - pomyślał i zaczął się modlić.

Na drugi dzień zawisł na szubienicy, na skraju wsi na postrach dla "buntowuszczyków". Zaczny, bohaterski Juliusz Kolbe.

** ** **

W Krakowie brat Walerian Franciszek Kolbe chodził szybkim krokiem po ogrodzie klasztorным.

- Wojna... Gazety ogłaszają komunikaty. Ofensywa rosyjska na Lwów, a on tu, zamknięty w murach klasztornych. Na co czeka? Legioniści wyruszają z Krakowa. Może to już ostatnia chwila, żeby iść. Później wrócę... będziemy się uczyć... teraz chodźmy się bić - szeptał sam do siebie.

I poszedł.

Brat Maksymilian na próżno pisał listy do kraju.

"Żadnej wiadomości od Mamy nie otrzymałem. Od Taty zaś już od roku nie dostałem listu. Co się tam dzieje z Tatą i z Józkiem" - zapytuje w liście do matki.

On sam jest bardzo zajęty. Studiował filozofię ścisłą, nadto uczęszczał przez dwa lata na wyższy kurs matematyki oraz na fizykę, chemię, biologię, astronomię, historię sztuki. Jak zwykle pochłaniała go matematyka i nauki przyrodnicze, ale ponad tym wszystkim żył życiem modlitwy i przygotowywał się pilnie do święceń kapłańskich. Dnia 28 października 1914 roku ukląkł na stopniach ołtarza w kaplicy Collegio Pio Latino_americano, by otrzymać tonsurę, i ze wzruszeniem powtarzał słowa: "Pan częścią dziedzictwa mego i kielicha mego. Tyś jest, który mi wrócisz dziedzictwo moje".

Nożyce kardynała dotknęły jego pochylonej głowy.

"Niech cię Pan oblecze w nowego człowieka, który stworzony był na wzór Boga w sprawiedliwości i prawdziwej świętości" - mówił biskup, wkładając na niego komżę.

1 listopada 1914 roku odbyła się uroczystość zakonna: brat Maksymilian złożył profesję uroczystą i przybrał imię: Maria. Odtąd hasłem jego było: "miłość bez granic". Miłość do Eucharystycznego Chrystusa i do

Matki Najświętszej przenikała najgłębsze tajniki jego serca. Wpisał się do Bractwa Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu w klasztorze Sióstr Franciszkanek fuori Porta Pia.

Nawet w czasie przechadzek z kolegium do kościoła i z powrotem, na jego propozycję, klerycy odmawiali wspólnie różaniec i inne modlitwy, szczególnie: "Pomnij, o najdobrotliwsza Panno Maryjo" i "Pod Twoją obronę". W rozmowie z kolegami nazywał Matkę Bożą zawsze tym słodkim imieniem "Mamma mia".

Pewnego dnia szli z ojcem Palem z kościoła Dwunastu Apostołów do kolegium. Naprzeciwko nich szła z pracy gromada młodych robotników. Może byli podpici albo czymś rozgoryczeni. Zachowywali się hałaśliwie i głośno bluźnili Najświętszej Pannie. Brat Maksymilian, zwykle tak łagodny i pokorny, zaczerwienił się z oburzenia. Zostawił swego towarzysza i szedł ku nim energicznym krokiem.

- Nie chodź do nich, Maksymilianie, to łobuzeria, jeszcze ci co zrobią - wołał za nim ojciec Pal.

Brat Maksymilian podszedł do nich i ze łzami w oczach zapytał:

- Dlaczego tak bluźnicie?

- A tak, żeby sobie ulżyć - odpowiedzieli trochę lekkomyślnie.

- Ulżyć? Na pewno jest wam jeszcze ciężiej. Co się dzieje w waszych duszach? Przecież to straszny grzech; nie uszanować Najczystszej, Najświętszej Matki Boga. Proszę was, nie czyńcie tego więcej, opanujcie się. Zobaczycie. Ona wam będzie błogosławić.

Ojciec Pal czekał trochę niespokojnie na wynik tej rozmowy. Brat Maksymilian nie ustąpił jednak. Doprowadził do tego, że obiecali się poprawić.

- O, Santa Maria! - modlił się wieczorem brat Maksymilian w kaplicy kolegium. - Miej miłosierdzie nad ludźmi. Patrz, co się dzieje na świecie - dusze giną. Uproś nam pokój, pokój dla mojej skołatanej Ojczyzny, pokój dla Europy, pokój dla dusz.

XVII. Rycerze Niepokalanej

W roku 1915 Włochy przystąpiły do wojny. W kolegium franciszkańskim zapanował niezwykły ruch. Klerycy z Małopolski spod zaboru austriackiego wyjeżdżali pospiesznie do neutralnej Szwajcarii.

Z bratem Maksymilianem nie wiadomo było, co robić. Nie miał żadnych dokumentów, a w Rzymie, jako obcokrajowiec, nie mógł pozostać.

Ojcowie wysłali go z bratem Albinem do małej republiki San Marino. Wszędzie panowało podniecenie wojenne.

W miesiąc po przyjeździe, w nocy, ktoś w pobliżu ich mieszkania zapalił światło. Może dawał jakieś sygnały. Policja zaczęła szukać winowajcy i zwróciła uwagę na cudzoziemców. Chociaż byli niewinni, kazano im wyjechać z San Marino.

Wrócili do Rzymu. Na szczęście znalazł się jakiś Polak, który w ambasadzie rosyjskiej ułatwił im zdobycie paszportów. Odtąd brat Maksymilian mógł spokojnie pracować. 22 października 1915 roku uzyskał doktorat z filozofii i studiował teologię na Papieskim Wydziale Teologicznym św. Bonawentury Ojców Franciszkanów w Rzymie.

Był tak pobożny, że koledzy uważali go niemal za świętego. Zwykle przychodził do kaplicy jeden z pierwszych, a wychodził ostatni. Modlił się z ufnością dziecka. Po Komunii świętej w jego oczach malowała się nieziemską radość. Podziwiali jego drobiazgową wierność regule. Na głos dzwonka w pół zdania przerywał rozmowę i szedł na wezwanie.

Ojciec rektor Bondini miał do niego wielkie zaufanie.

- Maksymilian jest pewny - mówił. - Jak co powie, to tak jest.

Potem wybranorektorem ojca Ignudiego. Był to wybitny kaznodzieja, literat, znawca Dantego.

Ojciec Ignudi nie mógł się pogodzić ze zniesieniem Państwa Kościelnego i z rządami masonerii we Włoszech.

Pewnego dnia brat Maksymilian zwrócił się do ojca Józefa Pała z propozycją, aby mu towarzyszył do Palazzo Verde della Massoneria.

- Po co? - spytał ojciec Pal.

- Poprosimy o rozmowę z wielkim mistrzem i z masonami. Spróbujemy ich nawrócić - mówił gorąco brat Maksymilian.

- Dobrze, jeśli ojciec rektor pozwoli, chętnie z tobą pojedę.

Po rekreacji brat Maksymilian udał się natychmiast do ojca Ignudiego i przedstawił mu swój zamiar.

Oczywiście spotkał się z odmową. Zmieszany i zrezygnowany wrócił na dziedziniec klasztorny.

- No i co? - zagadnął ojciec Pal, który czekał na odpowiedź.

- Ojciec rektor powiedział, że nie jest temu przeciwny, ale może lepiej będzie na razie modlić się za masonów. Wobec tego chodźmy do kaplicy - dodał pokornie. - Pomodlimy się wspólnie w tej intencji.

** ** *

20 stycznia 1917 roku brat Maksymilian odprawiał rozmyślania poranne. Była to rocznica objawienia się Matki Bożej Ratisbonne.owi, który został cudownie nawrócony.

- Jaka Matka Boża jest potężna! Jeśli zechce, może przemienić duszę, może przemienić cały świat - mówił tego dnia do ojca Pała z błyskiem nadprzyrodzonej radości w oczach. - Musimy się gorąco modlić, aby Niepokalana zwyciężyła.

Brat Maksymilian całkowicie był pochłonięty tą myślą.

Na wakacje udał się do biskupa Bertiego w Amelii.

Było to wymarzone dla niego miejsce. Pachnące słodko winnice, w ogrodzie przepych południowych kwiatów i niebo włoskie - czyste, lazuruowe, bez kresu i końca.

W tym otoczeniu, pełnym piękna i harmonii, mógł obcować z biskupem, który był wielbicielem Biedaczyny z Asyżu, gorliwym franciszkaninem i mądrym pasterzem.

Biskup Berti dojrzał w młodym kleryku z Polski kiełkujące znamiona świętości, zrozumieli się doskonale.

Niedaleko był też przyjaciel, ojciec Pał. Z alumnami kolegium spędzał lato w winnicy Termi di Caracalla i spotykali się często.

Pewnego dnia poszli razem na przechadzkę.

- Zobaczy ojciec - mówił z zapalem brat Maksymilian - że Matka Najświętsza uczyni wielką rzecz przez jednego z naszych braci. Odnowi ducha zakonnego w wielu sercach naszego zakonu i w innych zakonach, rozbudzi ducha chrześcijańskiego wśród wiernych wielu narodów. - I nagle, jakby się zastanowił, że za dużo powiedział, dodał:

- Tak mówił jeden z naszych biskupów.

- Oczywiście - pomyślał ojciec Pał. Któż inny mógłby to uczynić? Świętobliwy biskup Berti i młody zapaleniec, Maksymilian.

Odtąd codziennie rozmawiali o tej sprawie, układali statut nowego stowarzyszenia, które miało objąć cały świat. Brat Maksymilian postanowił działać. Wtajemniczył w swoje plany brata Girolamo Biasiego.

- Słuchaj, bracie - mówił do niego - my, młodzi Franciszkanie, musimy odnowić świat zniszczony przez wojnę. Matka Boża chce ratować dusze ludzkie, które giną. Założymy stowarzyszenie, aby szerzyć Jej cześć.

W Viterbo przyłączyli się do nich bracia: Antonio Mansi, Enrico Granata i Quirico Pignalberi. Wszyscy byli młodzi, gorliwi i zapaleni.

- Zobaczycie - mówił brat Maksymilian. - Jeżeli zrealizujemy nasz program, otworzą się nowe źródła łask Bożych przez pośrednictwo Niepokalanej.

Młodzi rycerze mieli też swoją pieśń, którą śpiewali codziennie. Wówczas na twarzy brata Maksymiliana igrał uśmiech chłopięcy i wielka słodycz.

Wkrótce już ujrzę Ją
w ojczyzny mej błękicie,

mą radość, miłość, życie,
Maryję Matkę mą.
W niebie, w niebie, w niebie,
wkrótce już ujrzę Ją.

Maria była Panią jego serca, przysiągł Jej wierną służbę aż do śmierci. Ona, najczystsza, najpiękniejsza, godna uwielbienia i czci. W Jej imię brat Maksymilian postanowił walczyć z fałszem, ze złem.

On - rycerz Maryi.

Wkrótce już ujrzę Ją
w ojczyzny mej błękicie,
mą radość, miłość, życie,
Maryję Matkę mą.

XVIII. Militia Immaculatae

Po powrocie do Rzymu brat Maksymilian wystarał się u przełożonego Lazarystów - dla ojca Pala - o władzę poświęcania i nakładania Cudownego Medalika.

Wieczorem 16 października 1917 roku zebrali się wszyscy wtajemniczeni w celi zakonnej na małą via San Teodoro 42. Brat Maksymilian odczytał naszkicowany przez siebie program Rycerstwa Niepokalanej.

Członkowie Mi (skrót od łacińskiego wyrazu: Militia Immaculatae) oddają się Niepokalanej bezgranicznie, jako narzędzia w Jej rękach, by przez nich mogła Ona realizować swe plany dotyczące zbawienia dusz.

- Celem naszym jest starać się o nawrócenie grzeszników, heretyków, schizmatyków itd., a najbardziej masonów, i o uświęcenie wszystkich pod opieką, i za pośrednictwem Niepokalanej.

Podstawowym warunkiem do spełnienia celu Mi jest zupełne, bezgraniczne i bezwarunkowe oddanie się Niepokalanej na własność, by Ona raczyła z nami uczynić, cokolwiek Jej się podoba i przez nas oddziaływać na innych.

Drugim warunkiem, a raczej zewnętrznym znakiem tego oddania, jest Cudowny Medalik, który członkowie rycerstwa noszą na piersiach.

Środki: modlitwa i wszystkie inne sposoby działania, na jakie pozwala stan i okoliczności.

Przez to zupełne oddanie się Matce Bożej członkowie Mi stają się rycerzami Niepokalanej, walczą o Jej cześć i pozwalają się użyć jako Jej narzędzia do zbawienia i uświęcenia innych dusz. Dlatego co dzień modlą się do Niej słowami: "O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy, i za wszystkimi, którzy się do Ciebie nie uciekają, a zwłaszcza za masonami i poleconymi Tobie". Obok modlitwy decydują się na pracę ożywioną gorliwością a kierowaną roztropnością. Cel tej pracy jest jeden: pociągnąć jak najwięcej dusz do Niepokalanej.

- Czy się zgadzacie? - zapytał w końcu. - Kto ten program podpisze?

Ojciec Pal pierwszy położył swój podpis, brat Maksymilian ostatni. Z celi poszli wszyscy do kaplicy i ojciec Pal poświęcił Cudowne Medaliki. Potem włożył je na szyję, sobie, bratu Maksymilianowi i pozostałym.

Tak powstało Rycerstwo Niepokalanej.

W największej tajemnicy, w milczeniu rozeszli się każdy do swojej celi. Wiedział o tym jedynie ojciec rektor, ale nie był obecny.

Brat Maksymilian zaczął obmyślać plan pracy. Podstawą jego działalności była pokora i posłuszeństwo. Prosił ojca rektora o pozwolenie na każde zebranie, na każdy nowy krok w sprawie Rycerstwa i zgadzał się na wszystko, co postanowią przełożeni, widząc w tym wolę Bożą.

Pewnego dnia wezwał go do siebie ojciec generał i zabronił zajmować się Rycerstwem Niepokalanej.

- Dlaczego? - spytał cicho.

- No, chyba wiesz - czekają cię ostatnie egzaminy - odrzekł ojciec generał. - Wszystkie siły trzeba poświęcić studiom, tym bardziej, że masz słabe zdrowie.

Brat Maksymilian skłonił głowę i wyszedł. Nie zwalniał się nigdy od zajęć obowiązkowych, ale przełożeni wiedzieli, że cierpi na dotkliwie bóle głowy i że jego płuca nie są w porządku.

W sobotę, 20 kwietnia, ojciec rektor wezwał go do siebie i powiedział, że natychmiast ma rozpocząć rekolekcje, bo za kilka dni będą święcenia kapłańskie. Jak wielka była jego radość i wdzięczność dla Niepokalanej. Na klęczkach przyjął tę wiadomość i zaraz poszedł się modlić.

28 kwietnia 1918 roku, po wspólnych modlitwach porannych, profesorowie i klerycy wyruszyli do kościoła Sant.andrea della Valle, gdzie miały się odbyć święcenia.

Było więcej niż czterystu kleryków różnych narodowości i ras: Włosi i Polacy, Francuzi i Anglicy, Chińczycy i Murzyni; dwudziestu z nich dziś miało stać się kapłanami Chrystusa, by otwierać ludziom niebo.

Kardynał, wikariusz apostolski, zasiadł na podwyższeniu i rozpoczął obrzędy. Piękny to był widok, gdy diakoni w białych albach, jak białe baranki przeznaczone na ofiarę, leżeli krzyżem u stóp ołtarza, a chór śpiewał nad nimi litanię do Wszystkich Świętych.

Potem biskup wkładał ręce na głowę każdego z nich i wymawiał słowa modlitwy:

"Ojcze Wszechmogący, prosimy Cię, zlej na sługi Twoje godność kapłańską, odnów w ich sercach ducha świętości, aby urząd od Ciebie otrzymany wykonywali z godnością, a wzorowymi obyczajami i wielkimi cnotami innym przykład dawali...

Niech dla zbawienia ludu Twego przemieniają błogosławieństwem świętym chleb i wino w Ciało i Krew Boskiego Twego Syna".

Wzruszony brat Maksymilian wyciągnął dłonie, a biskup naznaczył je na krzyż olejem katechumenów. Modlił się, aby wszystko, co one pobłogosławią, było błogosławione, a co poświęcą, było poświęcone i uświęcone w Imię Jezusa Chrystusa. Potem związał mu ręce zawiązką płócienną na znak, że ma być oddany Bogu i Kościołowi.

Razem z biskupem dwudziestu nowych kapłanów odprawiało Mszę świętą, potem złożyli przysięgę na posłuszeństwo i wierność Kościołowi i otrzymali pocałunek pokoju.

- Chwała bądź Przenajświętszemu Sercu Pana Jezusa przez Niepokalanie Poczętą, która jest narzędziem w rękę miłosierdzia Bożego - śpiewała dusza Maksymiliana, pełna uwielbienia i wdzięczności dla Bożej dobroci.

Radość przepełniała serce nowego kapłana. Już nie był klerykiem Maksymilianem, ale ojcem-kapłanem. Zaraz też napisał do matki, która była w Krakowie:

"Całą tę sprawę uznaję z wdzięcznością za dar uproszony przez Niepokalaną, naszą wspólną Matuchnę. Ileż to razy w życiu, a szczególnie w ważniejszych przejściach, doznałem Jej szczególnej opieki".

Na drugi dzień po święceniach ojciec Maksymilian odprawił pierwszą Mszę św. w kościele Sant.andrea delle Fratte, tam gdzie Matka Boża objawiła się Alfonsowi Ratisbonne'owi. Był to kościół pełen wspomnień. Kilkanaście miesięcy temu ojciec Maksymilian, rozmyślając o tym cudzie, otrzymał natchnienie, żeby założyć Rycerstwo Niepokalanej. Pierwszą Mszę św. odprawił w tej intencji. Teraz już bez ograniczeń mógł się zająć ukochanym dziełem.

Przesłał do Polski program i w listach do Józia zachęcał go do szerzenia Cudownego Medalika.

XIX. Powrót

W roku 1919 ojciec Maksymilian otrzymał stopień doktora teologii. Skończyła się nauka. Chciał wracać do Polski, ale upalne lato rzymskie i ostatnie egzaminy nadszarpaneły jego zdrowie. W przeddzień wyjazdu zapukał do drzwi ojca rektora.

- Może bym jeszcze został we Włoszech - poprosił pokornie. Dojrzał zdziwiony wzrok.

- Dlaczego?

- Nie czuję się na siłach jechać w taką podróż. Do Polski nie ma jeszcze ustalonej komunikacji.

- To trudno. Jakoś ojciec dojedzie. Nie jest tak źle.

Ależ naturalnie. Jeśli taka jest wola przełożonych, pojedzie bez zwłoki. W dwa dni później zegnała go na dworcu nieliczna gromadka przyjaciół.

Dwóch młodych rycerzy Niepokalana zabrała już do nieba, reszta rozjeżdżała się w różne strony, aby szerzyć Jej cześć.

Ze wzruszeniem zegnał ich słowami: "Laudetur Iesus Christus et Maria!" Patrzył chwilę na Wieczne Miasto, w którym spędził najlepsze lata młodości, i nagle zatęsknił do Ojczyzny.

W pociągu był tłok, jakiś młody Włoch ustąpił mu miejsca przy oknie, więc ojciec Maksymilian zaszył się w kącie i po cichu odmawiał różaniec.

W Bolonii trzeba się było przesiadać. Nikt mu nie umiał powiedzieć, kiedy będzie pociąg w stronę Polski. O bezpośrednim połączeniu nie było mowy. Wzruszali ramionami:

- Gdzie ta Polska?

Ojciec Maksymilian chodził po peronie i rozglądał się. Wojna poczyniła wszędzie spustoszenia. Na dworcu czekali jeńcy zwolnieni z obozów. Byli wynędzniali i apatyczni. Niektórzy ranni - bez nóg, bez rąk - przedstawiali żalostny widok. Między nimi krzątali się sanitariusze w białych fartuchach. Potem zajechał pociąg. Wygodne pulmanowskie wagony miały na dachach i na ścianach wielki znak Czerwonego Krzyża. Między jeńcami zrobił się ruch. Sanitariusze podzielili ich na grupy i wyznaczali miejsca, porządek był wzorowy.

- Dokąd jedziecie? - spytał ojciec Maksymilian sanitariusza.

- My na wschód - odwozimy rannych z wojska austriackiego. Jak to się nazywa?... Zaraz... zaraz... Krakau!

- Kraków?! - wykrzyknął ojciec Maksymilian. - Weźcie mnie z sobą. Ja ze studiów wracam z Rzymu do Polski.

- Może i weźmiemy. Niech ksiądz idzie do komendanta pociągu. To jest lekarz.

W parę minut sprawa została załatwiona. W międzynarodowym pociągu Czerwonego Krzyża dostał ojciec Maksymilian przedział z łóżkiem do spania i zapewnione wyżywienie. Tylko nie wiadomo było, kiedy zajadą.

- Bo to jest specjalny pociąg - tłumaczył mu jakimś łamanym językiem komendant. - Ojciec wie, jak to jest po wojnie: ani ładu, ani składu na świecie. Nasza stara Europa jest jak rozbity garnek. Dzięki Bogu, że się

już ta zabawa z bombardowaniem skończyła. Teraz mamy co robić. Dwanaście milionów inwalidów - to nie żarty, proszę księdza. - Zmrużył oczy, jakby ciągle jeszcze nie mógł patrzeć na to wszystko.

Ojciec Maksymilian uściskał mu rękę i podziękował serdecznie. Była to dla niego wspaniała okazja. Załadował rzeczy (przy czym sanitariusze pomogli mu skwapliwie) i usiadł. Resztę zostawił Opatrzności.

Ogarnęła go niezmierna wdzięczność dla Niepokalanej i zaczął się modlić.

Podróż to była nie lada jaka. Kiedyś cały dzień pociąg czekał na wolny przejazd. Poza tym luksus. Jechali pięć dni. Żadnych rewizji na granicach, żadnego sprawdzania paszportów. Obsługa kulturalna, troskliwa.

Ojciec Maksymilian mógł nawet codziennie odprawiać w wagonie Mszę św., na którą przychodził personel i jeńcy.

Przebierając w palcach ziarna różańca, patrzył na rozległe krajobrazy, które mijali, i myślał, co tam zastanie w Polsce.

Wiedział już, że ojciec nie żyje. Jego samotna żołnierska mogiła zapadła gdzieś w lasy miechowskie i nikt jej nie znajdzie. Już się nie zobaczą, ale to wspomnienie jest czyste jak życie Juliusza Kolbego. - Gorzej z Franusiem. Jak on mógł tak postąpić? Rzucił zakon, jeszcze wyprowadził z niego konfratrów. Biedny Franuś.

Ojciec Maksymilian miał wielkie współczucie dla dusz zbłąkanych, wykolejonych przez wojnę.

Jakie to wszystko dziwne. Przez trzy lata nie miał żadnej wiadomości od rodziny, a teraz wraca do wolnej Polski. Już przejechał granicę. Za parę godzin zobaczy matkę...

Noc była, gdy stanął w Krakowie. Krótka noc lipcowa. Ojciec Maksymilian zostawił rzeczy na stacji i szedł sam przez miasto. Był wzruszony i nie mógł się oprzeć wspomnieniom. Minał Barbakan. Tu po raz ostatni szedł z ojcem, potem wyrósł przed nim potężny masyw kościoła Mariackiego i lekkie gzymsy Sukiennic.

Świtało już.

29 lipca 1919 roku o godzinie piątej o. Maksymilian zapukał do furty Sióstr Felicjanek i spytał, czy jest matka.

Pani Maria Kolbowa nie wiedziała nic o przyjeździe syna. Można sobie przedstawić jej radość.

Przybiegła śpiesznie.

- Mundzio, ojciec Maksymilian, ksiądz - mówiła na przemian, witając go.

Przecierała oczy, które zaszyły łzami. To chyba sen.

- Że też doczekałam się tej chwili - mówiła wzruszona.

- Mamo, czy można tu odprawić Mszę św.? - spytał wreszcie ojciec Maksymilian.

- Ależ tak.

Poszli do kaplicy. Pani Maria uklękła w ławce. Myśli jej wciąż uciekały do syna. Jak wygląda? Trochę mizerny, jakby zmęczony. Ale wyrósł. To już nie młodzieniaszek. Wojna wyżyłobiła i na nim swoje piętno. On zaś skupił się w sobie i zapomniał o wszystkim. Całą duszą dziękował Niepokalanej i korzył się w poczuciu otrzymanych łask.

XX. Rzeczywistość

"Przez posłuszeństwo stajemy się nieskończenie potężni. Któż bowiem może się oprzeć woli Bożej? Im więcej się o tych rzeczach myśli, tym więcej widzi się ich wielkość i piękno". Tak pisał z Rzymu ojciec Maksymilian do najmłodszego brata, Józia, który mu był szczególnie drogi - był podwójnie bratem.

Józio wstąpił do zakonu franciszkańskiego i otrzymał imię Alfons. Ojciec Maksymilian liczył na jego pomoc. Po powrocie przesłał mu różę z listkami krwawo nakrapianymi, jakie rosną tam, gdzie św. Franciszek, szaleniec Boży, tarzał się po kolcach róży, program Mi i Cudowny Medalik, zachęcając do przyjmowania nowych członków.

Z wolna i wytrwale rozszerzał ojciec Maksymilian dzieło Niepokalanej, Jej Rycerstwo.

W Krakowie zawiązał wśród kleryków małe Kółeczko Rycerzy. Rzucił ziarno w ziemię i pielęgnował troskliwie, aby wyrosło. Posłuszeństwo, modlitwa, cierpienie i praca - to były korzenie tego dzieła, które miało się rozkrzewić na cały świat. Na razie jednak na drodze ojca Maksymiliana więcej było cierni niż róż.

W grubych murach konwentu krakowskiego, gdzie wykładał w seminarium, brakło mu włoskiego słońca. Kaszlał i gorączkował. W końcu rozchorował się ciężko na płuca.

- Co? Maksymilian chory?

- I to bardzo... gruźlica - mówili ojcowie. - Nawet kazań już nie głosi. Nie może spowiadać. Długo nie pociągnie, na pewno. Ale wciąż chce nawracać cały świat.

Wzruszali ramionami:

- Marzyciel. Co to za jakieś nowe apostołstwo "Milicja Niepokalanej"! Rycerstwo...

- Maksio - rycerz... ha, ha... Nudziarz i tyle. Bez pieniędzy, bez środków chce wydawać pismo.

- Pewnie, że potrzebne jest pismo franciszkańskie, ale on tego nie zrobi. Chory i nieudolny.

Te i tym podobne uwagi obijały się o uszy ojca Maksymiliana, gdy szedł przez korytarz klasztorny, opierając się na lasce. Powtarzał sobie:

- To nic. Dzieło Boże zawsze napotyka na sprzeciwy. A zresztą wszystko przecież zależy od Boga i Niepokalanej. To Jej dzieło - nawrócenie świata.

W celi na ubogiej szafce stała figura Matki Bożej i przypięte szpilką wisały dwa obrazki: Gemmy Galgani i Teresy od Dzieciątka Jezus. Właśnie czytał o niej. Cóż to za śliczny kwiat świętości! Wiara, dziecięce zaufanie, miłość w pełnym rozkwicie. Niech sobie ojcowie mówią, co chcą. W każdej chwili dnia, aż do męczeństwa - oddanie się Bogu z ufnością. On przecież także chciał być męczennikiem. Odda Bogu swe życie dzień po dniu. Im więcej cierpienia, tym lepiej. Uśmiechnął się sam do siebie. A "Kółeczko" kleryckie rozwija się coraz lepiej. Młodzi zbierają się pełni świętego zapału, omawiają razem sposoby nowoczesnego działania w MI.

Oddech jego stawał się coraz cięższy. Dopiero po dłuższej chwili powiedział do swego rodzzonego brata Alfonsa:

- Weź moje okulary i zegarek i połóż tam na szafce koło Figurki Niepokalanej.

- Dobrze, ale co to ma znaczyć? - spytał brat Alfons.

- Widzisz - uśmiechnął się ojciec Maksymilian - okulary to symbol oczu. Chcę, aby one tam u stóp Niepokalanej zastępowały moje oczy, ustawicznie wpatrujące się w Niepokalaną. Zegarek zaś oznacza czas. Pragnę każdą chwilę poświęcić tej dobrej Matce.

- Dobrze, dobrze - powiedział brat Alfons, myśląc, że już niedługo jego brat ujrzy Niepokalaną w całej piękności.

A jednak nie. Chociaż lekarze nie wróżyli mu więcej jak parę miesięcy życia, ojciec Maksymilian zaczął nabierać sił i przełożeni wyprawili go do Zakopanego, dokąd wyruszył 11 sierpnia 1920 roku.

Zaledwie wsiadł do pociągu, na brudnej zamazanej szybie zobaczył kartkę.

- Co to takiego? - szepnął. - Aha, z Ameryki. Niezależni. Nowa herezja. Naturalnie... Nawet papieża nie uszanują - dodał oburzony. Prędkim ruchem zerwał ową kartkę z okna i podarł na strzępy. Potem usiadł spokojnie, aby odmówić brewiarz.

- A to dobrze wielebny ojciec zrobił - roześmiał się jakiś wąsaty jegomość. - Po wojnie namnożyło się tych sekciarzy.

Zaczęła się dysputa, bo w przedziale siedział jeszcze jeden pan, który zaczął wygadywać na religię. Ojciec Maksymilian z uprzejmym uśmiechem na ustach zbijał jeden po drugim argumenty przygodnego przeciwnika, aż ten oburzony wykrzyknął:

- Ależ, proszę księdza, ja jestem doktorem filozofii.

- Ja także - odparł skromnie ojciec Maksymilian. - Ponieważ pan nie może uzasadnić swoich zarzutów, to proszę je odwołać.

- Jak to odwołać? - irytował się przeciwnik. - Dlaczego?

- Dlatego że pan dał zgorszenie, podważa pan wiarę ludzi w prawdę i dobro absolutne. Pan mi poda swoje nazwisko. Proszę i moje. - Tu ojciec Maksymilian wyciągnął bilet wizytowy i chciał mu podać, ale właśnie pociąg stanął i jego przeciwnik wysiadł pospiesznie.

W Zakopanem ojciec Maksymilian nie próżnował.

"Cały dzień zabiera mi ta kuracja - pisał do matki. - Trzeba leżeć parę godzin dziennie na werandzie i jeść, ile się zmieści".

Brat Alfons przysłał mu wiersz pod tytułem "Błogosławieni" i zawiadomił o sprawach Rycerstwa Niepokalanej. Z tym wierszem poszedł ojciec Maksymilian do "Bratniaka". Zaprosiła go tam chora studentka, która urządziła u siebie w pokoju intronizację Najświętszego Serca Jezusa. Wierszyk zaczął kursować między chorymi i ojciec Maksymilian był coraz więcej pożądanym. Spowiadał, nawracał, wygłaszał pogadanki apologetyczne, a nawet ochrzcił jednego studenta.

Pomimo choroby i prowadzenia tak intensywnej akcji apostołskiej ojciec Maksymilian znajduje chwile na wspomnienia z Rzymu. Prosi ojca Pała o przysłanie mu francuskiego tekstu i nut pieśni do Matki Bożej, którą często śpiewali klerycy Międzynarodowego Kolegium Serafickiego w Rzymie. Nieco później pisze też w sprawie tej pieśni do brata Alfonsa:

"Gdybyś mógł tam gdzieś znaleźć pieśń do Matki Bożej: "J'irai La voir un jour", ale w języku polskim, wraz z nutami. Jest przepiękna. Jeśli ją będziesz mógł znaleźć, to mi ją przyslij".

Wkrótce już ujrzę Ją...

Na dalszą kurację wyjechał ojciec Maksymilian do Nieszawy. Tam znowu upatrzył sobie pastora, z którym prowadził dysputy religijne.

5 listopada 1921 r. ojciec Maksymilian powrócił do Krakowa.

Wprawdzie z pisemkiem jeszcze nic nie wiadomo, ale ojciec prowincjał jest przychylny. W teczce ojca Maksymiliana leży kilka artykułów. Pomagają mu współbracia: Rosenbaiger, Górczany i Podhorodecki. Najgorzej z pieniędzmi. Na zakon nie ma co liczyć, bo w biedzie.

Ojciec Maksymilian sam musi się starać o wszystko. Na szczęście zdrowie trochę się poprawiło i wyszedł na miasto kwestować. Z początku nieśmiało, trochę niezręcznie... Później przekonał się, że to nie jest takie straszne. Ludzie dawali mu chętnie, ale nie tyle, żeby starczyło na opłacenie kosztów druku, zwłaszcza że ceny szły wciąż w górę. W drukarniach często wybuchały strajki, zdawało się, że sprawa jest beznadziejna. Wszystko było jeszcze nie ustalone w Polsce, która liczyła sobie dopiero trzy lata. Nie było czym zapłacić rachunków i ojciec Maksymilian miał już zawiesić wydawanie pisemka.

Pewnego dnia przyszedł do kościoła odprawić Mszę świętą. Na ołtarzu leżała koperta z napisem: "Dla Ciebie, Matko Niepokalana". Jakie było jego zdumienie, gdy znalazł w niej sumę potrzebną na opłacenie drukarni. Ni mniej, ni więcej. Właśnie tyle. Powstała jednak wątpliwość: co z tym zrobić? Czy ma prawo wziąć te pieniądze na pisemko, czy też może zakon inaczej rozporządzi. W imię świętego posłuszeństwa ojciec Maksymilian poszedł do ojca gwardiana.

- Ależ tak, niech ojciec bierze. Te pieniądze na pewno są przeznaczone na pisemko. Niech ojciec podziękuję Niepokalanej - powiedział gwardian życzliwie.

- To wszystko Jej dzieło - pomyślał ojciec Maksymilian z dziecięcą ufnością i poszedł do drukarni zapłacić dług.

Po jakimś czasie już było wiadomo, że pisemko pójdzie. Ale ojciec Maksymilian był u kresu sił. Dostał krwotoku raz i drugi. Zdawało się, że zbliża się nieubłagane kres życia. Przełożeni sprowadzili brata - ojca Alfonsa.

- Widziałeś nowy numer "Rycerza"? Już jest prawie gotowy. Tu leży na stoliku - zagadnął ojciec Maksymilian słabym głosem. - Dobrze, żeś przyjechał. Ojciec Bonawentura przejął redakcję, bo ja, widzisz, jestem na razie do niczego. Trzeba mu będzie pomóc, bo jeszcze to wszystko się rwie.

- Nie męcz się - prosił ojciec Alfons - widząc krople potu na czole chorego.

- To nic, to nic. Tam w teczce są artykuły. Te wiersze, któreś napisał, Alfons, są bardzo dobre. Tyle mają treści...

Tymczasem w Krakowie coraz trudniej było zapewnić stałe wydawanie "Rycerza". Zapowiadano znowu zwyżkę cen, więc ojcowie postanowili przenieść wydawnictwo do Grodna. Na jesieni 1922 roku ojciec Maksymilian pojechał zbadać tamtejsze warunki, a wkrótce przeniósł się do klasztoru grodzieńskiego z całą redakcją.

"Jest tu Antoś i brat Zdzisław, i ojciec Kajetan - pisał w liście do brata Alfonsa. - Miejsce na wydawnictwo odpowiednie. Może kupimy zecernię. Roboty w bród".

XXI. W Grodnie

Pod koniec lutego 1924 roku ojciec Maksymilian wracał z Warszawy. Zakupił kasztę na czcionki i nowy komplet czcionek, o które tak usilnie prosił poczciwy brat Albert. Oprócz tego wioził farbę drukarską i inne paczki. Im bliżej był Grodna, tym bardziej wybiegał myślą do swych ukochanych braci zakonnych, którzy z takim poświęceniem pracują w wydawnictwie. Nakład "Rycerza" stale się zwiększa, a oni w dalszym ciągu obracają ręcznie swoją "babcię", ale sił już nie mają. Przed kilku miesiącami sam obracał przez dłuższy czas korbą, więc wie, ile to kosztuje wysiłku. Już po kilkunastu minutach jego odzież była mokra od potu. I tak dziwno, że oni wytrzymują cały ten ciężar codziennego trudu i wcale nie tracą dobrego humoru. Świadomość, że pracują dla Niepokalanej, dodaje im sił. Są naprawdę nieocenieni, pełni pomysłów, zapału i tak całkowicie ze sobą zgrani.

A jak się cieszą każdym nowo wydanym numerem "Rycerza", każdym ulepszeniem w pracy. Prawdziwie we wszystkim widać opiekę Niepokalanej. Ona tu rządzi, to Jej dzieło. Ona też zawsze zaradza różnym potrzebom, chodzi tylko o to, aby Jej nie przeszkadzać - o tym często im przypomina. Cóż kiedy on sam bywa często u kresu sił. Kiedyś chciał poświecić bratu Albertowi przy pracy i nagle usnął, trzymając w ręku lampę naftową. Naturalnie, rozbiła się na drobne kawałki. Było już wtedy dobrze po północy.

A oto już Grodno. Wsiadł. Teraz te trzy kilometry dzielące go od stacji do klasztoru wydają mu się trudne do przebycia. Błoto jest okropne, wyboje, tak ciemno, że nie widać drogi na kilka kroków. Ojciec Maksymilian uginając się pod ciężarem paczek schodzi w dół po oślizgłych stopniach wysokich schodów. Najgorsze te czcionki. Zawsze ich za mało. Kupił ich teraz całe sto kilo, ale zabrał tylko tyle, ile mógł unieść. Nie wiadomo, jak trzymać tę kasztę, by się nie zsunęła z pleców. Pomimo zimna pot zalewa mu skronie, oddech staje się krótki, świszczący. Wreszcie przy schodzeniu z ostatniego stopnia ojciec Maksymilian potknął się i upadł w błoto.

- Ot, wielki ze mnie redaktor - szepnął sam do siebie beztrąsko. - Czy tylko czcionki się nie rozsypały? Ach, jakie błoto!

Na szczęście materiał, który dostał w Warszawie od gwardiana poznańskiego na płaszcz, nie zamókł. Ojciec Maksymilian pozbierał swoje pakunki i przyspieszył kroku, bo przypomniało mu się nagle coś przykrego. Jak to ojciec gwardian powiedział, dając mu tę paczkę?... "Maksiu, wstyd przynosisz duchowieństwu. Jak ty chodzisz ubrany? Daję ci tę piękną wełnę, ale tylko dla ciebie. Każ sobie zrobić porządną płaszcz".

A właśnie. Ojciec gwardian nie wie, jak się żyje w Grodnie. Nawet buty ojciec Maksymilian nosi na zmianę z bratem Zenonem. Kto idzie na miasto, ten bierze lepsze. A ten poczciwy stary płaszcz służy w nocy za dodatkowe przykrycie, bo stara zużyta kołdra nie zabezpiecza dostatecznie przed zimnem. Żeby go tak ojciec gwardian zobaczył, jak człapie teraz po tym grodzieńskim błocie!

Z daleka ukazało się na drodze wątle światełko. Dwaj bracia wyszli naprzeciw z latarką.

- O, dzięki Niepokalanej, bo już naprawdę trochę za ciężko, a oni... Oni są chyba niestrudzeni.

- Proszę ojca redaktora - mówi brat Gabriel odbierając paczki - mamy nowe zamówienie: tysiąc numerów dla Kółek Różańcowych. Przyszła też cała paczka listów dla ojca. - W głosie brata brzmi taka radość. Ojciec Maksymilian nie czuje już zmęczenia. Opowiada im o swych zakupach poczynionych w Warszawie.

- Ale ojciec chyba upadł. Płaszcz taki zabłocony - mówi brat Albert.

- To nic, to nic, moje dzieci - potknąłem się trochę. W tej paczce jest materiał na płaszcz. Któryś z was nie ma wcale płaszcz. A czy Władzio Karpuć i inni chłopcy pomagali wam też wczoraj?

- Owszem, i to bardzo dzielnie, a zwłaszcza Władzio.

- Tak, to naprawdę poczciwa dusza. Jak on kocha Niepokalaną, jak mu zależy na rozszerzeniu Jej chwały - mówił z całym przekonaniem ojciec Maksymilian.

- Mnie się wydaje, że on wkrótce zapragnie zostać jednym z nas - dodał brat Gabriel.

** ** **

Z Władziem zaczęło się od ministrantury.

Chciał służyć do Mszy świętej.

- Dobrze, dobrze - ucieszył się wówczas brat Gabriel. - Ja cię nauczę. Włóż komeżkę i chodź ze mną. Ojciec dyrektor będzie teraz odprawiał Mszę świętą.

I Władzio służył razem z bratem, potem dostał książeczkę dla ministrantów i wyszedł uszczęśliwiony. W domu uczył się zapamiętane: "Suscipiat Dominus sacrificium...". Ojciec dyrektor pochwalił go i spojrział tak jakoś serdecznie, że Władzio Karpuć bardzo się ucieszył.

Przychodził teraz codziennie i zaprzyjaźnił się z braćmi. A najwięcej z bratem Gabrielem, bo brat Gabriel był taki wesoły - jakby mu było nadzwyczaj dobrze w tym klasztorze, a przecież Władzio wiedział, że u braci jest wielka bieda.

Kiedyś było zimno i brat Gabriel zabrał go do kuchni na rozgrzewkę. Brat kucharz chciał mu dać kubek kawy i chleba, ale Władzio podziękował. Grzał sobie ręce przy piecu i patrzył, jak bracia szykują śniadanie. Kawa była bez mleka, z sacharyną, a chleb czarny jak święta ziemia. Aż się Władzio zdziwił. I ojciec dyrektor je czarny chleb, chociaż bracia mówili, że jest chory. Mimo to u braci jest wesoło. W domu jest zupełnie inaczej. Mama ciągle narzeka, że ma za mało pieniędzy, a tata irytuje się na wszystko. Brat Gabriel mówił mu często o Niepokalanej. Ona jest tu Panią. Władzio pokochał szczerze Matkę Bożą. Teraz wie, że dla Niej nawet pocierpieć przyjemnie, bo można ofiarować to za grzeszników. Nigdy przedtem nie myślał, że Ona jest taką dobrą, najlepszą Matką w niebie. Chciałby też dla Niej pracować, poświęcić Jej swoje życie.

Pewnego dnia brat Gabriel powiedział, że Władzio musi sam służyć do Mszy św. On jest bardzo zajęty, bo "babcia" się popsowała, musi ją wysmarować. Władzio otworzył oczy szeroko, a brat Gabriel się śmieje. Tak jakoś po cichu, radośnie.

- Co to za "babcia"? - Władzio był bardzo ciekawy, ale musiał prędko iść do ołtarza, bo ojciec Maksymilian czekał.

Dopiero po Mszy świętej dowiedział się Władzio, że to jest taka stara maszyna drukarska, którą bracia nazywają "babcią". Bardzo był ciekaw tej maszyny i pewnego dnia wkręcił się, zapewniając, że będzie pomagał. Oj, było tam pracy niemało. Jeden brat kręcił korbą, drugi przyciskał pedały, a trzeci podkładał arkusze i przyciskał drugi pedały. W górze na półeczce stała figurka Matki Bożej. Wszystko tu było dla Niepokalanej: modlitwa, praca, radość i trud. Ojciec dyrektor też pomagał. Robił korektę, sprawdzał razem z bratem Albertem Olszakowskim i poprawiał błędy składu. Brat Gabriel kazał Władziowi układać ołowiane literki. Ni to robota, ni zabawa. Nic trudnego, ale Władzio myślał, że i takie "nic" można ofiarować Matce Bożej, więc się bardzo starał.

- Gdzie byłeś? - spytał go pewnego dnia Staś Kazimierowicz, ministrant.

- W drukarni.

- Coś tam robił?

- Pomagałem braciom drukować "Rycerza Niepokalanej" - odpowiedział z dumą Władek.

- To my też pójdziemy.

- No, to chodźcie.

Był wtedy Felek Kopeć i Zygmus Gajewski.

Wepchnęli się przez wąskie nie malowane drzwiczki na korytarz. Ciemno było. Jakies góry i doły pod nogami. Nie było wcale podłogi, tylko stare, pokruszone cegły. Szli, śmiejąc się po cichu i poszturchując.

W drukarni jak zwykle wrzała praca.

- Czego wy chcecie, chłopcy? - spytał brat Gabriel.

- Chcemy pomagać.

- Bóg was chyba zesłał i Matka Boża - roześmiał się brat Gabriel serdecznie. - Zobaczymy, co wy potraficie robić.

Roboty było tyle, że bracia nie mogli wydołać. Pracowali do upadłego, nawet w nocy, aby pisemko było na czas, aby więcej numerów rozesłać w świat na cześć i chwałę Niepokalanej.

Brat Albert przydzielił chłopców do składania arkuszy. Felek spinał. Wkrótce jednak znużyła ich ta jednostajna praca.

- Ja bym może pokręcił tę "babcię" - poprosił nieśmiało Zygmus.

- No, to chodź - powiedział wszechwładny brat Albert.

I Zygmus kręcił, a bracia pilnowali, żeby się zanadto nie zmęczył. Chłopcy przychodzili teraz codziennie i uczyli się sztuki drukowania. Najwięcej jednak interesowała ich kaszta, składanie numeru i zecereria.

- Proszę brata, ja bym tak chciał złożyć artykuł. Niech brat mi pozwoli - prosił to jeden, to drugi.

Dobry brat Albert nie chciał ich zniechęcać. W braku kaszt porobił im prowizoryczne przegródki z pudełek, do których wsypał trochę czcionek.

- Teraz jesteście zecerami. Składajcie! - powiedział wesoło. Wybrał im z Pisma świętego krótkie zdania na cześć Niepokalanej.

Jedynie Felek złożył z wielkim móżolem pół kolumny.

- Nareszcie. Ale się napracowałem - wykrzyknął. - Muszę pokazać bratu Albertowi swoją pracę.

Niósł to wszystko ostrożnie do drugiego pokoju. Niestety, przechylił zanadto metalową płytę i cały układ zsunął się na ziemię. Naturalnie, wszystko się rozleciało. Chłopiec oniemiał z przerażenia, ale natychmiast zaczął zbierać czcionki i na nowo zabrał się do pracy. Złożył ten sam artykuł i - o dziwo! Zostało mu dużo czcionek.

- Proszę brata, proszę brata, a to ciekawe - wołał - skąd ja mam tyle czcionek. Przecież nic nie powinno zostać.

Brat Albert roześmiał się:

- Ach, Felku, na pewno w poprzednim układzie zrobiłeś bardzo dużo błędów. Przecież to pierwsza twoja praca. Drugi raz składałeś uważniej i dlatego zostały ci czcionki.

- Ach, tak - westchnął. - Na pewno brat ma rację. A mnie się zdawało, że dokonałem Bóg wie czego.

Władzio Karpuć naprawdę pomagał.

- Jaki to zdolny, inteligentny chłopiec - mówił ojciec Maksymilian. - Będziemy mu płacić za dniówkę. Rodzice jego są niezamożni, to im się przyda trochę grosza.

Władzio nie tylko pomagał. Miał wielką chęć wstąpić do zakonu. Cóż, kiedy rodzice się nie zgodzili.

- Władzio musi dla nas pracować - powiedziała matka.

Ojciec Maksymilian zawezwał ojca i próbował mu wytłumaczyć. Nie i nie.

- Władzio będzie nam pomagać materialnie, bo nam jest ciężko. Niech idzie na czeladnika. Będzie miał w ręku chleb.

- Szkoda - powiedział ojciec Maksymilian. - Władzio ma powołanie, to jest wola Boża. Niech się pan nie sprzeciwia.

Nic nie pomogło. Władzio przestał przychodzić do klasztoru. W pół roku później zaziębił się i zachorował ciężko.

- Mamo - prosił - niech ojciec redaktor przyjdzie do mnie, wyspowiada mnie i namaści, bo ja jestem coraz słabszy, pewnie umrę niedługo.

Ale ojca Maksymiliana nie było wówczas w Grodnie, więc poszedł do Władzia ojciec Maurycy, gwardian, i słuchał jego chłopięcej spowiedzi.

- Ja się zgadzam - mówił Władzio - na wszystko, co Bóg chce. Nie boję się umierać. Wkrótce zobaczę Niepokalaną. Chciałem Jej służyć, ale mi rodzice nie dali. A teraz odchodzę do nieba.

Kiedy ojciec Maksymilian wrócił do Grodna, Władzio już nie żył.

XXII. Pan Borowski

Kiedy wśród wiru wytężonej pracy ojciec Maksymilian i bracia z wydawnictwa przekroczyli rok 1925, zdali sobie sprawę, że w tymże roku muszą wprowadzić poważniejsze zmiany i unowocześnienia, by dzieło mogło się rozwijać bez większych zahamowań.

Nakład "Rycerza" stale wzrastał. W kwietniu wydrukowano już 30.000 egzemplarzy. W dotychczasowych pięciu pomieszczeniach odstąpionych im przez ojca gwardiana dla celów wydawniczych było już tak ciasno, że aż ściany trzeszczały. Wprawdzie do dyspozycji wydawnictwa oddano też długi korytarz, ale ten służył tylko latem. Konieczny był jeszcze dodatkowy lokal, tym bardziej że zamówiono już w Niemczech nową maszynę drukarską. Brat Albert upatrzył na ten cel stary refektarz podzielony kiedyś na kuchnię, spiżarkę, łaźnię i składzik. Pomieszczenia te nie były już konieczne klasztorowi, dlatego ojciec gwardian chętnie się zgodził na wysuniętą przez ojca Maksymiliana propozycję rozebrania wszystkich przegród tego lokalu i oddania go w całości na potrzeby wydawnictwa. Jednakże w klasztorze znaleźli się dwaj oponenti, którzy pragnęli wyzyskać stary refektarz dla celów organizacji młodzieżowych. Zachodziła poważna obawa, że ojciec gwardian może zmienić swą decyzję na ich korzyść. Postanowiono więc działać bezzwłocznie w oparciu o dotychczasowe pozwolenie i postawić przeciwników przed faktem dokonanym.

W wielkiej tajemnicy omówiono wieczorem plan całej akcji. Przygotowano dyskretnie konieczne narzędzia, a o drugiej rano przystąpiono do dzieła. W ciągu trzech godzin zlikwidowano piec piekarski, usunięto prowizoryczne ściany i rozebrano częściowo łaźnię.

Mieszkańcy klasztoru nie należący do wydawnictwa wcale nie reagowali na te stuki, gdyż byli przyzwyczajeni do nocnej pracy braci drukarzy. Rano przyszedł brat Paschalis, kucharz, i złapał się za głowę.

- Co się tu dzieje? - zawołał.

W kłębach kurzu uwijali się bracia z wydawnictwa - czarni od sadzy i spotniali. Przystępując z zapalem do pracy zapomnieli wynieść w porę znajdujące się tam garnki wypełnione kawą i mlekiem. Pomimo dość szczelnego przykrycia, pył i sadza przedostały się do ich wnętrza. Nie było z czego przygotować śniadania. Na szczęście brat Paschalis był człowiekiem dobroduśnym i łatwo udało się go ułagodzić.

W uzyskanym w ten sposób obszernym lokalu założono głęboki fundament pod mającą nadejść w sierpniu maszynę drukarską.

Sprowadzony przedtem z Warszawy silnik spalinowy nie chciał służyć. Pan Zieziula, szofer grodzieński, coś tam pokręcił, postukał i nagle motorek zatrzęsł się w posadach, zaczął prychać i podskakiwać, hałasując jak karabin maszynowy. Pan Zieziula biegał wokół niego, usiłując go zatrzymać. Silnik okazał się do niczego.

- Co tu teraz robić? Bez energii elektrycznej nie będziemy mogli wypróbować zamówionej w Niemczech maszyny - martwili się bracia, tym bardziej że spodziewali się rychłego przyjazdu montera z Bawarii.

- Nie bójcie się, Niepokalana zaradzi - powtarzał jak zwykle w podobnych trudnościach ojciec Maksymilian, zachęcając do modlitwy.

Jakoż wkrótce dowiedzieli się, że ślusarz Borowski ma na zbyciu silnik Diesla w dobrym stanie.

Ojciec Maksymilian udał się zaraz do niego z bratem Zenonem. Po drodze odmawiał gorliwie "Zdrowaś Maryjo". Gdy weszli do mieszkania, ojciec Maksymilian zauważył na ścianie obraz Matki Boskiej.

- Widzisz - szepnął do brata Zenona - tu jest Niepokalana. Zobaczysz, że silnik będzie nasz.

Wkrótce też doszli do porozumienia. Pan Borowski zażądał siedem tysięcy, potem opuścił na pięć i w ciągu dwóch tygodni zobowiązał się uruchomić motor. Przychodził teraz prawie codziennie i ciągle przy nim majstrował. Bracia trochę mu pomagali, a trochę uczyli się od niego. Przez wdzięczność zapraszali go na nabożeństwo wieczorne.

- Panie majstrze, niech pan zostanie u nas.

- Nie mogę, bardzo się śpieszę - mówił zakłopotany pan Borowski. - Naprawdę nie mogę.

To znów wymawiał się, że nie ma porządnego ubrania. W końcu zwierzył się jednemu z braci, że od dawna już nie chodzi do kościoła, a u spowiedzi nie był od dwudziestu lat. Trochę się przy tym zmieszał. Czuł się winnym wobec tego niepojętego dobra, któremu bracia służą z takim poświęceniem. Toteż zdziwił się, że brat uśmiechnął się serdecznie i żegnając odprowadził go do samych drzwi.

Dowiedział się o tym ojciec Maksymilian i rzekł:

- Ano, to trzeba się za niego pomodlić.

Powoli majster zaprzyjaźnił się z braćmi.

- Chodźmy do chóru, panie majstrze - zapraszali go w sobotę na nabożeństwo. - Tam nie ma ludzi. Chórek jest za ołtarzem.

- Ale ja nie mam czasu - bronił się coraz słabiej pan Borowski.

Wreszcie wszedł. Zapraszano go do ławki, ale pan Borowski nie chciał usiąść. Obejrzał się nieśmiało i ukląkł na klęczniku przy konfesjonale. Nagle wszedł ojciec Maksymilian, energicznie jak zwykle. Rzucił okiem na pana Borowskiego i, nie namyślając się, usiadł za kratką. Zanim się majster obejrzał, już ojciec Maksymilian przeżegnał go i pochylił się, aby słuchać spowiedzi. Pan Borowski nie wiedział nawet, kiedy wypowiadał się z całego życia, otrzymał naukę i rozgrzeszenie. Później wstał uradowany, ze łzami żalu w oczach, pełen wewnętrznego spokoju. Teraz już mu się nie śpieszyło. Został na wieczornych pacierzach, a wychodząc uściskał serdecznie braci.

Wkrótce i motor ruszył, pas transmisyjny zaczął z wolna obracać maszynę drukarską i praca nabrała nowego tempa.

XXIII. Przeprowadzka

13 czerwca 1927 r. w dzień św. Antoniego był odpust w parafii.

- Co tam słyhać w waszym wydawnictwie? - spytał ks. proboszcz Ciborowski z Adamowicz w czasie obiadu.

- Owszem rozwija się powiedział z uśmiechem ojciec Maksymilian - ale mamy wiele trudności. Lokal jest za mały i daleko od stacji. Jesteśmy zmuszeni szukać obszerniejszego miejsca albo też rozpocząć budowę nowego domu wydawniczego. Wolałbym gdzieś blisko Warszawy.

- Proszę księdza proboszcza - odezwał się nagle brat furtian, który wszedł przed chwilą - przyjechał po księdza proboszcza pełnomocnik księcia Druckiego_lubeckiego.

- A dobrze, dobrze - odpowiedział ksiądz Ciborowski. - Obiecałem plenipotentowi, że z nim pojedę do majątku, żeby mu dać na miejscu wskazówki, jak prowadzić pasiekę.

Ksiądz Ciborowski był znanym w okolicy pszczelarzem.

- Czy książe Drucki_lubecki posiada jeszcze jakie majątki? - spytał ojciec Maksymilian.

- Owszem, ma duży majątek Teresin koło Sochaczewa, pod Warszawą, 42 kilometry od stolicy.

- Jak by to było dobrze - podchwycił ojciec Maksymilian - gdyby książe ofiarował choćby niewielki kawałek pola pod budowę klasztoru_wydawnictwa. Czy ksiądz proboszcz byłby łaskaw pomówić z pełnomocnikiem w tej sprawie?

- Bardzo chętnie - odpowiedział ksiądz Ciborowski. - Mam nadzieję, że to będzie pomyślnie załatwione.

Minęły dwa tygodnie gorących modlitw w tej intencji.

- Czy też i tym razem Opatrzność nas nie zawiedzie - myśleli bracia.

Jakaż była ich radość, gdy książe wezwał ojca Maksymiliana i obiecał dać pięć morgów gruntu z majątku Teresin.

Później wprawdzie wyłoniły się trudności. Książe postawił warunek, na który władze zakonne nie mogły się zgodzić. I znów zdawało się, że wszystko przepadło. Ale ojciec Maksymilian nie tracił nadziei. Na zaofiarowanym polu kazał postawić figurę Niepokalanej i uroczyście poświęcić. Potem udał się do księcia i zawiadomił go z żalem, że zakon nie może przyjąć jego warunków.

- A co zrobić z figurą, którą ojcowie postawili na moim polu? - spytał książe.

- Niech zostanie - odpowiedział ojciec Maksymilian. - Myśmy Matce Bożej oddali już w posiadanie dar księcia pana, to nie możemy Jej zabierać.

Książe zamyślił się. W tej chwili ważyły się losy wydawnictwa.

Ojciec Maksymilian modlił się cicho. Po chwili książe Lubecki rzekł:

- Parcelę ofiarowuję bez żadnych zobowiązań ze strony klasztoru.

- A więc zwyciężyła Niepokalana - pomyślał ojciec Maksymilian i zaczął dziękować księciu.

Ojciec Maksymilian z bratem Zenonem natychmiast wyznaczyli teren pod budowę, zrobili plany, zamówili drzewo z tartaku. Był to październik 1927 r.

- 8 grudnia odbędzie się poświęcenie kaplicy - powiedział ojciec Maksymilian.

Zdawało się, że to niepodobieństwo. Bracia zamieszkali w sąsiedztwie u państwa Jaroszewskich i pracowali od świtu do nocy. Budowali baraki z leszu, głodowali, marzli, nie dosypiali. Brat Salezy w Grodnie pakował maszyny. 20 listopada załadowano osiem wagonów towarowych i wysłano w stronę Warszawy.

Ojciec Maksymilian odprawił Mszę św. dziękczynną za łaski, którymi Niepokalana obsypywała ich tak obficie.

- Niepokalanów - mówił ojciec Maksymilian - do którego za kilka godzin mamy wyjechać, jest to miejsce obrane przez Niepokalaną i przeznaczone wyłącznie na szerzenie Jej czci. Wszystko, cokolwiek jest i będzie w Niepokalanowie, to Jej własność. My również zostaliśmy wybrani przez Niepokalaną, a przez to staliśmy się Jej własnością. Złożmy ofiarę z siebie i oddajmy się jako nieużyteczne narzędzia w Jej ręce, a oddajmy się niepodzielnie, bez zastrzeżeń, na zawsze. Praktykować będziemy przede wszystkim posłuszeństwo. Będzie tam bardzo ubogo, bo wedle ducha św. Franciszka. Dużo będzie pracy, wiele cierpień i wszelkich niewygód.

Bracia nie lękali się ofiary. Pełni ufności odjechali na nową placówkę. W mroźny poranek listopadowy wysiedli na stacji w Szymanowie, dźwigając na plecach toboły z rzeczami.

Na pustym polu stały trzy samotne szare baraki - nazwane Niepokalanowem. Do nich to zmierzali bracia.

XXIV. Niepokalanów

Osobliwe było życie na początku w tym nowym klasztorze. Żywność przynosili dobrzy ludzie. Bracia jedli, siedząc w kuczki na podłodze. Stół oparty był na drewnianych skrzynkach, a do chwili nadejścia łóżek z Grodna posłanie stanowiła słoma rozsypana pod ścianami. Jeden żelazny piecyk miał starczyć dla wszystkich. Przez nieszczelne ściany baraków wiatr dmuchał, a nierzadko i śnieg sypnął na pościel. Rozgrzewali się gimnastyką i biegli na rozmyślanie do kaplicy. Na klęczkach uczestniczyli w dwóch Mszach świętych, potem pospiesznie zjadali śniadanie i rozbiegali się do pracy w różne strony. Trzeba się było spieszyć, by do 7 grudnia zmontować maszyny i przygotować wszystko na uroczystość poświęcenia klasztoru. Praca paliła się im w rękach i w jej wirze zapominali o dokuczliwym zimnie.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień 7 grudnia - wigilia święta Niepokalanego Poczęcia. Br. Salezy Mikołajczyk ma szczególną radość. Oto sprawdzają się słowa ojca Maksymiliana, który już w "Rycerzu" listopadowym akt poświęcenia klasztoru zaplanował na uroczystość Niepokalanej. Jej opiekę widać tu jak na dłoni.

Do Niepokalanowa zjeżdżali goście. Ojciec Kornel Czupryk - prowincjał zakonu, pan wojewoda warszawski Sołtan, ksiądz dziekan i wielu innych.

Przez ośnieżone pola szli ludzie z okolicy do klasztoru, podziwiając ubożuchne baraki i równie ubogą drewnianą kaplicę, gdzie za chwilę miała się rozpocząć Msza św.

Ale najwięcej radował się brat Salezy. W hali maszyn zdawało mu się wprost nie do wiary, aby to na czas wykończyć. Pracował w pocie czoła. Ojciec Maksymilian zabronił braciom mówić do niego, aby mu nie przeszkadzali. A dzisiaj w hali, obitej grubym czarnym papierem, stały rzędem błyszczące, po nocach montowane maszyny: "Frankenthal", "M.a.n." i "K~onig and Bauer". Obok, w sąsiednim baraku, huczał motor, a w introligatorni czekały na nowy numer falcówka, spinaczka i mechaniczne noże do cięcia papieru.

Gdy już wszyscy goście zebrali się w drukarni, brat Salezy puścił w ruch swoje maszyny. Naprawdę, to wcale nie był pewien, czy pójdą. Nie miał czasu ich wypróbować i montaż był nie skończony. Więc patrzył uradowany, jak powoli zaczęły się obracać pasy transmisyjne i miarowo stukwała falcówka. Maszyny drukarskie śpiewały swoją pieśń na cześć Niepokalanej.

Goście byli zdumieni.

Jak to? W tak krótkim czasie bracia to zrobili? Ależ to prawie niepodobieństwo. Twarze promieniały im wielką radością. Któż mógł zrozumieć ich zapał i gorliwość, z jaką tworzyli nową swoją zagrodę Niepokalanej? Chyba tylko ojciec Maksymilian, który był duszą ożywiającą wszystko. Najpokorniejszy z nich, uważał się tylko za narzędzie.

Był on teraz gwardianem, robił plany, obliczał, kierował i pomagał. Był z nimi wszędzie. Schorowany i kaszlący, oddał się całkowicie Niepokalanej, wyniszczał się dla Niej i dla braci.

- Ja jestem dla was - mówił - zawsze możecie do mnie przyjść ze wszystkim, co wam dolega.

Jednemu oddał swój ciepły sweter, drugiemu pożyczył kożuszek, dla każdego miał na ustach potężne słowo: "Maryja" - zachętę, pociechę, przebaczenie.

Oprowadzał teraz gości po klasztorze z cichym, szczęśliwym uśmiechem na ustach. Był to dzień tryumfu Niepokalanej. Jej łaska była tak oczywista. Toteż bracia odpowiadali na nią poświęceniem bez granic, ubóstwem, wyrzeczeniem, pokorą. Teraz mogli się radować. Brat Salezy usiadł na końcu refektarza i patrzył, jak goście pożywają się po franciszkańsku. Herbata była w kubkach, prosty stół sosnowy i ławy jeszcze nie doheblowane. Chyba święty ojciec Franciszek uradowałby się, patrząc na tę radość pełną czystej Bożej miłości. Właśnie wojewoda zabrał głos.

- Co on mówi? - pytał szeptem sąsiada brat Ewaryst.

- "Ja też jestem w trzecim zakonie franciszkańskim. Jednego ducha jestem z wami" - odpowiedział rozpromieniony brat Kamil.

Czy można się nie radować?

Dopiero minęło dwa lata, jak brat Salezy, po odbyciu służby wojskowej, przyjechał do Grodna i włożył habit zakonny. Ojciec Maksymilian zaraz go przydzielił do maszyn.

- Jak to dobrze się składa, bracie. Niepokalana przysłała cię tu do nas - powiedział do niego na wstępie. - Bo to i ślusarz i monter jesteś w jednej osobie. Takiego nam właśnie potrzeba.

Brat Salezy był podoficer w wojskowej jednostce technicznej, stanął przed ojcem Maksymilianem na baczność. Potem zakasał rękawy i wziął się do pracy, a dzisiaj świętuje. Dzisiaj jest jego święto. Maszyny ruszyły posłusznie, goście są pełni podziwu dla zakonników, więc nie pozostaje nic innego, jak dziękować Niepokalanej Matce i chwalić Ją z całej duszy.

Do wieczora snuli się po Niepokalanowie goście. Potem zamknięto bramę i ojciec gwardian ogłosił klauzurę zakonną.

Wiele jednak trudności, zwłaszcza prawnych i technicznych, trzeba było jeszcze pokonać. Dopiero w końcu stycznia Niepokalanów mógł wysłać swym czytelnikom kolejny numer "Rycerza Niepokalanej", który właśnie stąd we wzrastającym stale nakładzie miał ogrzewać dusze ludzkie, miał miłością do Matki Bożej rozplomienić cały świat.

Ojciec Maksymilian jako gwardian miał w rękę cały splot przeróżnych spraw. Wszystkie nici zbiegały się w jego rękach, nieraz drżących i słabych. Ale te ręce miały w sobie moc, która sięgała w nieskończoność. Była to moc świętego posłuszeństwa. Każdy niemal krok musiał być zatwierdzony przez władze. Na klęczkach przyjmował ojciec Maksymilian, jako wolę Bożą, polecenia ojca prowincjała i bez wahania na ślepo wprowadzał w życie. Przełożeni wiedzieli o tym.

"Rycerz Niepokalanej" budził powołania zakonne. Coraz to ktoś pukał do furty klasztornej z prośbą o przyjęcie. W roku 1929 braci było już pięćdziesięciu. Oprócz drukarni, introligatorni i administracji zorganizowano wysyłkę figurek Niepokalanej, medalików, różańców i innych przedmiotów Jej kultu. Oprócz tego istniał dział gospodarczy, który obejmował warsztat krawiecki, szewski, ogród itp.

Ojciec Maksymilian miał w celi prymitywnie wykonane łóżko i nie pozwalał go zmienić, gdyż według niego sprzeciwiałoby się to zakonnemu ubóstwu; również obywał się bez szafy, ale planował własne lotnisko i radiostację. Jego ścisły umysł, niby najbardziej precyzyjny aparat, stworzył całą tę dziwną, opartą jedynie na dobrej woli i miłości Boga, organizację ludzi, którzy prześcigali się w gorliwości i poświęceniu. Wyznaczał w niej każdemu odpowiednie miejsce.

XXV. Wątpliwości ojca prowincjała

W roku 1929 Niepokalanów był w pełni rozkwitu. Z nastaniem wiosny przystąpiono do powiększenia kaplicy. 17 maja przyjechał właśnie ojciec prowincjał Kornel Czupryk i ojciec Maksymilian zaprowadził go na budowę.

- Nareszcie w kaplicy będzie trochę luźniej - mówił ojciec Alfons, zacierając ręce z radości. - Braci wciąż przybywa, a dotychczasowa kapliczka byłaby wkrótce dla nich za mała, a przecież i ludzie z okolicy do nas się garną. Latem to jeszcze słuchają Mszy na zewnątrz, ale w zimie...

- Powołań u was nie brakuje - uśmiechnął się ojciec prowincjał.

- A tak, prawie codziennie zjawia się ktoś. Tylko brak nam w Niepokalanowie kapłanów.

- Załóżcie sobie internat, a będziecie mieli w przyszłości wielu kapłanów - powiedział żartem ojciec prowincjał, czyniąc przy tym ręką szeroki gest, a nawet wspomniał o pomocy finansowej.

Ojciec Kornel w głębi duszy dobrze wiedział, że założenie Małego Seminarium z internatem w Niepokalanowie jest niepodobieństwem, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Rozmawiał jeszcze chwilę z ojcem Maksymilianem i Alfonsem, a następnie odjechał na wizytację do Łagiewnik. Po drodze zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił sugerując tym zapaleńcom myśl założenia seminarium. Uświadomił sobie, z jakim błyskiem w oczach obaj bracia Kolbowie słuchali jego propozycji na temat internatu. Po nich wszystkiego spodziewać się można, ale chyba i oni zdają sobie sprawę, że na razie to jest rzecz nieosiągalna. Toteż nieco uspokojony wizytował kolejne konwenty, a pod koniec maja rozpoczął wizytację klasztoru krakowskiego.

Tymczasem ojciec Maksymilian i ojciec Alfons całkiem pochłonięci bieżącymi sprawami nie mieli możliwości przeanalizowania tego projektu. Dopiero 29 maja - po przeczytaniu ogłoszenia o przyjmowaniu kandydatów do kapłaństwa, jakie ojcowie Jezuiti zamieścili w "Posłańcu Serca Jezusowego" - sprawa odżyła na nowo. W dniu następnym bracia Kolbowie omówili ważniejsze szczegóły dotyczące budowy koniecznego pomieszczenia, zaangażowania profesorów i umieszczenia ogłoszenia o przyjmowaniu kandydatów w "Rykerzu Niepokalanej".

Ojciec Alfons nie ukrywał swych obaw, że ojciec prowincjał na widok konkretnych planów może odmówić swej aprobaty. Dlatego ojciec Maksymilian polecił właśnie ojcu Alfonsowi jako lepiej zorientowanemu w mogących wyniknąć trudnościach, aby jeszcze tego samego wieczoru udał się w podróż do Krakowa, gdzie według posiadanych wiadomości ojciec Kornel miał w tym czasie przeprowadzać wizytację.

Niestety, po przyjeździe do Krakowa ojciec Alfons dowiedział się, że ojciec prowincjał przerwał wizytację konwentu krakowskiego, by pozatłatwić pilne sprawy we Lwowie. W Krakowie pozostał tylko sekretarz prowincji ojciec Wincenty Boruń. Znał on już propozycję ojca Kornela w sprawie seminarium i oświadczył, że inni ojcowie w prowincji wysuwają argumenty przeciwne temu projektowi.

Tymczasem nadszedł telegram od ojca Kornela zawiadamiający, że jego pobyt we Lwowie się przedłuży co najmniej o jeden dzień. Wobec tego ojciec Alfons zreferował całą rzecz na piśmie i poprosił ojca sekretarza o przekazanie jej ojcu prowincjałowi, a sam powrócił do Niepokalanowa pełen nienajlepszych przeczuć.

- Nareszcie spokojnie dokończę tej wizytacji - myślał ojciec Kornel, idąc z dworca do klasztoru krakowskiego.

- Był tu ojciec Alfons z Niepokalanowa z jakąś pilną sprawą do przewielebnego ojca prowincjała, ale ojciec sekretarz chyba wie o wszystkim - poinformował go brat furtian.

- Cóż by się tam mogło stać? Przecież niedawno u nich byłem - pomyślał ojciec Kornel i udał się wprost do pokoju ojca sekretarza.

Jakież było jego zdziwienie, gdy ojciec sekretarz odpowiedziawszy na jego powitanie podał mu zaraz kopertę dodając:

- To od ojca Alfonsa, przywiózł do zatwierdzenia plan budynku internatu, jaki nakreślił wspólnie z ojcem Maksymilianem. Mówił, że to bardzo pilna sprawa, bo jeszcze w tym roku chcą otworzyć seminarium. Ale niech ojciec prowincjał najpierw posili się i odpocznie, a potem rozważy, jaką im dać odpowiedź.

- Co? Seminarium? Ależ to niepodobieństwo. Mówiłem już ojcu przed kilku dniami, że wprowadzić zażartowałem na ten temat, a ci Kolbowie zaraz pochwycili mnie za słowo. Tego absolutnie nie powinni robić. Sami mówili, że u nich ciasno. Gdzież się to wszystko zmieści? I kiedy? Już jest czerwiec. Nie ma o czym mówić. Zaraz im napiszę, aby te plany wybili sobie z głowy.

Ojciec sekretarz wobec tak stanowczej postawy ojca prowincjała nie śmiał bronić braci Kolbów, choć wiedział, że mieli jak najlepsze zamiary i że słowa wyższego przełożonego wypowiedziane mimo woli przyjęli za wyraz woli Bożej.

Ojciec Kornel wróciwszy do swego pokoju chodził chwilę wzburzony pragnąc zebrać myśli do listu, którym chciał definitywnie zażegnać sprawę seminarium, a jednocześnie wyrazić swe niezadowolenie z tak niepoważnego do niej podejścia.

- Dziwni ludzie - mówił sam do siebie. - Ten Alfons chyba jeszcze bardziej porywczy niż Maksymilian. Nie ma dla nich przeszkód i wahań. Zrobiliśmy plany i już... Od września Seminarium Misyjne!... No, proszę.

Wkrótce jednak przyszła refleksja.

- Zrobili to z gorliwości o chwałę Bożą, o zbawienie dusz, a ja miałbym ich za to skwitować naganą? Czyż cały Niepokalanów nie wydał mi się z początku nierealny?... Ten jakiś pęd, rozmach, postęp w działaniu. A jednak, jeśli się bliżej przyjrzeć, wszystko jest prawdziwie franciszkańskie. Nawet ten ich radosny zapał. Co prawda mnie i siebie swą gorliwością narażają na śmieszność. Rok szkolny za pasem, a oni nie mają ani lokalu, ani uczniów. Nie wiadomo nawet, czy się jaki profesor zgodzi dojeżdżać z Warszawy i ile to będzie kosztować. Wreszcie zadanie poważniejsze ojców w prowincji, gdy im przedstawiłem taką możliwość, jest raczej nieprzychylnie. Trzeba też zawiadomić kandydatów, przesłać im warunki przyjęcia. Kiedy się to wszystko zrobi?

Ojciec Kornel był naprawdę zakłopotany.

- A jeśli oni to zrobią? Ci dwaj bracia są nieobliczalni, porywają się z motyką na słońce, ale seminarium jest naprawdę potrzebne. A jeśli to jest wola Boża, to czyż ja przez swoje powolne działanie miałbym się jej sprzeciwiać?... - Westchnął i ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej wiszącym na ścianie.

Musiał się uspokoić, zawezwać na pomoc, Tę, która jest najwyższą władzą w Niepokalanowie. W gorącej modlitwie oddał w Jej przeczyste ręce tę sprawę i nagle ogarnęła go pewność, że taka jest Jej wola. Jakaś wewnętrzna siła rozwiązała małoduszne skrupuły.

Przyjął to jako nakaz z góry. Skłonił głowę w kornej podzięce. Trzeba było działać pośpiesznie. Tego samego dnia wysłane zostało do ojca Maksymiliana pismo z datą 2 czerwca 1929 roku: "Nakazuję pod posłuszeństwem założenie jeszcze w tym roku internatu i Małego Seminarium".

Dopiero w lipcu przystąpiono do budowy domu seminaryjnego zwanego "drapaczem chmur", który jako jednopiętrowy wyróżniał się spośród innych parterowych budynków. Ukończono go w drugiej dekadzie września i w tym też właśnie czasie zjechali się pierwsi wychowankowie. Zjawiała się nieodłączna w takim środowisku siatkówka. Na boisku uprawiano gimnastykę, a w czasie wolnym od zajęć rozbrzmiewały śmiechy i wesoły gwar:

- Zupełnie jak we Lwowie - myślał ojciec Maksymilian i uśmiechając się ogarniał pełnym miłości spojrzeniem gromadkę przyszłych kapłanów.

XXVI. Na misje

Była zima. Rok 1930. Brat Zenon Żebrowski wsiadł do pociągu biegnącego w stronę Warszawy. Miał do załatwienia różne sprawy wydawnicze, a jeszcze na odjeźdźnym ojciec Maksymilian przysłał mu kartkę.

- Co tu jest napisane, bracie Manswecie? - rzekł do swego towarzysza, mrużąc oczy.

"Dowiedzieć się w Orbisie, ile kosztuje bilet do Kalkuty, Szanghaju, Nagasaki".

- Gdzie to są takie miasta? - szepnął zdumiony.

- Ech, bracie, to strasznie daleko, aż w Azji. Ojciec Maksymilian coś planuje. Pewnie się wybiera na misje.

Jakoż wkrótce zaczęło się w Niepokalanowie mówić o misjach. W refektarzu czytano dzieło ojca Honorata o misjach franciszkańskich. Jakiś nowy duch powiał wśród braci.

Ojciec Maksymilian wyjeżdżał teraz często do Warszawy i do ojca prowincjała.

Wreszcie pewnego dnia wezwał brata Hilarego Łysakowskiego i zapytał:

- Czy brat miałby ochotę jechać na misje do Japonii?

- I owszem, jeśli taka jest wola Boża - odpowiedział brat Hilary.

Wybrano jeszcze dwóch braci: Zygmunta Króla i Seweryna Dagisa, sekretarza redakcji "Rycerza". Zakupiono podręczniki niemieckie, francuskie, rosyjskie, chińskie i japońskie. Bracia zaczęli się pospiesznie uczyć języków.

Na początku 1930 roku ojciec Maksymilian udał się do Rzymu. Generałem zakonu był wówczas ojciec Orlich. Wysłuchał on sprawozdania z Niepokalanowa i zatwierdził wszystkie plany ojca Maksymiliana. Wręczył mu też sto dolarów w gotówce.

Ojciec Maksymilian nie przejmował się materialnymi sprawami. Otrzymałszy pozwolenie i błogosławieństwo ojca generała, zadepeszował do Niepokalanowa. Duszę miał pełną szczęścia. Spełniał wolę Niepokalanowej. Ani na chwilę nie wątpił, że wszystko będzie tak, jak Ona zarządzi. Pośpieszył więc do Lourdes, aby zapewnić sobie łaskę Matki Bożej i obmyślić swoją wyprawę.

- Tak, w Lourdes modli się człowiek inaczej niż gdziekolwiek indziej - powiedział później do braci, patrząc w dal zadumany wzrokiem.

- No, pewnie! Tu, w grocie, widziała Ją mała Bernadetka. Jeszcze wciąż odczuwa się ten nadprzyrodzony powiew łaski, wciąż płynie woda uzdrawiająca ze źródła miłosierdzia.

Z Lourdes pojechał ojciec Maksymilian do Lisieux. Jakże tu wszystko żyje świętą Tereską! Domek w Buissonnets, pamiątki z lat dziecińczych, zabawki...

- Nawet szachy są - uśmiechnął się na myśl, że musi to opowiedzieć braciom po powrocie do Niepokalanowa. - Przecież Mała Święta jest patronką misji. Zasypuje świat deszczem łask. Jej droga dziecięctwa duchowego jest taka prosta i naturalna. To jest prawdziwa świętość. Wypełnienie obowiązków codziennych z miłością dla Boga i bezgraniczna w Nim ufność.

Ojciec Maksymilian klęczał długo przy grobie świętej. Przypominał jej umowę, którą zawarł z nią przed laty, że będzie szerzył jej cześć, a ona będzie tam w niebie modlić się za niego.

Prosił pokornie ze łzami w oczach, żeby chciała go dalej wspomagać. Oddał jej pod opiekę Niepokalanów i misję, którą zamierzał założyć na Dalekim Wschodzie.

Dostał relikwie i szczęśliwy wracał do Polski. W Paryżu czekał na niego ksiądz Machay, który studiował w Sorbonie. Ksiądz Machay dawno już nie widział ojca Maksymiliana. Stał na dworcu i rozglądał się. Nagle dojrzał z daleka przygarbioną postać w wyszarzałym habicie. Ojciec Maksymilian zwyczajem misjonarzy zapuścił brodę, więc wydał się tym bardziej ubogi i zaniedbany.

- No, chyba jeszcze Paryż nie widział takiego dziwaka. Wszyscy będą się za nim oglądać - pomyślał zakłopotany, wysiadając z taksówki przed klasztorem Szarytek. Zapłacił szoferowi za przejazd i dołączył kilka franków.

- Czy to się należy płacić więcej, niż wskazuje licznik? - spytał ojciec Maksymilian, uważny - jak zwykle - na wszystko, co go otaczało.

- Ależ tak. W Paryżu taki jest zwyczaj - odpowiedział ksiądz Machay. - Tych kilka franków stanowi prawie cały zarobek szofera.

Ojciec Maksymilian bardzo się zasmucił.

- To ja skrzywdziłem człowieka - powiedział cicho i w oczach jego pokazały się łzy. - Myślałem, że on chce mnie wykorzystać, jak to nieraz bywa z cudzoziemcami i odmówiłem mu dopłaty, kiedy jechałem po raz ostatni.

Ksiądz Machay spojrział na niego z szacunkiem.

- Teraz wiem, kogo mam przed sobą - pomyślał. - Tak się martwić, że się zrobiło komuś przykrość, to się nieczęsto zdarza.

Ojciec Maksymilian zebrał, gdzie mógł, potrzebne materiały i pełen wrażeń wrócił na początku lutego do Niepokalanowa. Bracia urządzili mu owacyjne przyjęcie. Ojciec Alfons został tymczasem przełożonym wydawnictwa i doskonale sobie radził.

- Widać Niepokalana sama prowadzi swoje dzieło - powiedział ojciec Maksymilian zadowolony. - Ja tu już nie jestem potrzebny. Wszystko pójdzie i beze mnie we właściwym kierunku. Tak jak Ona zechce.

XXVII. Podróż

W Niepokalanowie wszyscy żyli misjami. Czterej bracia - przybył jeszcze brat Zenon Żebrowski - uczyli się na gwałt po chińsku, załatwiali różne formalności i wyrabiali wizy. Ojciec Alfons uczył ich fotografować. Kazano im się lepiej odżywiać, wreszcie zakupiono bilety na okręt.

Ojciec Maksymilian przez oszczędność chciał jechać na otwartym pokładzie, ale firma Messageries Maritimes kategorycznie odmówiła sprzedania misjonarzom biletów czwartej klasy. Ostatecznie otrzymali bilety drugiej klasy w cenie trzeciej.

Pewnego dnia ojciec Maksymilian wrócił z Warszawy i rzekł do jednego z braci:

- Nie wiem, czy zdążymy na statek, bo w konsulatach marudzą z wizami.

- Ach, to niemożliwe - zachnął się niecierpliwie brat Kamil.

- Ależ to bardzo dobrze, dziecko - roześmiał się pogodnie ojciec Maksymilian. - To właśnie znak, że to jest sprawa Boża, a szatan wszelkimi siłami stara się jej przeszkodzić.

Wyjazd nastąpił 26 lutego 1930 r. o godzinie 10.00.

W Warszawie nuncjusz apostolski ks. arcybiskup Marmaggi pobłogosławił ich na pożegnanie i powiedział z uśmiechem: "Do widzenia! Niech wam Bóg błogosławi!"

Na dworcu zegnali ich przyjaciele, którzy przynieśli różne dary. Wreszcie pociąg ruszył.

- Podoba mi się taka wyprawa - mówił jakiś przygodny towarzysz podróży. - Ja bym też chętnie pojechał na misje. Zwiedziłbym sobie darmo kawał świata.

Ojciec Maksymilian uśmiechnął się pogodnie i odkładając brewiarz, zaczął z nim rozmawiać. O ile w czasie modlitwy odznaczał się skupieniem i powagą, o tyle w rozmowie z ludźmi był uprzejmy i towarzyski, a nawet lubił żartować.

Wieczorem byli już w Czechosłowacji. Na drugi dzień zatrzymali się w Wiedniu. Bracia z podziwem oglądali miasto, potem wyruszyli dalej. Okolice były coraz piękniejsze. Alpy stały w śniegu, mieniąc się złotem i czerwienią o zachodzie słońca. Potem wjechali do słonecznej Italii.

W Rzymie byli przez trzy dni. Od rana do wieczora zwiedzali święte zabytki, a 6 marca przyjechali do Marsylii.

Nazajutrz przycumowano do mola statek "Angers".

- To nasz okręt. - Bracia ze wzruszeniem weszli na pokład i trochę niespokojnie czekali na ojca Maksymiliana, który się opóźnił. Wreszcie przyjechał w ostatniej chwili taksówką i zjawił się na pokładzie pogodny i uśmiechnięty.

Rozległ się przeraźliwy gwizd syreny okrętowej i "Angers" drgnął.

- Gdzie to nasza kajuta? - spytał ojciec Maksymilian braci. Zabrał ich ze sobą, choć mieli ochotę patrzeć jeszcze na portowe miasto. Wydostał z walizki figurkę Matki Bożej, ustawił starannie na półce i rzekł:

- Tu będzie nasz Niepokalanów. Musimy zacząć podróż od modlitwy.

Uklękli pokornie, nasłuchując, jak pracują maszyny na statku, coraz prędzej, prędzej... Drobne fale rozbijały się o burzę. Ale nad te wszystkie głosy wybił się wkrótce spokojny, skupiony głos ojca Maksymiliana, który odmawiał różaniec.

Za chwilę wyszli znów na pokład i ujrzeni z daleka Marsylię. Statek wypłynął już na pełne morze.

- Urządzimy sobie tutaj życie jak w klasztorze - mówił ojciec Maksymilian. - O piątej będzie w jadalni Msza święta, potem rozmyślanie, wspólna modlitwa i śniadanie. Po śniadaniu lekcje języków i wykłady. Musimy się zapoznać z naukową organizacją pracy. - Wyjął książkę Taylora, a następnie apologetykę i mówił dalej: - Będziemy dyskutować o prawdach naszej wiary, żeby się nie zawstydzili na misjach.

Czas był wypełniony po brzegi. Zostało go jednak dość na podziwianie morza. Bracia stali nieraz na pokładzie, patrząc jak mewy krążą koło statku. Brat Zenon rzucał im chleb. Z piskiem zbierały się nad wodą i błyskawicznym lotem chwyciły pożywienie. Czasem delfiny podpływały w słońcu, otwierając szeroko pyszczki, a statek prüł fale niezmordowanie, zostawiając po bokach białe spienione bruzdy.

Ojciec Maksymilian poznał już prawie wszystkich pasażerów. Z Rosjaninem zapuścił się w dyskusję o teorii Darwina. Syryjczyka wypytywał o sprawy religijne w jego kraju. Próbował się nawet porozumieć z czarnym Abisyńczykiem, ale niestety, umiał on tylko dwa słowa po francusku: merci i encore.

Z daleka ukazały się brzegi Sycylii. Wkrótce statek wjechał w Cieśninę Mesyńską. Z lewej strony widać było Reggio San Giovanni u stóp Etny.

W roku 1907 było tu wielkie trzęsienie ziemi. Ojciec Maksymilian opowiadał braciom, jak to burmistrz Mesyny, obejmując przed świętami Bożego Narodzenia urządowanie, wygłosił lekkomyślne przemówienie przeciw religii. Jeśli Chrystus jest Panem świata, niech pokaże swoją moc i niech potrząśnie Etną. Żadnaś się nie poruszy wulkanu, który jest wygasły. Miasto może spać spokojnie. A jednak burmistrz się pomylił. Tak się dziwnie złożyło, że w same święta Bożego Narodzenia Etna zaczęła dymić. Straszny huk poruszył mieszkańców Mesyny, a potem spadł na miasto deszcz rozpalonej lawy.

Wkrótce statek wypłynął na pełne morze. Jak okiem sięgnąć przelewało się ono przed nimi postrzępione białymi grzywami fal. Łąd zniknął, a ich "Angers" wydał się dziwnie mały, jak łupinka orzecha rzucona w przepaść błękitu. Ojciec Maksymilian przechadzał się zamyślony... Niedługo zatrzymają się w Port Saidzie. Kto wie, czy nie uda się w Egipcie założyć placówki misyjnej i wydawniczej. Stamtąd pisemko zacznie się rozchodzić w Arabii, Palestynie, Syrii, Iraku i w Persji. Można opanować dla Niepokalanej cały Bliski Wschód.

- Prawda, panie - zwrócił się do kupca syryjskiego, który siedział obok niego na leżaku - że Egipt ma tu największe znaczenie. Egipt jest sercem Wschodu.

- Ależ tak! Skąd ksiądz to wszystko wie? - rzekł zdziwiony kupiec. - To jest świetny plan. Ja księdzu pomogę. Proszę, mój adres. Ksiądz mnie kiedyś odwiedzi w Syrii.

- Bardzo chętnie. Jak przybijemy do Port Saidu, zobaczę się z miejscowym biskupem. Może się uda założyć tu naszą placówkę. Zaczęlibyśmy wydawać "Rycerza" w języku arabskim.

Niestety, postój okrętu był zbyt krótki. Biskup okazał wiele życzliwości, ale wkrótce trzeba się było pożegnać.

- Niech ojciec do nas przyjedzie - mówił biskup w Port Saidzie:

"Benedicat vos omnipotens Deus" - pośpiesznie udzielił błogosławieństwa i ojciec Maksymilian wrócił na statek.

Jechali teraz wąskim Kanałem Sueskim. O świcie minęli, nie zatrzymując się, Suez. Z pustyni Tebaidy nawiewał wiatr drobnego piasku. Szary pył pokrywał powierzchnię Morza Czerwonego, powietrze stało się duszne i gorące. W kajucie nie można było wytrzymać. Ojciec Maksymilian wyszedł na pokład, ale i tu męka okropna. Kurz wbijał się w oczy, w uszy, w usta. Ojciec Maksymilian chwycił powietrze jak ryba wyjęta z wody, ale się nie skarżył. Czasem tylko zapytał braci, jak się czują. Musieli go prowadzić pod rękę, więc przeproszał, że swoim niedoświadczeniem sprawił im kłopot. Jechali z północy na południe. Z lewej strony widać było półwysep, wyniosły szczyt góry Synaj, na którym Pan przemówił do Mojżesza, z prawej pustynię. Dopiero gdy wjechali na Ocean Indyjski, powiał łagodny wiatr i wszyscy odetchnęli. W Dżibuti czekali na naszych misjonarzy miejscowi Kapucyni. Zawieźli ojca Maksymiliana i braci do swego klasztoru i przyjęli serdecznie, opowiadając o warunkach pracy misyjnej w Abisynii. Nie były łatwe. Kraj prawie dziki, bez środków komunikacji, a mieszkańcy w znacznej części analfabeci.

- Teraz do Indii! - powiedział ojciec Maksymilian, wchodząc na statek. - Następny postój na Cejlonie.

- Mamy szczęście - rzekł kapitan okrętu. - Ocean Spokojny jak ta lala. Ani jednej chmurki.

Siedzieli przeważnie na pokładzie, ucząc się języka chińskiego i japońskiego. Ojciec Maksymilian zdążył już przygotować pierwszy numer "Rycerza" i wdał się w rozmowę z inżynierem Chińczykiem, który powracał z Francji. Może zechce przetłumaczyć wstępny artykuł do "Rycerza" chińskiego.

- Nie, nie - kręcił głową, ale w końcu troszkę dopomógł.

19 marca statek zawinął do portu Kolombo. Był ogromny upał. Od Bożego Narodzenia nie spadła ani kropla deszczu. Przewodnicy Hindusi leniwie porozkładali się w cieniu palm na chodnikach prowadzących do miasta. Kilka dni spędził ojciec Maksymilian z braćmi u miejscowego arcybiskupa, Francuza, który należał do Zgromadzenia Oblatów Maryi Niepokalanej. Arcybiskup gościł ich serdecznie, zapoznał z administracją diecezji i miejscowymi trudnościami, z których chyba największa - to wielka ilość narzeczy wśród ludności Cejlonu i niemożność porozumienia się z ludźmi.

Ojciec Maksymilian zwiedził miejscowe szkoły, kościoły i placówki katolickie na terenie miasta. Oburzał się na upokarzające przesady kastowe w Indiach, na nieludzkie traktowanie pariasów i zaczął marzyć o pracy misyjnej i wydawniczej w tym pięknym kraju.

Gdy Cejlon zniknął za horyzontem, zabrał braci do kajuty i razem modlili się o nawrócenie Indii.

- Indie, Indie! Ja tu kiedyś wrócę - mówił wsparty o burtę, patrząc na białą smugę, którą okręt zostawił za sobą.

XXVIII. Lo-pa-hong

11 kwietnia przed oczyma zmęczonych podróżnych ukazały się żółte fale Jangtsekiangu. Ogromna rzeka toczyła z wolna swoje cielsko przez kraj wyniszczony głodem i długotrwałą wojną domową. Placówki misyjne w Chinach przez ostatnie 50 lat wciąż dźwigały się z ruin i na nowo były niszczone przez uzbrojone bandy.

Ale ojciec Maksymilian wcale się tym nie zrażał. Płynął teraz wzdłuż rzeki Huangpu i patrzył na zamglony krajobraz. Ręka jego spoczywała na różańcu. Przymrużał oczy od blasku. Brał w posiadanie cały ten rozległy i piękny kraj i oddawał w ręce Niepokalanej. Niech Ona tu rządzi, niech błogosławi te miliony dusz nie znających jeszcze Jej Syna.

Na statku powstał ruch. Rozległy się niezrozumiałe okrzyki i rozmowy. Chińczycy, przeważnie nędznie odziani, zgarniali bagaże i śpieszyli do wyjścia. Bracia nie mieli z tym wiele kłopotu. Z prokury misyjnej przysłano robotników do odbijania skrzyń na komorze celnej, ale skrzyń nie było. Bracia ukazali się na brzegu, dźwigając ręczne walizki. Nie mieli nic więcej. Trochę bielizny, książek i to, co na sobie.

W domu misyjnym od razu ich rozczarowano.

- Co, chcecie wydawać pismo? Tu już niejednego próbował szczęścia, ale nikomu się nie powiodło. Ojciec Maksymilian stał w holu zamyślony. Naprawdę nie wiedział teraz, co zrobić z tak pieczołowicie przygotowanym planem, od czego zacząć?

Nagle przed budynek prokury zajechało eleganckie auto i wysiadł z niego wysoki, barczysty Chińczyk. Ruchy miał energiczne i dziwną swobodę w obejściu. Wesóło i żartobliwie przywitał się z przełożonym prokury, a potem wskazał z zainteresowaniem na ojca Maksymiliana i braci stojących skromnie przy swoich walizkach. Przełożony prokury przyprował go zaraz do ojca Maksymiliana, mówiąc:

- Oto jest nasz najlepszy opiekun, Józef Lo-pa-hong, znany ekonomista, jeden z najbogatszych ludzi w Chinach. Jego dziadowie już trzysta lat temu przyjęli chrzest. To jest nasza chluba.

- Tak, tak - pobłaźliwie uśmiechnął się na te pochwały Lo-pa-hong. - Zabiorę ojca do mego domu i razem omówimy, co się da zrobić.

- Z moich olbrzymich dochodów - mówił, gdy przyjechali na miejsce - pobudowałem szpitale w Nankinie, Szanghaju i Pekinie. Jedna z moich szkół w Szanghaju jest w tej chwili nieczynna. Lokal jest wyposażony we wszystkie pomoce i meble, personel chiński łatwo mogę znaleźć, ale ja chcę oddać zarząd misjonarzom, żeby wychowanie było w duchu katolickim. Jeżeli ojciec podejmie się prowadzenia tej szkoły, obiecuję zbudować wam klasztor i prokurę w dzielnicy i będę pokrywał wszystkie wydatki. Posiadam też całkowicie wyposażoną drukarnię. Możecie bez trudu zorganizować swoje wydawnictwo.

Zdawało się, że jest to wspaniała okazja.

Na drugi dzień ojciec Maksymilian wybrał się do biskupa Szanghaju. Był to długoletni misjonarz w Chinach. Niestety, audiencja trwała krótko.

- Kongres katolicki w r. 1926 załatwił sporne sprawy wikariatów na terenie całego kraju - rzekł biskup. - Misjonarze powinni pracować na swoich terenach.

Zdawało się, że sprawa jest przegrana, ale po tygodniu ojciec Maksymilian po raz drugi odwiedził biskupa w jego rezydencji w Zi-ka-wei i zaczął rozmowę o swoich studiach rzymskich na Gregorianum. Biskup był sam niegdyś profesorem i ożywił się, wspominając dawne czasy. Potem rozmawiali o Wszechpośrednictwie łask Najświętszej Maryi Panny.

- Teraz to już Niepokalana utoruje sobie drogę poprzez jego formalistyczne trochę podejście - pomyślał ojciec Maksymilian.

Biskup prosił, żeby koniecznie przyszedł jeszcze raz z gotowym planem. Był tak przyjaźnie usposobiony, że ojciec Maksymilian miał wielką nadzieję. Rzeczywiście biskup pozwolił na założenie placówki wydawniczej, ale nie radził brać szkoły, ponieważ ojciec Maksymilian nie zna miejscowych stosunków, no i warunek - najmniej dwóch ojców i dwóch braci. Tak więc znowu wszystko utknęło. Ojciec Maksymilian zostawił dwóch braci i kazał im się uczyć języka chińskiego, a z dwoma pozostałymi wyruszył do Japonii.

XXIX. Seibo no Kishi

Biskupem w Nagasaki był niedawno konsekrowany Japończyk nazwiskiem Hayasaka. Ojciec Maksymilian miał nadzieję, że łatwiej uzyska od niego pozwolenie. Biskup był zaskoczony przyjazdem ojca Maksymiliana i braci. Ale gdy się dowiedział, że ojciec Maksymilian posiada dwa doktoraty, ucieszył się i rzekł:

- Właśnie brak mi profesora. To Najświętsza Panna przysłała mi ojca na profesora filozofii w seminarium.

W zamian za to biskup obiecał swoje poparcie. Księża diecezjalni będą tłumaczyć artykuły na język japoński, a "Rycerz" może wychodzić jako dodatek do pisma diecezjalnego.

- Dobrze i to... na początek.

Już w maju ukazał się pierwszy numer: "Seibo no Kishi", wydrukowany w drukarni p. Fujiki. W tymże miesiącu ojciec Maksymilian wynajął budynek w pobliżu seminarium, w którym zmontowano własną maszynę drukarską sprowadzoną z Osaki. Cóż to był za dom? Dawne sanatorium w ruinie. W parę dni po przeprowadzce tynk sufitu zwałił się na śpiących braci. Niemal cudownie uniknęli śmierci. Ale byli u siebie. Tworzyli własne życie i to napełniało ich nieustanną radością.

Idąc na nabożeństwo do katedry, ludzie zauważyli zmianę. Od dawna stojący pustkami dom ożywił się. Ktoś w nim zamieszkał.

Pierwszy zajrzał do środka stary Japończyk Uraoka. Zobaczył uśmiechnięte twarze braci, którzy pytali: czego sobie życzy - ale on nic nie rozumiał. Rozglądał się wokoło i kiwał głową. Był wzruszony ich ubóstwem. Łóżek nie mieli. Spali na podłodze, a krzesła i stoły były tak zniszczone, że nadawały się tylko na podpałkę.

- Watashi no kodomo kimasu - powtarzał bezzębnymi ustami. - Moje dziecko tu przyjdzie.

Później dopiero zrozumieli, co to znaczy. Jakoż na drugi dzień przysłał syna, który przyniósł woreczek ryżu. Odtąd wspomagali braci żywnością.

Tymczasem nowe pisemko napotkało wielkie trudności na swej drodze. Zecerzy japońscy podbijali wciąż cenę. W końcu wcale nie przyszli. Odmówili składania "Rycerza".

- Co teraz robić?

- Listopadowy numer musimy sami złożyć - zdecydował ojciec Maksymilian. - Czyżbyś ty, bracie, nie mógł się tego podjąć? - zagadnął brata Seweryna. - Niepokalana dopomoże.

- Jeżeli ojciec każe - odrzekł brat - to myślę, że uda mi się złożyć.

Praca to była ogromnie żmudna.

- Oczy mi wychodzą na wierzch ze zmęczenia - mówił brat - sam nie wiem, jakim sposobem złożyłem 16 stronic.

Po kilku dniach "Rycerz" listopadowy poszedł na maszyny. Ojciec Maksymilian cieszył się jak dziecko.

- Widzicie - mówił wszystkim - jak Niepokalana opiekuje się swoim dziełem, nawet gdy przeszkody są nie do pokonania. W tym wypadku - nieznamość języka.

W historii drukarstwa japońskiego jest to pierwsze pismo całkowicie złożone przez białych.

Najtrudniej było z tłumaczeniem, ale i tu Opatrzność zaradziła złemu. Pewnego dnia zjawił się nauczyciel japoński Tagita Koya, poznał ojca Maksymiliana i sprowadził swoich kolegów.

- Patrzcie, mówił im - jak wygląda w życiu franciszkanizm.

Jeden z nich, Yamaki, tłumaczył na japoński "Kwiatki świętego Franciszka". Yamaki był nauczycielem w szkole metodystów i pastorem ich gminy w Urakami. Przyszedł nieufny i nastawiony krytycznie, ale ojciec Maksymilian swoim osobistym urokiem potrafił go zjednać dla Kościoła. Wzruszony ubóstwem zakonników obiecał im pomagać.

Tłumaczyli też artykuły księży japońscy. Uczony ksiądz Urakawa, siwy staruszek ks. Paweł Matsukawa, który lubił bardzo ojca Maksymiliana i był jego ojcem duchownym, pełen energii i młodzieńczego zapału ksiądz Yamaguchi, późniejszy biskup, a następnie arcybiskup Nagasaki, wreszcie ksiądz Umeki, sekretarz biskupa, który był niezastąpiony jako doradca w sprawach administracyjnych, a nawet nieraz obracał razem z braćmi naszą maszynę drukarską.

Taka była najbliższa gromadka współpracowników. Bracia łamali sobie języki, żeby się z nimi porozumieć. Serdeczny uśmiech zastępował nieraz słowa, których brakło.

Zarzucano nowemu pisemku, że jest niestarannie wydawane, z błędami, że nie na poziomie, a tymczasem czytelnicy coraz częściej zaczęli się zwracać z prośbą o katechizację i opozycja przycichła. Zdawało się, że "Seibo no Kizhi" będzie się pomyślnie rozwijać, tylko zdrowie ojca Maksymiliana było coraz słabsze, a w wigilię Niepokalanego Poczęcia w r. 1930 spotkał go wielki cios. Dostał telegram o śmierci brata, ojca Alfonsa. Przez chwilę zdawało się, że wszystkie jego trudy, całe dzieło, z takim poświęceniem powstałe, pójdzie na marne. Ojciec Alfons był przełożonym Niepokalanowa i redaktorem polskiego "Rycerza". Był jego oparciem i pomocą. On jeden rozumiał w pełni wielkie plany ojca Maksymiliana, wierzył mu całkowicie, był po to, "aby nie przeszkadzać" - jak mówił.

- Cóż teraz będzie? - Ojciec Maksymilian poczuł, że ogarnia go niezmiernie zmęczenie.

- Na razie, proszę was, pomódlmy się wspólnie za duszę ojca Alfonsa - szepnął słabym głosem.

Uklękli wszyscy. Ojciec Maksymilian pochylił głowę i odmówił modlitwy za zmarłych. Potem wstał spokojny, twarz jego jakby pojaśniała. Widniała na niej wielka zwycięska miłość i spokój, doskonałe poddanie się woli Bożej.

- Niepokalana pamięta o swoim dziele - wyszeptał. - Możemy spokojnie rozejść się do zajęć. Niech Ona czyni, co Jej się podoba.

XXX. Mugenzai no Sono

Dom, w którym bracia mieszkali, nie nadawał się wcale na drukarnię. Japoński "Rycerz" miał nakład dziesięciu tysięcy. Ojciec Maksymilian zaczął rozglądać się za terenem, gdzie można by wybudować klasztor, kaplicę, drukarnię, a nawet małe seminarium. Jak zwykle miał wielkie plany, a żadnych środków, oprócz kilku pełnych wyrzeczenia braci, którzy upadali ze zmęczenia. Radośnie znosili głód i chłód wpatrzeni w swego ukochanego ojca gwardiana, który dzielił z nimi dołę i niedolę.

Chciał spać razem na strychu, gdzie wiatr hulał i śnieg prószył, ale schody były tak strome, że nie miał siły tam wejść. Więc uprosili go, żeby został na dole. Za nic nie chciał siatki przeciw moskitom, bo i bracia jej nie mieli. Wstawał pokąsany, z gorączką, pił z nimi czarną zbożową kawę i jadł suchy czarny chleb. Gdy brakło cukru, kazał im się modlić do Niepokalanej i na drugi dzień ktoś przyniósł ofiarę 18 jenów. Tyle kosztował worek cukru.

Kuchnia była okropna: ni to polska, ni japońska. Można się było rozchorować.

Ojciec Maksymilian był coraz słabszy, więc bracia pisali do Niepokalanowa alarmujące listy.

- To nie są płuca, to tylko strzępy pozostałe z płuc. Jak ten człowiek może żyć i pracować, to pozostanie zagadką dla medycyny - powiedział lekarz w Japonii.

Ale ojciec Kolbe nic sobie nie robił z orzeczeń lekarskich, od wielu lat zżył się z myślą o śmierci i - nie umierał. Po kilku miesiącach szukania zakupił teren na zboczu góry Hikosan (co znaczy: "górskie echo"). Bracia zabrali się zaraz do plantowania terenu, który był pokryty japońską trzcina i krzewami, półdziki, zarosnięty. Było ich za mało na taką robotę, więc z Niepokalanowa przybyło czterech nowych. Ojciec Maksymilian wyszedł po nich na stację i cieszył się serdecznie.

W najbliższą niedzielę poszli wszyscy oglądać nową posiadłość. Ojciec Maksymilian nazwał ją Mugenzai no Sono, to znaczy - Ogród Niepokalanej.

- Jak ci się, bracie Romualdzie, podoba nasz nowy plac - zagadnął znieczeka ojciec Maksymilian jednego z nowo przybyłych.

- Bardzo jestem zaskoczony, że taka góra. Nie ma nawet miejsca, żeby postawić budynek. Przecież tu wcale nie można liczyć na rozwój pisma.

Ojciec Maksymilian zaczerwienił się - widać zabolęła go ta krytyka, ale odpowiedział spokojnie:

- Zobaczysz, że Niepokalana tu właśnie chce królować i tu najlepsze miejsce sobie obrała.

Na tym skończyła się rozmowa. Dopiero w kilkanaście lat później brat Romuald przekonał się, że ojciec Maksymilian miał rację, gdyż w czasie wojny Nagasaki zostało zniszczone przez bombę atomową, a "Ogród Niepokalanej", położony na zboczu, ocalał.

Tymczasem bracia wybudowali pierwszy barak i przeprowadzkę wyznaczono na piątek 15 maja. Od samego rana lał deszcz. Ojciec Masymilian wybierał się z jednym z braci na procesję eucharystyczną do Mijadzaki i rzekł:

- Jutro, jakakolwiek będzie pogoda, urządzamy przeprowadzkę.

Bracia spojrzeli na niebo. Było szare i ciężkie jak ołów.

- Jak się tu można przeprowadzać, kiedy tak leje?

Ale na drugi dzień rano pogoda była cudowna.

- No, no, ojciec Maksymilian ma chyba wielką łaskę u Niepokalanej. Na pewno wymodlił nam tę pogodę na przeprowadzkę - mówili między sobą, krzątając się wesoło.

Znajomi księża japońscy nazywali ojca Maksymiliana "Seyin", to znaczy święty, ale niektórzy byli mu niechętni.

Pewnego dnia wezwał go delegat apostolski i z miejsca zaczął mu czynić wymówki.

- Jak to jest? Ojciec się tu rządzi, jak sam chce. Buduje drukarnię, sprowadza braci.

Przez godzinę biskup denerwował się, Ojciec Maksymilian nie przerywał, nie tłumaczył się, wysłuchał cierpliwie tych zarzutów. Później wyciągnął z kieszeni dokument erekcyjny z Rzymu na dom w Nagasaki.

- Dlaczego mi ojciec wcześniej tego nie pokazał? - rzekł zmartwiony biskup. - Właśnie o to chodziło, żeście nie mieli pozwolenia na budowę klasztoru.

- Mamy pozwolenie, Ekscelencjo.

Cóż z tego, że biskup_delegat załagodził sprawę. Ta godzina audiencji wyczerpała ojca Maksymiliana doszczętnie. Wrócił do domu załamany. Widzieli, że płakał.

On, taki niestrudzony i dzielny, poszedł zaraz do kaplicy pomodlić się. Miał gorączkę, w skroniach mu szumiało. Oparł głowę na rękach i usiłował nie myśleć. Chciał spocząć u stóp Niepokalanej, zapomnieć o wszystkim, co nie jest Nią, co się Jej sprzeciwia.

I nagle ta upokarzająca godzina, gdy stał przed delegatem apostolskim, wydała mu się w długim łańcuchu cierpień, które przeżył, jakaś szczególnie droga. Mógł ją czystym sercem ofiarować Matce - jasną jak klejnot. Marzył dzieckiem o koronie męczeńskiej, a teraz wiedział, że trzeba tę koronę zdobywać dzień po dniu w cierpliwości i trudzie codziennym.

I ujrzał, jak z tej jego codziennej ofiary wyrasta wielkie dzieło Niepokalanej - zbawienie dusz. Wszystkie cierpienia są niczym wobec tej myśli, że ma cząstkę w niebie. Ogarnęło go nagle niewysłowione szczęście posiadania Boga.

- Tak, to jest niebo - pomyślał i cały jeszcze promienny miłością nie z tego świata, wstał z klęczek, gdyż zadzwoniono właśnie na Anioł Pański.

Na dziedzińcu otoczyła go gromadka dzieci japońskich. Ciemne skośne oczka patrzyły na niego ufnie, buzie się śmiały. Jedno złapało go za rękę, drugie za pasek przy habicie i prowadziły go do domu. Chciały mu pokazać ważną rzecz. Oto sprowadziły dziewczynę, bo wczoraj piec w kuchni dymił. Dziewczyna przyszła z wachlarzem i rozpałką. Brat kucharz teraz wie, jak się w Japonii rozpala ogień. Śmiał się uradowany.

- Nie ma to jak dzieci, proszę ojca gwardiana. Dzieci są tu naszymi przyjaciółmi - mówił trochę wzruszony.

Ojciec Maksymilian pochylił się do malców z uśmiechem i wyciągnął z kieszeni medaliki. To była radość. Kilkoro umiało się już przeżegnać. Wiedziały, że Niepokalana to jest ich Mama Niebieska. Z powagą całowały medalik i kładły sobie na szyję. Potem pierzchnęły jak stado wróbli, żeby jutro znowu przyjść i posłuchać o niebie.

XXXI. Zobaczymy czy pamiętasz

Ojciec Maksymilian umiał iść na przekór złu. Jeszcze niedawno był chory i nie mógł o własnych siłach odprawić Mszy świętej. Bracia musieli go podtrzymywać przy ołtarzu, a teraz, ledwie przybył z Polski ojciec Konstanty, ojciec Maksymilian, rycerz nieustępliwy, natychmiast wybiera się na podbój świata dla Niepokalanej.

"Może się zdąży - pisze w listach do kraju - przed kapitułą generalną założyć Niepokalanów w Indiach i w Chinach, zacząć wydawać "Rycerza" we Włoszech i w Ameryce, zyskać powołania misyjne, poruszyć ciężkie trochę konwenty franciszkańskie, aby zyskały nowe życie pod sztandarem Niepokalanej".

Ale przede wszystkim Indie! O Indiach marzył od kilku lat, a teraz ojciec prowincjał pozwolił mu rozejrzeć się w tym pięknym i wielkim kraju, więc ojciec Maksymilian jest już w drodze.

"Kyuko", czyli pociąg pospieszny, unosi go 29 maja 1932 roku w stronę miasta Kobe. W duszy ojca Maksymiliana pełno niepewności. Czy dobrze postąpił? Czy taka jest wola Niepokalanej?

Jedzie na niepewne, w nieznanne. W kieszeni ma tylko list kłeryka rzymskiego sprzed dwóch lat. List polecający do Ernakulam. No, i braciom kazał się modlić w tej intencji, żeby nie bruździł Niepokalanej.

Nie ma w tych planach jego własnej woli, bo, po ludzku biorąc, jest wycieńczony chorobą i kto wie, czy nie wyzionie ducha w drodze.

A może przyjdzie mu wrócić z niczym? Ale to wszystko dla Niepokalanej. Ona go poprowadzi i co uczyni, to na pewno będzie najlepsze.

Mając w rękę łączony bilet do Ernakulam, ojciec Maksymilian wsiada na statek japoński "Africa Maru". Płyną wzdłuż wybrzeży chińskich. Jest 31 maja, ostatni dzień miesiąca Niepokalanej. W małej kajucie na szafce stoi figurka Matki Bożej. Ona tu króluje. Ojciec Kolbe modli się do swej ukochanej "Mamy" z bezgraniczną ufnością.

- Jakież spokój daje imię "Maryja" - pisze w liście do czytelników polskiego "Rycerza".

Statek jest niewielki, zapchany ludźmi. Na pokładzie pełno skrzyń, beczek i lin pachnących smarami. Powietrze jest parne i gorące, słońce pali niemiłosiernie. Zbliżają się przecież do strefy podzwrotnikowej.

W kajucie nie można wytrzymać, więc ojciec Kolbe wychodzi na chybotały pokład i myśli:

- Żeby choć parę godzin można wypocząć w cieniu, na stałym lądzie. W Hongkongu jest misja polska, ale jaki adres?...

Na chybił trafił nadaje depeszę na Szkołę Salezjańską.

- Może się uda, jeśli Niepokalana zechce. - Ojciec Maksymilian schodzi do kajuty, aby w tej intencji odmówić cząstkę różańca.

Nad ranem ze srebrzystej mgły wyłania się powoli miasto. Widać wysokie dźwigi w porcie, maszty okrętów i niezliczoną ilość barek.

Małe motorówki i łodzie obskoczyły okręt ze wszystkich stron. Ojciec Maksymilian stanął przy wejściu i czeka. Nagle, na schodach prowadzących na pomost, ujrzał brodatą postać księdza.

- Czy ksiądz z polskiej misji? - pyta uradowany.

- Tak, ksiądz Wieczorek.

Jakież to szczęście spotkać rodaka na dalekiej obczyźnie. Wchodzą natychmiast do chińskiej barki i płyną wzdłuż wybrzeża, prowadząc serdeczną pogawędkę.

W misji salezjańskiej chłód... cisza... i cały dzbanek wody z sokiem pomarańczowym. Pić się tak chce, aż "płuca trzeszczą". Słabe, schorowane płuca ojca Maksymilian ledwie dyszą. Może być krwotok, ale "Niepokalana widać sobie nie życzy", bo po krótkim wypoczynku ojciec Maksymilian zwiedza miasto: kościół sióstr, gdzie codziennie zdarza się po kilka chrztów dorosłych Chińczyków, a na drugim końcu Hongkongu dom dla kleryków, który jest w rozbudowie. Na wysokości drugiego piętra wykańcza się właśnie obszerny kościół z wejściem na drugą stronę pagórka.

Wieczorem wypoczynek w przewiewnym domu salezjańskim i dobroczynny sen, a na drugi dzień Msza święta i ojciec Kolbe, obdarzony cukierkami dla dzieci emigrantów, wyrusza w dalszą drogę.

Na pokładzie roi się od dzieci. Otaczają ojca Maksymilian, wyciągają rączki po słodycze. Jeden z malców z roześmianą buzią pokazuje paluszkami i mówi słodko: Odzi san - to znaczy - dziadzio.

Dokoła morze i morze... Statek pruje fale żelaznym dziobem, a małe skrzydlate rybki umykają co żywo. Są bardzo kolorowe i ruchliwe, wyskakują z wody, mieniąc się wszystkim barwami tęczy.

Dzieci są niezmordowane: krzyczą, bawią się, biegają. Wieczorem dopiero sen je zmożył. Pokładły się, gdzie chłodniej. Ojciec Maksymilian idąc raniutko, aby odprawić Mszę świętą, musi wymijać ostrożnie rozrzucone beładnie rączki i nóżki dziecięce.

Upał jest straszliwy. Przez pokład przewalają się białe bryzgi. Morze jest niespokojne, skłębione i mieni się o zachodzie złotem i czerwienią, ale nikt się tym nie zachwyca. Wszyscy z utęsknieniem wzdychają do podłogi, która się nie rusza. Ojciec Maksymilian siedzi w kajucie i usiłuje pisać listy.

Myśli snują się w zmęczonej głowie:

- Co robić? Czy zostać w Indiach, uczyć się języka i zaraz zacząć wydawać "Rycerza"? Ba, ale w jakim narzeczu? Może lepiej, żeby przyjechał ktoś młodszy. Ot, na przykład ojciec Florian, ze swoją niezwykłą pamięcią prędzej by sobie poradził z wydawnictwem.

Myśli, plany, zamiary... przelewają się na papier.

Statek zwolnił biegu, śruby milkną, za to słychać syreny okrętowe, hałas i gwar wielkiego portu. Jest to Singapur - punkt wysunięty najbardziej na południe kontynentu azjatyckiego.

- Dzięki Niepokalanej! Można będzie trochę odpocząć.

Ojciec Maksymilian wyrusza na poszukiwanie placówki misyjnej. Wskazują mu dom Najświętszego Serca Maryi. Trudno lepiej trafić.

Ojcowie goszczą go serdecznie. Radzą wydawać na Jawie pisemko dla Malajów, których jest czterdzieści milionów. Tyle dusz! Jeszcze nie znały łaski chrztu świętego. Katolików jest zaledwie piętnaście tysięcy.

- Hej, żeby to mieć ze dwudziestu ojców pod ręką! - marzy ojciec Maksymilian.

Ale ojców jest brak. Nawet w Mugenzai no Sono czuło się pewne rozprężenie, gdy wyjeżdżał, bo ojciec Konstanty nie umiał porozumieć się z tubylcami.

Nie wiadomo, jak sobie poradzi. Ale to sprawa Niepokalanej. Ona jest Panią. Ojciec Maksymilian tylko marnym narzędziem w Jej rękach.

Niepokalana pieści go po prostu. Przez dwa dni zaznał tyle gościnności, wypoczął przy Jej Sercu i z nowymi siłami wsiada na okręt.

- Co mnie teraz czeka? - myśli, patrząc jak w oddali na horyzoncie znika port Singapur.

Bardzo by chciał wiedzieć, jak pójdzie sprawa w Indiach, ale wszystko jest pod znakiem zapytania. Nawet to, czy dopłynie szczęśliwie. Między Singapurem i Kolombo zrywają się nagłe burze.

Ot i teraz. Niebo jest ciemne, aż granatowe. Jakaś groza idzie z ciężkich ołowianych chmur i z morza, które przyczaiło się do skoku jak ogromny zwierz. Niech się tylko zerwie wiatr, to pokaże, co umie. Już słyhać pierwsze podmuchy jak głucho warczenie bestii. Okręt zakołysał się i drgnął.

Ojciec Maksymilian chodzi jeszcze po pokładzie z różańcem w rękę, ale większość pasażerów pochowała się już po kajutach i choruje, tylko załoga statku pracuje w napięciu.

Jak ciemno. Okręt przechyla się z boku na bok, aż trzeszczy. Fale zalewają pokład i cofają się wściekle. Słyhać jeszcze jakby zdyszana śrubę okrętową w ciężkim zmaganiu się z żywiołem, ale po chwili ryk morza zagłusza wszystko. Ocean zbudził się i walczy.

Nie sposób utrzymać się na pokładzie, więc ojciec Maksymilian, trzymając się poręczy schodów, schodzi pomału do kajuty. O spaniu nie ma mowy. Dopiero nad ranem burza przycichła i w dali ukazał się ląd.

Widać wybrzeże skąpane w słońcu, świeżą zieleń podzwrotnikowych lasów i miasto otulone mgłą.

Niebo i morze było znowu nieposzlakowanie błękitne. Statek kołysał się z wolna na galach, a z kajut wyjrżeli niewyspani pasażerowie z podkrążonymi oczami.

Majestatycznie wpłynęli do portu Kolombo. Po krótkim pobycie u Ojców Oblatów znowu wyjazd statkiem francuskim do Indii. Tu podróż morską była skończona. Ojciec Maksymilian wsiadł do pociągu, gdzie spotkał księdza syryjskiego obrządku, który go zaprosił na swoją placówkę.

Czy to nie dowód, że Niepokalana czuwa nad nim troskliwie?

- Może ojciec zostać u nas, jak długo zechce - mówił biskup rytu syryjskiego, gdy przyjechali na miejsce.

Księża ugościli go i pokazali swoją placówkę misyjną; drukarnię i wydawnictwa, a jeden z nich obiecał pomagać we wszystkim. Nawet, kto wie? Od dawna już nosi się z myślą wstąpienia do zakonu.

Nie wiadomo tylko, czy biskup łacińskiego obrządku pozwoli na nową placówkę. Raczej nie, bo ma swoich księży z Hiszpanii.

Tak więc "horyzont był wciąż ciemny", ale ojciec Maksymilian miał niezachwianą ufność w Niepokalanej. Zmęczony długą podróżą, oszołomiony mnóstwem wrażeń, zasnął z różańcem w rękę, oddając się pod opiekę Najdroższej Matki.

Na drugi dzień obudził go śpiew ptaków. Na razie nie wiedział, gdzie jest. Wyjrzał przez okno. Wśród bujnej zieleni uwijały się małe ptaszki błyszczące i barwne jak żywe klejnoty, wywodziły swoje trele, jakby wyśpiewać chciały całą radość stworzenia.

Bo też pięknie było dokoła. Potężne drzewa, spowite w pnącze, tworzyły nieprzenikniony gąszcz zieleni i kwiatów o przedziwnych kształtach i barwach - świeży, wilgotny, dyszący bogactwem woni.

Ojciec Maksymilian odetchnął głęboko i pełen dziękczynienia zaczął się przygotowywać do Mszy św. Potem poleciwszy Matce Bożej sprawę Niepokalanowa indyjskiego, udał się do arcybiskupa łacińskiego. Nie

został go, ale porozumiał się łatwo z ojcami Karmelitami, którzy właśnie wyjeżdżali po arcybiskupa i zabrali go z sobą.

Auto sunęło bezszelestnie po szerokim, przyprószonym pyłem gościńcu, zręcznie wymijając indyjskie małe wózki zaprzężone w siwe woły, miejskie ciężarówki i mrowie pieszych, ubogich Hindusów, spieszących do miasta.

Z obu stron drogi ciągnęły się pola ciemne, urodzajne, gdzieniegdzie wystrzelały w górę kępy drzew i rozległe sady. Wreszcie ukazała się szeroka, leniwie płynąca rzeka i mała przystań dla statków.

Tu spotkali arcybiskupa. Był uprzejmy i gościnnie. Zaprosił ojca na obiad i na zwiedzenie placówek misyjnych. Już przedtem księża pokazali mu duży teren będący własnością misji niedaleko Ernakulam, na którym można by budować, o ile arcybiskup pozwoli. Ojciec Maksymilian miał słabą nadzieję, że coś uzyska.

Po obiedzie, czekając na arcybiskupa, zauważył figurę św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która stała w korytarzu na półce. Gorąco polecał Świętej swoją sprawę.

- Zobaczymy, czy pamiętasz - szepnął, mając na myśli umowę uczynioną w pierwszych latach kapłaństwa.

W tej chwili jeden z kwiatków spadł na stół stojący pod figurą. Ojciec Maksymilian pochylił głowę.

- Zobaczymy, czy to coś znaczy - szepnął. Zrobiło to na nim wrażenie. Przypomniał sobie cuda św. Teresy, deszcz róż, jej opiekę nad misjami i nabrał otuchy.

Na kolację powrócił do pałacu arcybiskupa obrządku syryjskiego.

- Jak tam z czasopismem, z "Rycerzem"? - spytał ksiądz redaktor.

- Ano, gdyby się ktoś z miejscowych podjął wydawać "Rycerza" do naszego przybycia, to możemy przysłać pieniądze i materiał redakcyjny.

- Ależ tak, to się da zrobić - powiedział arcybiskup. Jeden z księży gotów jest podjąć się tej pracy. Zaraz na drugi dzień zgłosić się może po informacje.

A więc "Rycerz" może się ukazać - pomyślał zdziwiony ojciec Maksymilian. - Jak to łatwo poszło.

Na drugi dzień arcybiskup syryjski zaofiarował ojcu Maksymilianowi dwa tereny pod klasztor - do wyboru. Obliczają koszty wydawnictwa. Za dziesięć dolarów "Rycerz" może się ukazać w trzech tysiącach egzemplarzy. Ten ksiądz Syryjczyk znowu mówi po swoim powołaniu do zakonu. Ma lat 49 i jest redaktorem miejscowego pisma. Wstrzymał go tylko dług, który musi spłacić za brata, gdyż za niego poręczył, ale teraz właśnie wygrał na loterii potrzebną sumę i zawdzięczał to św. Tereni, którą prosił o wstawiennictwo.

Doprawdy, jaka zmiana! Ojciec Maksymilian jedzie obejrzeć plac, położony z dala od gwaru, w zieleni ogromnych podzwrotnikowych drzew. Piękny byłby ten indyjski Niepokalanów... Tylko czy arcybiskup łacińskiego obrządku pozwoli na to? Wydaje się to przeszkodą nie do pokonania. Ojciec Maksymilian odmawia różaniec w tej intencji i oddaje sprawę w ręce Niepokalanej.

Jakoż arcybiskup łaciński zdaje się mięknąć.

- Przyjdźcie, przyjdźcie - mówi. - Na terenie arcybiskupstwa stoi gotowy już dom i kaplica. To zupełnie wystarczy na początek.

- A co do wydawnictwa... - pokornie wspomina ojciec Maksymilian.

Arcybiskup radzi poczekać, aż władze zakonne zwrócą się urzędowo.

- Kiedy to będzie? - myśli ojciec Maksymilian. - Dobrze kuć żelazo, póki gorące. W każdym razie teren jest gotowy, Święta Teresa nie zawiodła.

Tymczasem ojciec Maksymilian załatwiwszy wszystko, co do niego należało, udał się w podróż powrotną do Mugenzai no Sono.

Pisze długi list, że już na Niepokalane Poczęcie nasi mogliby pracować w Indiach i z pomocą księdza Syryjczyka wydać "Rycerza" na styczeń. Ale w Chinach, niedaleko Pekinu, w Suanhwafu, w prowincji Hopei, jest biskup Chińczyk, mgr Tcheng, przychylny zakonom. Blisko ma się też znajdować nieużywana drukarnia. Można by do niego z Polski napisać. Tak by się zaokrągliła pierwsza część planu podbicia świata dla Niepokalanej. Japonia - Indie - Chiny!

Ale ojciec prowincjał jest innego zdania. Wydawnictwo w kraju pochłania tyle sił. Ciągłe jest brak rąk do pracy, szczególnie brak jest kapłanów. Trzeba czekać.

Ojciec Maksymilian w każdym liście z Japonii dopytuje się o Indie.

- Jestem przekonany - pisze - że ojcowie wyjeżdżający na misje nie są stratą dla prowincji, ale raczej pogłębieniem powołań zakonnych i źródłem nowych, prawdziwych, gorliwych, ideowych kandydatów. Czasem przychodzi na myśl - dodaje - że i my też nie jesteśmy potrzebni i że nie odpowiemy życzeniom Niepokalanej, to łatwo sobie znajdzie innych, gorliwszych. Jeżeli zaś odpowiemy, nie ominą nas nadzwyczajne błogosławieństwa.

XXXII. Niepokalanów w rozkwicie

W roku 1936 ojciec Maksymilian zostaje wezwany do Polski na kapitułę prowincjalną i wybrany na niej gwardianem Niepokalanowa polskiego. Do Japonii pojechał go zastąpić ojciec Samuel Rosenbaiger, profesor seminarium zakonnego w Krakowie.

Polski Niepokalanów się rozrósł. Potrzebuje tęgiej głowy ideologa i sprężystej dłoni organizatora. Któż, jak nie założyciel, sprosta temu zadaniu. Praca w nim wre dzień i noc. "Rycerz Niepokalanej" jest jednym z najpoczytniejszych pism i nakład jego przekroczył 700 tysięcy egzemplarzy. Sekunduje mu "Mały Dziennik" oraz dwa pisemka dla dzieci i młodzieży. Jak mrówki w mrowisku, tak uwijają się bracia w różnych działach pracy wydawnictwa.

Zajeżdżają ciężarowe samochody, wyładowuje się grube bele papieru, huczą maszyny drukarskie, z pośpiechem pracuje redakcja i administracja... Aby zdążyć na czas... aby więcej.... aby dalej... Idą pisma w świat, ogarniają całą Polskę, sięgają do różnych krajów w Europie. Płyną do Ameryki i do Azji. Codziennie poczta przynosi tysiące listów. Piękna jest praca dla Niepokalanej.

W centrum klasztoru czuwa dyrekcja - mózg, który myśli, decyduje, tworzy plany na przyszłość.

Ojciec Maksymilian w tym rozmachu pracy czuje się szczęśliwy. O wszystkim wie, wszędzie zajrzy. Sto razy na dzień w jego celi dzwoni telefon, a on spokojnie pozdrowia rozmówcę słowem "Maryja" i krótko, jasno odpowiada, rozstrzygając niezliczone wątpliwości i sprawy, które napływają z różnych działów pracy. Jego ścisły, matematyczny umysł rozwiązuje wciąż wielkie życiowe zadania umiejętnej organizacji pracy, sprawia, że z chaosu zagadnień i spraw, z ludzkich niedociągnięć i słabości wyłania się wielkie dzieło, ład, jedność wysiłków tych ludzi złączonych wspólnym celem.

To nic, że jest straszliwie zmęczony, że gorączkuje... Lekarze coraz to muszą go wysyłać do Zakopanego dla poratowania zdrowia, które jest zupełnie zrujnowane. On jednak nie ustaje w pracy. Jest w swoim żywiole. Właśnie wysłał jednego z braci na kurs do Warszawy i zamierza założyć w Niepokalanowie radiostację. Klasztor ma już różnych specjalistów, mechaników i szoferów. Niedługo będzie miał własnych lotników na usługi sprawy Niepokalanej. Tempo życia wymaga ulepszeń technicznych, ale jeszcze więcej wymaga sprawności umysłów i rąk, skupienia uwagi przy skomplikowanej pracy i bystrości w myśleniu.

Ojciec Maksymilian wie o tym, więcej niż o maszyny troszczy się o ludzi. W roku 1936 jest przeszło pięciuset braci zakonnych; przychodzą z różnych stron i z różnych środowisk. Są pełni zapału, ale mają także dużo wad. Trzeba ich urobić na mężów Bożych, na dobrych zakonników. Pomagają mu w tym inni ojcowie, ale ojciec Maksymilian, jako gwardian Niepokalanowa, jest odpowiedzialny za te powołania. Czuje na sobie ciężar tej odpowiedzialności, dlatego tym goręcej poleca wszystkim i każdego z osobna opiece Niepokalanej, która najlepiej umie dusze urabiać. Za każdego, który się chwiewie w powołaniu, gotów byłby oddać życie.

- Nie trap się, dziecko, z Niepokalaną wszystkiemu podołasz - pociesza zniechęconych.

- Spokojnie... spokojnie... - powtarza braciom, którzy się gorączkują w nadmiarze gorliwości.

On sam jest cichy i spokojny, ale żyje w ciągłym napięciu, jak cięciwa łuku gotowa do wyrzucenia strzały. Ruchy ma prędkie, energiczne, w całej postaci widać, że jest człowiekiem zdecydowanym, a w ciemnych, przenikliwych oczach pali się jakiś ukryty żar. To jego wielka, bezgraniczna miłość do Niepokalanej. Ta miłość jest źródłem nigdy nie wyczerpanych sił wewnętrznych. Miłość twórcza, radosna, czynna, która ożywia Niepokalanów i promieniuje na cały świat.

XXXIII. Tajemnica

Było to 10 stycznia 1937 roku.

W Niepokalanowie urządzono jasełka.

- Jasełka odegrane będą dzisiaj specjalnie dla mieszkańców klasztoru, ale ponieważ sala nie zdoła prawdopodobnie pomieścić nas wszystkich, wobec tego bracia solenni będą mogli zrobić ofiarę z jasełek - powiedział pod koniec wieczery ojciec Maksymilian. - Będziemy mogli pozostać dłużej na maleńkiej pogawędce. Ale tylko ci bracia, którzy będą chcieli.

Pozostali więc bracia: Leon, Łukasz, Pacyfik, Rufin, Tymoteusz, Włodzimierz, Tadeusz, Jerzy, Cyprian i inni. Przyłączył się też ojciec Pius Bartosik, z czego ojciec Maksymilian niezmiernie się uradował.

Zasiedli z obu stron ojca Maksymiliana ojciec Pius i brat Leon, potem bracia najmłodszy powołaniem, starsi dalej.

Ojciec Maksymilian zaczął mówić o tym, jak powinno się ustalić przepisy, według których żyje się w Niepokalanowie, jak pilnie powinny być przestrzegane. Celem Niepokalanowa jest nie wydawnictwo, ale szerzenie czci Matki Bożej.

W końcu, jak zwykle, bracia zaczęli prosić, aby im ojciec Maksymilian opowiedział coś o Matce Bożej. Zauważyli, że w miarę jak mówił, ujawniała się w nim coraz gorętsza miłość do Niepokalanej. Wreszcie jeden z braci rzekł:

- Ojcze, miłość do Niepokalanej jest zaraźliwa.

- Tak - podchwycił z ulgą ojciec Maksymilian. - Miłość do Niepokalanej jest zaraźliwa. - Powiedział to przyciszonym głosem i zamilkł. Nikt nie odważył się przerwać ciszy. Wreszcie ojciec Maksymilian rzekł:

- Drogie dzieci, wy mnie kochacie i ja was kocham bardzo, ale ja nie zawsze będę z wami. Zanim odejdę od was, chciałbym wam coś pozostawić. Dlatego poleciłem, aby zostali tylko profesj solenni i ci, którzy chcą. Będzie to znak, że tych Niepokalana życzy sobie tu mieć.

Ojciec Maksymilian zaczął mówić ściszym głosem.

- Wy mnie nazywacie gwardianem. I jestem nim. Nazywacie mnie dyrektorem, a więc przełożonym - i to prawda. Ale jestem też waszym ojcem. Więcej nawet niż rodzonym. Przeze mnie otrzymaliście życie duchowe, życie Boże - swoje powołanie zakonne. Czy tak jest? Czy to prawda?

- Ależ tak - potwierdzili bracia. - Każdy z nas przybył do Niepokalanowa na wezwanie Niepokalanej. Każdy zawdzięcza "Rycerzowi" swe powołanie.

- Więc w sprawie Niepokalanej - mówił ojciec Maksymilian - jestem waszym ojcem, a wy moimi dziećmi. I powiem do was jak święty Paweł: Ja was zrodziłem w Ewangelii. Będę wam mówił po imieniu, drogie dzieci, a wy już nie tytułujcie mnie dyrektorem ani gwardianem, ale ojcem.

W małej gromadce braci zapanowało milczenie. Po chwili ojciec Maksymilian rzekł:

- A gdyby mnie zabrakło... kto będzie moim następcą?

- Dlaczego ojciec tak mówi? Czy myśli umierać? - Rozważali te słowa, ale nikt nie śmiał podjąć rozmowy. Ciszę przerwał ojciec Maksymilian:

- Ojciec Pius będzie moim następcą.

Słyszac to ojciec Pius pochylil się z miłością do ojca Maksymiliana i pocałował go w rękę.

Ojciec Maksymilian przygarnął go do siebie po ojcowsku i rzekł:

- Jakże mnie cieszy, drogie dziecko, żeś tu pozostał z nami.

Znów zapadło milczenie. W małym gronie braci, zebranych wkoło swego ojca, zapanował nastrój poufny i rodzinny. Czy to miało być pożegnanie?

Po dłuższym milczeniu ojciec Maksymilian rzekł:

- Pewnie się już jasełka skończyły i my chyba pójdziemy pomodlić się do kaplicy.

Ale bracia prosili, aby jeszcze coś powiedział.

- O czym?

- O Matce Bożej.

- Jak myślicie: czy ja jestem szczęśliwy? - rzucił pytanie ojciec Maksymilian.

Długą chwilę nie było odpowiedzi. Wreszcie brat Cyprian rzekł:

- Wszyscy chcielibyśmy być tak szczęśliwi jak ojciec dyrektor.

- Muszą być cierpienia i pokusy - mówił ojciec Maksymilian - bo inaczej to bym nie mógł znieść tego szczęścia, jakie mi daje Niepokalana. Pomimo trosk i kłopotów codziennych na dnie serca panuje pokój i szczęście.

- Czy ojciec dużo cierpi? - zagadnął ojciec Pius.

Ojciec Maksymilian zawahał się. Dopiero po chwili odpowiedział.

- Kto chce więcej i lepiej się uświęcić, ten musi być przygotowany na największe cierpienia i krzyżyki. Krzyże są mi potrzebne, gdyż inaczej za mocno byłbym szczęśliwy. Cierpienia są na to, aby szczęście trochę przygłuszyć, bo inaczej tego szczęścia nie można by było znieść. Ja sobie nie wyobrażam, żeby na tej ziemi mogło być większe szczęście. Drogie dzieci, kochajcie Niepokalaną, kochajcie Niepokalaną, a Ona uczyni was szczęśliwymi.

Ojciec Maksymilian ukrył twarz w dłoniach i siedział wzruszony do głębi, a braci ogarnął dziwny spokój, rozrzewnienie, błogość niczym niewytlumaczona. Jedno w nich było serce i jedna myśl.

Po chwili brat Leon pochylil się do ojca Maksymiliana i poprosił:

- Ojcze, powiedz nam jeszcze coś więcej.

Chwila namysłu i ojciec Maksymilian odsłonił braciom jedną z tajemnic swej duszy.

- Czy wiecie - powiedział bardzo cicho - czy wiecie, że ja z całą jasnością mam zapewnione niebo? Było to... w Japonii. Drogie dzieci, więcej wam nie powiem i nie pytajcie mnie już o te rzeczy. Dlatego zdradziłem wam tę tajemnicę, byście wspomnieli tę chwilę, gdy wam będzie ciężko, i wzajemnie zachęcali się do znoszenia różnych cierpień i krzyżów, których Niepokalana od was zażąda.

- Dzieci drogie, nie pragnijcie rzeczy nadzwyczajnych, ale aby się wola Niepokalanej stała. Mówiąc wam o tych rzeczach, ja także spełniłem wolę Matki Najświętszej. Ale proszę was, bardzo proszę, abyście nie opowiadali o tym nikomu, dopóki ja żyję na tej ziemi.

XXXIV. Niedziela Palmowa

Co to się dzieje? Brat Ewodiusz po prostu stracił głowę. Motor się rozpedził, koło pasowe pękło, dynamo się popsuło, pas się zerwał. Szyby wyleciały z trzaskiem. Była to duża strata dla klasztoru i brat Ewodiusz czuł się winny, że nie dopilnował motoru. Chodził teraz wokół zepsutego dynama i nie wiedział, za co się wziąć. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł ojciec Maksymilian. Dali mu znać, że w elektrowni był wypadek, więc przyjechał pośpiesznie na rowerze. Brat Ewodiusz zmartwiony zaczął się oskarżać. Należała mu się kara. Tak uważał. Ale ojciec Maksymilian nie dał mu dojść do słowa.

- Nie martw się, bądź spokojny - powiedział cicho, jakby się nic nie stało. Wszedł na pobojowisko i oglądał wszystko dokładnie. Potem spojrzął na brata i jeszcze raz powtórzył z naciskiem:

- Nie myśl już o tym, zapomnij.

Taki był ojciec Maksymilian. Straty materialne nigdy go zbyt nie przejmowały. Jako gwardian miał w Niepokalanowie sześciuset braci - z seminarzystami przeszło siedemset dusz, które należało uświęcić. To był cel Niepokalanowa - zbawienie dusz, więc wciąż mówił im o Niepokalanej, o wierności, o życiu nadprzyrodzonym. Upominał, żeby się nie dali utopić w pracy.

- Przyjdzie chwila, że motory zostawimy i inni po nas nastąpią, a my pójdziemy po zapłatę, nie za udoskonalenie maszyn, ale za to, jak my sami dążyliśmy do doskonałości.

Toteż wskazywał kaplicę jako najważniejsze miejsce pracy. - Tu bracia pracują na klęczkach.

Drugie takie miejsce - to szpitalik.

- Chorzy najlepiej służą Niepokalanej - mówił ojciec Maksymilian. - Nikt nie chce przecież chorować. Muszą się wyrzec świętej woli, aby wypełnić wolę Bożą. Ich modlitwy najmilsze są Bogu. To są aktywni misjonarze.

Ojciec Maksymilian codziennie odwiedzał chorych. Pocieszał ich jak najlepsza matka.

- Czy ci czego nie potrzeba, drogie dziecko? Jak się czujesz? - pytał brata, który był po ciężkiej operacji.

- Jestem niecierpliwy, ojcie gwardianie - wyznał brat z całą szczerością.

Wówczas ojciec Maksymilian zbliżył się do łóżka, położył głowę na głowie brata i objął w ramiona jak kochająca swe dziecko matka.

- A gdybyś miał umrzeć - powiedział cicho - to nic strasznego. W niebie jest nasza Najdroższa Matka i tylu braci z naszego zakonu.

Ojciec Maksymilian sam ogromnie cierpiał, ale prawie nigdy o tym nie mówił. Gdy miał gorączkę, brał różaniec do ręki i zaczynał spacerować po celi, albo wychodził do ogrodu.

- Ta gorączka sama się rozchodzi - mawiał dobrotliwie.

Gdy bracia prosili, żeby się położył i odpoczął, odpowiadał pogodnie:

- Na to jestem, abym się dla was wyniszczał. Miłość musi być ofiarna. Należy postępować po rycersku.

Ojciec Maksymilian nosił wciąż w sercu pragnienie męczeństwa.

Ojciec prowincjał polecił mu wyjechać do Zakopanego na odpoczynek.

- Może to będzie taka Niedziela Palmowa przed Wielkim Tygodniem - powiedział ojciec Maksymilian, myśląc o grożącej wojnie.

Jadąc samochodem, zabrał matkę z Krakowa i brata Pelagusza, jako sekretarza, gdyż ojciec prowincjał polecił mu napisać książkę o Niepokalanej. Zamieszkali u Sióstr Sercanek na Łukaszówkach.

Pani Maria cieszyła się, że jest razem z synem, ale była też z niego dumna. Widziała, jak jest poważany, jak sobie radzi we wszystkim.

Potem matkę odesłał samochodem i został z bratem Pelaguszem. Leżąc na werandzie, dyktował codziennie swoją książkę o Niepokalanej, a brat pisał na maszynie. Ojciec Maksymilian był wyczerpany nadmierną pracą w Niepokalanowie i przyznał, że bardzo cierpi. Zwykle uśmiechniętą i pogodną twarz ściągnął nagły skurcz bólu, ale nic więcej brat nie mógł się od niego dowiedzieć, prócz tego, że chętnie to znosi i dobrze jest tak, jak jest. Patrząc na wyłoczone słońcem góry, mówił o dobroci Niepokalanej i o tym, że wszystko, co Bóg daje, jest dla naszego dobra.

XXXV. Wojna

Pierwsze dni września, zapowiadające pogodną i ciepłą jesień.

Wojna... Niemiecka armia z właściwą sobie butą i brutalnością wdzierą się w granice Rzeczypospolitej. Krew polskiego żołnierza rozlewa się coraz większą strugą.

Wróg z każdym dniem coraz bardziej depta i bezczęści polską ziemię.

Nad Niepokalanowem raz po raz przesuwają się, na kształt upiorów, wraże samoloty oznaczone połamanym krzyżem. Pomimo usiłowań zachowania spokoju wzrasta podniecenie. Ojciec Maksymilian jest wszędzie. Z właściwym sobie spokojem i ufnością w opiekę Niepokalanej czuwa nad życiem i pracą Niepokalanowa.

Mrożąca krew w żyłach detonacja.

- Samoloty niemieckie bombardują tory kolejowe.

- Starostwo sochaczewskie zawiadamia, że armia niemiecka posuwa się w głąb kraju, znacząc za sobą ślad krwi i pożoga. Powiat sochaczewski będzie ewakuowany, Niepokalanów także.

- Ochotnicze zgłoszenie się braci do Polskiego Czerwonego Krzyża w Sochaczewie i w Warszawie zostało załatwione odmownie - tak brzmią meldunki brata sekretarza.

Ojciec Maksymilian wysłuchał spokojnie sprawozdań. Następnie powiódł oczyma po domostwach Niepokalanowa, zatrzymał wzrok na figurze Niepokalanej i wreszcie długo się wpatrywał w bezchmurne niebo, tak jakby chciał siłą wzroku przybić firmament.

Na jego zmęczoną twarz zaczął powracać wyraz równowagi. Po chwili polecił, ażeby wszyscy bracia zebrali się w klasztornym refektarzu. W krótkich słowach przedstawił obecną sytuację w kraju, poinformował o odmowie władz Polskiego Czerwonego Krzyża na przyjęcie braci i o decyzji ojca prowincjała, żeby się rozejść, oraz polecił braciom udać się do swoich rodzinnych stron i tam zgłosić się do tej instytucji, by w ten sposób spełnić swoją powinność względem matki_ojczyzny.

Udzielił im jeszcze zachęty i na zakończenie dodał z naciskiem: Drogie dzieci, czy przyrzekacie mi, że będziecie się starać zachowywać to wszystko, o czym wam tyle razy mówiłem?

- Przyrzekamy! - rozległa się potężna odpowiedź sześciuset braci.

Ojciec Maksymilian przeżegnał ich znakiem krzyża, ponownie zachęcił do ufności w opiekę Niepokalanej i poszedł pośpiesznie, bo czas i sprawy nagliły.

Z daleka dochodził już warkot samolotów i gdzieś blisko Niepokalanowa wybuchały bomby, aż ziemia drżała.

Po kilku nieprzespanych nocach ojciec Maksymilian zarządził poobiednią drzemkę. Brat Cyprian, nie wiedząc o tym, poszedł do kaplicy odprawić Drogę Krzyżową. Klęczał właśnie przy XI stacji i rozważał niewysłowioną miłość Pana Jezusa, który modlił się za swoich oprawców: "Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią". Nagle dał się słyszeć warkot samolotów, a w chwilę potem głucho trzask. Posypały się szyby z okien. Brat Cyprian wybiegł z kaplicy.

- Bomba rozbiła nową furkę - mówił, idąc pośpiesznie, ojciec Pius. Na szczęście nikogo nie zabiła. Ojciec Maksymilian poszedł pierwszy zobaczyć szkody.

Samoloty znów nadlatywały. Za chwilę znowu... więc ojciec Maksymilian wszedł do schronu, dodając ducha strwożonym.

Tak trwało do 19 września.

Większe i mniejsze grupy żołnierzy polskich i ludności cywilnej szły szosą, wlokąc z trudem obolałe nogi. Byli śmiertelnie zmęczeni. Bracia wynosili im posiłek. Rannych umieszczano w izbie chorych pod opieką braci pielęgniarzy.

Noce były niespokojne. Od strony Żyrardowa dochodził huk armat. Armia generała Bortnowskiego stawiała zacięty opór.

14 września podjechała od strony Sochaczewa polska panczerka.

- Proszę ojca - przybiegł jeden z braci - Niemcy uszkodzili tory.

- Wszystko jest w ręku Niepokalanej - odpowiedział ojciec Maksymilian.

Modlił się teraz nieustannie. Każdy spotkany brat modlił się razem z nim: za Polskę, za żołnierzy polskich, za tych, co giną...

Ojciec Maksymilian dwa razy był w Warszawie po instrukcje. Ojciec prowincjał polecił mu nie opuszczać Niepokalanowa. Pozostał o. Pius i około pięćdziesięciu najstarszych braci, gotowych na wszystko.

16 września weszły do Niepokalanowa pierwsze oddziały niemieckie. W niedzielę kolumna samochodowa z benzyną zamaskowała się w cieniu klasztornych budynków. Przez dwa dni panował spokój.

19 września, wtorek, o godzinie dziesiątej brat Cyprian porządkując zakrystię usłyszał głos dzwonka.

- Co to znaczy? - Poczul nagły lęk. Za chwilę dowiedział się, że wszyscy mieszkańcy Niepokalanowa mają się zebrać na placu przed refektarzem. Stali już tam ojcowie i bracia w dwuszeregu pod ścianą.

- No, teraz automaty zrobią z nami koniec - pomyślał brat.

Ale nie. Zliczono obecnych. Było dwóch ojców: ojciec Maksymilian i ojciec Pius, kleryk Ludwik Kim, Koreańczyk, 34 braci oraz kilka osób z innych klasztorów, które tu się schroniły. Ojca Aniceta wyłączono z grupy - miał złamany obojczyk.

- No i ten "stary" może wyjść. - Stary, to ojciec Maksymilian. Nie skorzystał z łaski. Zaproponował, żeby zostawili dwóch braci do pielęgnowania rannych polskich żołnierzy. Zgodzili się.

- Nic nie zabierać, nic - krzyczeli Niemcy.

Popędzili ich na szosę, gdzie stała kolumna samochodów.

- Dalej - wyładować to!

Niemiec odkrył plandekę i bracia zobaczyli pociski artyleryjskie. Ano, nie ma rady. Gdy robota była skończona, podzielono ich na dwie grupy i załadowano na samochody.

- Za darmo jedziemy w podróż na misję - żartował ojciec Maksymilian, ale sam był bardzo przejęty. Minęli Żyrardów i w Rawie Mazowieckiej samochody stanęły.

- Heraus! - Niemcy zapędzili wszystkich do kościoła.

Pełno w nim było internowanych mężczyzn. Bracia przykucnęli w kącie. O spaniu nie było mowy. Otoczyli ojca Maksymiliana, szukając u niego ratunku, jak dzieci u ojca.

- Dzieci drogie - pocieszał ich - pamiętajcie, że jesteśmy w rękach Niepokalanej. Kto wie, jakie Ona ma plany. Tam w Niemczech urządzimy swój Niepokalanów. Bądźcie dobrej myśli.

Około południa załadowano wszystkich na samochody i wywieziono do Częstochowy. Na ulicy Najświętszej Maryi Panny stała już długa kolumna, pełno było niemieckich mundurów, ale na widok nowego samochodu zebrał się tłum. Zobaczyli habity.

- Bracia skąd?

- Niepokalanów.

- Boże Święty!

Jakaś kobieta w głos zapłakała. Za chwilę zaczęli podawać paczki z żywnością. Rozległ się wrzask Niemców. Rozpędzili ludzi:

- Verboten!

Nic nie pomogło. Rzucali im przez głowy chleb, owoce. Wreszcie podali resztę przez internowanych cywilów.

Ciemno już było, gdy załadowano wszystkich, jak bydło, do wagonów towarowych i zamknięto szczelnie. Nie obeszło się bez popychania i pogrózek. Jakiś młody hitlerowiec wyrwał ojcu Maksymilianowi laskę i odrzucił z wściekłością, ale starszy wiekiem oficer kazał podnieść i podał ją do wagonu.

- Oto jedziemy w nieznane - powiedział ojciec Maksymilian. - Pozwólmy się prowadzić Niepokalanej. Niech się stanie, co Ona zechce.

Jeszcze chwilę słychać było szept różańca, ktoś westchnął ciężko i bracia zasnęli. W ciszy rozlegał się tylko miarowy stukot kół. W Lublińcu jakiś kolejarz Polak uchylił trochę drzwi i do wagonu wpadł świeży prąd powietrza. W południe zatrzymał się pociąg na stacji Lamsdorf. Był to obóz przejściowy. Po dwóch dniach wyruszyli dalej na zachód.

XXXVI. W obozie

Zdawało się, że nawet pociąg jest strudzony. Sapiąc i dysząc, zatrzymał się w Amtitz. Niedaleko stacji ciągnęły się podwójne druty kolczaste, a za nimi kilka większych baraków i długi szereg namiotów. W górze z przeraźliwym gwizdem pikowały niemieckie samoloty.

Biegiem prawie weszli przez bramę i nie zatrzymali się, aż Niemiec wrzasnął na nich:

- Halt!

Wskazano im duży namiot z niewielką ilością słomy.

Ojciec Maksymilian zameldował się u komendanta. Oficer pozwolił modlić się wspólnie rano i wieczorem i śpiewać pieśni. W październiku brat Teofil ulepił z gliny figurkę Matki Bożej. Ustawiono ją na centralnym miejscu. Schodzili się cywile z sąsiednich namiotów. Przychodzili nawet oficerowie obejrzeć figurkę.

Zimno i robactwo nie dały im spać po nocach. Ale najgorzej dokuczał głód. Rano gorzka kawa z fusami i ćwiartka chleba czarnego. Na obiad zupa kartoflana, brukiew, kapusta. Na kolację - wodzianka. Głód jest złym doradcą. Każdy z internowanych chciał dużo i gęstego. Dochodziło do bójek. Przekleństwa sypały się na głowę dyżurnego. Kiedyś złamano mu palec. Kopnął go któryś z więźniów tak mocno, że wiadro wypadło mu z ręki. Zupa się wylała. Oczywiście nie obeszło się bez ordynarnej kłótni i wulgarnego zastosowania słowa "matka".

Słyszając to, ojciec Maksymilian zerwał się z posłania, na którym siedział, i zawołał podniesionym głosem:

- Nie wolno matce ubliżać.

Zwykle był pogodny i cierpliwy... ale matka!... Matka jest od Boga dana, aby ją czcić. Kto wie, co się dzieje teraz z jego matką. Od początku wojny nie miał żadnej wiadomości.

Minęły już dwa miesiące. Polska była rozbita, skrwawiona, głodna... Do obozu dochodziły wiadomości o tryumfach Niemców i zdawało się, że znikąd nie ma nadziei. Ojciec Maksymilian zarządził wśród braci modlitwy o powrót przez przyczynę świątobliwego ojca Wenantego Katarzyńca. Zaraz w pierwszych dniach nowenny nadszedł rozkaz wyjazdu. Ruch się zrobił. Niemcy popędzali jak zwykle: "schnell, schnell". Nie żałując pogroźek i przekleństw, załadowali ich do wagonu i zamknęli.

- Dokąd wiozą? - Przez szparę w drzwiach jeden z braci odczytywał stacje: Sommerfeld... A więc na wschód, do kraju. Wśród głębokiej nocy pociąg zatrzymał się na stacji. Z trzaskiem otworzono drzwi. Na opustoszałym peronie rozległy się wrzaski Niemców, piątkami pognano jeńców do miasta. Szpaler żołnierzy pilnował porządku. Pod grozą karabinów i pałek biegli jak lawina przez puste ulice Ostrzeszowa, aż zatrzymali się przed gimnazjum Księży Salezjanów, zamienionym na obóz.

Dzięki Ci, Boże! Było im teraz cieplej i nie lało się na głowę. Ludność dowiedziawszy się, że w obozie jest ojciec Maksymilian i bracia z Niepokalanowa, pośpieszyła z pomocą. Brat Cyprian kwestował po mieście.

- Drogie dzieci - oznajmił kiedyś braciom przełożony, troskliwy o postępek w dobrem. - Ufajmy Niepokalanej, że zostaniemy zwolnieni z obozu, lecz nie jesteśmy pewni, czy już w klasztorze, wedle naszego zwyczaju, przed świętem Niepokalanego Poczęcia będziemy mogli odprawić doroczne ośmiodniowe rekolekcje. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy tutaj odprawili te święte ćwiczenia duchowne i jak najgodniej przygotowali się do święta Niepokalanej. Czy dobrze?

- Ależ naturalnie! - przytaknęli bracia.

Tak więc ojciec Pius miał codziennie nauki. Czasem wyręczył go ojciec Maksymilian. Bracia odetchnęli. W atmosferze modlitwy ich dusze nabierały znów spokoju i harmonii.

Zaczął się nowe życie. Komendant obozu, który przed pójściem do wojska był pastorem protestanckim, na prośbę ojca Maksymiliana udał się osobiście do miejscowego księdza proboszcza prosić o Komunię św. dla braci.

- Niech i on się przysłuży Niepokalanej - powiedział ojciec Maksymilian.

O godzinie piątej rano przyszedł ksiądz proboszcz z Panem Jezusem. Wartownicy byli powiadomieni i ułatwili wszystko. Bracia zebrali się w mrocznej sali, w suterenie, gdzie mieszkali. Krzyż z białej bibułki na ścianie i dwa drżące płomyczki świec na prowizorycznym ołtarzu, to była cała dekoracja.

W skupieniu, na klęczkach przyjęli Komunię świętą z rąk kapłana.

Święto Niepokalanego Poczęcia dobrze się zaczęło. O jedenastej były uczeń Małego Seminarium przyniósł list z Niepokalanowa, a o drugiej po południu ogłoszono rozkaz wymarszu.

- Do domu! Do Niepokalanowa! - Wznosiły się przyciszone okrzyki.

Radość braci nie miała granic.

- Jaka Matka Boża dobra, jaka dobra! - powtarzał do swej gromadki ojciec Maksymilian.

Znowu na jego usta wrócił dawny dziecięcy uśmiech. Serdecznym słowem zachęcał braci do wdzięczności.

Po całonocnej podróży wysiedli na dworcu w Warszawie.

Mój Boże! Na ulicach aż się roiło od niebieskawych mundurów. Po dwóch, po trzech szli bracia na Starówkę, oglądając ruiny zburzonych domów.

O godzinie dziesiątej ojciec Maksymilian odprawił u Ojców Franciszkanów Mszę świętą dziękczynną, a potem brat Hadrian zakrzętnął się koło śniadania. Wśród serdecznych rozmów i opowiadań minął ranek w Warszawie, a o czternastej ojciec Pius i bracia wyruszyli pociągiem do Niepokalanowa.

Ojciec Maksymilian pozostał jeszcze przez jeden dzień w stolicy.

XXXVII. Trudności

Wszystko było w rozsypce. Niemcy wywieźli częściowo maszyny drukarskie; magazyny puste, bo co w nich było, to zrabowali. Bracia w liczbie kilkunastu, którzy zatrzymali się w najbliższej okolicy i powrócili do Niepokalanowa, snuli się po zabudowaniach klasztornych, nie wiedząc za co się chwycić.

Gdy rozeszła się wieść, że ojciec Maksymilian powrócił, brat Kamil przyszedł spieszenie do celi ojca. Zastał go przy telefonie. Ojciec Maksymilian był bardzo zajęty.

- Niech brat siądzie - zwrócił się do niego z uśmiechem, potem mówił dalej, gestykulując rękami.

- W tych dniach przywiozą do nas transport wysiedlonych.

- Ilu?

- Trzy tysiące.

- Skąd?

- Ze Zbąszynia, Leszna i Lwówka. Musimy wszystko zrobić, żeby ulżyć doli tych biedaków wyrzuconych z gniazd rodzinnych, pozbawionych najpotrzebniejszych rzeczy. Zajmijcie się tym, dzieci drogie, bo to nasza misja na najbliższe dni.

Skończył. Położył słuchawkę i spojrzał uważnie na brata Kamila.

- Nie trap się - powiedział serdecznie, widząc, że jest mizerny i smutny. - Nie możemy obecnie prowadzić wydawnictwa, będziemy ludziom inaczej służyć. Będziemy ściągając braci. Jutro puścimy w ruch motor, uruchomimy warsztaty, zaopiekujemy się wysiedlonymi. Znowu będziemy pracować dla Niepokalanej, dla dusz.

Mówił to łagodnie, z dobrocią, chociaż dokoła wszystko było w ruinie: zdemolowane działy wydawnicze, stosy porzucanych czasopism, porozbijane krzyże i figurki Matki Bożej. On jeden spokojny, opanowany, pełen zapału do dalszej pracy dla swego Ideału, dla Niepokalanej.

Brat Kamil poczuł łzy napływające do oczu. Cierpienia, które niosła z sobą ta straszliwa wojna, wydały mu się nie do przeżycia. Zląkł się, że za chwilę wybuchnie płaczem, więc wstał, żeby się pożegnać. Ojciec Maksymilian spostrzegł jego wzruszenie. Przycisnął go do serca i powiedział:

- Bądź spokojny, nie trap się. Będziemy dalej dla Niej pracować.

Powrót ojca Maksymiliana tchnął w braci nowego ducha. Przede wszystkim zarządził on całodzienną adorację Najświętszego Sakramentu i przywrócił prawidłowe życie klasztorne. Mieli znów pośród siebie ojca, który serdecznie o nich się troszczył, wszystko potrafił przebadać i własnym przykładem wskazywał drogę bezgranicznej miłości dla Niepokalanej.

Pewnego dnia opowiadał braciom o poświęceniu się w myśl obranego ideału Rycerstwa Niepokalanej i o cierpieniu. Cały świat wówczas pogrążony był w cierpieniu, a Polska, zdeptana butami najeźdźcy, pławiła się w męce i krwi. Nie każdy umiał cierpieć w duchu ofiary. Nie każdy umiał pogodzić się z wolą Bożą i wypowiedzieć swoje: fiat. Ojciec Maksymilian głosił teraz apostołstwo cierpienia i pracy. Założył warsztaty: ślusarski, stolarski, szewski, krawiecki, tartak, dział naprawy zegarków, mleczarnię itp. Zakonnicy pomagali okolicznej ludności, a zwłaszcza wysiedleńcom, wśród których było 1.500 Żydów.

Powoli ściągał bracia. Przyjmował każdego z otwartymi ramionami. Marzył znów o wydawaniu "Rycerza". Jakoż wyszedł w czasie okupacji jeden numer, ale gdy ojciec Maksymilian poszedł na aleję Szucha w Warszawie starać się o pozwolenie na wydanie następnego numeru, gestapowcy wpadli we wściekłość.

- Co? pismo?

Wyśmieli go, zabrali dotychczasowe pozwolenie wydane przez policję i odprawili z niczym. Dobrze jeszcze, że go puścili...

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - mówił do braci, którzy ubolewali nad nim. - Widocznie Niepokalana sobie teraz nie życzy, żebyśmy wydawali pisemko. Będziemy Jej służyć inaczej. A gdyby mnie zabrakło, proszę was, zachowajcie połuszeństwo i ubóstwo zakonne. Pamiętajcie, że dla Niepokalanej wszystko trzeba poświęcić...

- Ja pragnę - powiedział raz - i chciałbym być starty na proch dla sprawy Niepokalanej, dla sprawy Bożej, a ten proch, żeby wiatr rozniósł po świecie, żeby z tego nic nie pozostało. Wtedy dopiero będzie zupełne dopełnienie ofiary dla Niepokalanej.

Czas ofiary się zbliżał.

Nadszedł styczeń 1941 roku. W niedzielę ludzie wychodzili z kaplicy po Mszy świętej. Nagle zajechały zielone budy i wyskoczyli z nich Niemcy. Ludzie z krzykiem rozbiegli się, ale furta była obstawiona. Nie było dokąd uciec. Złapano ich. Skopani, pobici stali na mrozie, czekając, aż ich załadują na auta.

Ojciec Maksymilian patrzył na to i serce mu się krwawiło.

- To ten Ratajczak nasłał tu gestapo, to nasz zły duch - mówili bracia.

Ojciec Maksymilian postanowił rozmówić się z nim, ale przedtem nakazał braciom, aby się modlili za Treuh-andera majątku Teresin.

Wkrótce nadarzyła się sposobność. Przyjechał bryczką w rosłe konie, z kobietą. Była bardzo bezczelna - prawdziwa volks-deutschka. Weszła bez pytania za kłazurę i do celi ojca Maksymiliana. Za nią wszedł Ratajczak.

- Ilu jest braci? Ma być w Niepokalanowie pięćdziesięciu. Ojciec przyjmuje wszystkich. Tak słyszałem. Pewnie jest najmniej stu.

- Oni tu mieszkali - tłumaczył ojciec Maksymilian - muszę ich przyjąć. Nie mają się gdzie podziać.

- My tu zrobimy porządek.

- Tak jak w niedzielę? - spytał ojciec Maksymilian, czerwieniąc się nagle. - Jak tak można?! Ludzie przyszedli spokojnie do kościoła. Tak ich łapać! Jak psów bić pałkami - starców, kobiety, dzieci, kogo popadło. To taka jest kultura niemiecka?!

- Co? ksiądz mówi takie rzeczy? Ja mogę księdza zaraz kazać aresztować.

- Wiem o tym - rzekł spokojnie ojciec Maksymilian.

- No, my nie jesteśmy tacy straszni. Z Polakami nie można inaczej - powiedziała kobieta. - Chodź do dentysty.

- Jak się nazywa ten brat, co leczy zęby?

- Brat Sofroniusz - odrzekł ojciec Maksymilian.

Po ich wyjściu zamyślił się głęboko.

- Prędzej, czy później wypędzą nas stąd, to pewne. Trzeba coś radzić.

W kilka dni później, wieczorem, wezwał do siebie braci Pelagiusza i Rufina. Brakowało jeszcze brata Beniamina, więc poszli po niego.

- Bracia drodzy, coś nam grozi - mówił ojciec Maksymilian. - Może nic z tego nie będzie, ale musimy zachować ostrożność i pomyśleć o pewnej wyprawie dla braci. Nie mówcie im nic. Niech będą spokojni, ale my musimy za nich myśleć. Czy mają jaką taką odzież, żeby mogli przetrwać zimę? Czy mają obuwie? Niech bracia to wszystko sprawdzą.

W kilka dni wezwał ich znowu i rzekł:

- Wciąż grozi nam niebezpieczeństwo, musimy pomyśleć, gdzie by tych braci umieścić, aby mogli żyć po zakonnemu i pracować na swoje utrzymanie.

Postanowiono, że roześle się braci po pięciu do pobliskich wsi. Będą tam pracować, a jeden z nich będzie przełożonym.

- Ja będę was odwiedzał - mówił ojciec Maksymilian - i będę miał pieczę nad wszystkimi.

Jednak do tego nie doszło. Ratajczak wstawił sobie złote zęby i powoli się udobruchał. Ojciec Maksymilian dał mu nawet medalik Matki Boskiej, a Ratajczakowa przysłała ojcu kawałek placka, który zaraz kazał podzielić między braci.

- Módlcie się za niego - mówił ojciec Maksymilian. - Na razie nic nam nie grozi, ale na mnie to Niemcy są bardzo cięci. Będzie, jak Niepokalana zechce. Chciałbym Ją ukazać wszystkim ludziom - mówił. - Jest tak piękna. Niech Ją wszyscy poznają. Niech Ją cały świat kocha i sławi - podniósł przy tym ręce do góry i oczy. Te jego mądre, dobre oczy pełne były światła.

XXXVIII. Pożegnanie

- Ja już tej wojny nie przeżyję - powtarzał ojciec Maksymilian.

A jednak żył. Wszelkimi siłami starał się utrzymywać jak najwięcej braci w klasztorze i zapewnić im prawidłowe życie zakonne.

- Drogie dziecko - mówił do jednego z nich - gdybym wiedział, że jutro mają nas wszystkich rozpędzić, tobym dziś jeszcze tego braciom nie mówił. Niech będą spokojni. To, co od dziś do jutra zyskają w klasztorze, więcej znaczy niż wszystko inne. Po jednym dniu spędzonym dobrze w klasztorze można iść śmiało na szubienicę.

Toteż wszystkie wysiłki ojca Maksymiliana zmierzały do tego, aby dni były dobrze spędzone.

- Dziecko drogie, czy jesteś gotowy na wszystko? - spytał kiedyś jednego z braci.

- Tak, z pomocą Bożą staram się o to - odpowiedział brat, trochę zaskoczony pytaniem.

- To dobrze, to dobrze, dziecko.

Można było zauważyć u ojca Maksymiliana wielką dokładność i pilność w spełnianiu obowiązków codziennych.

Tak, on był gotowy. Miał przed sobą tylko dzień dzisiejszy i żył nim w pełni, chciał o wszystkim wiedzieć, wszystkim zaradzić, aby Niepokalana była z niego zadowolona.

- Ja za was, moje dzieci, odpowiadam przed Niepokalaną - mówił.

W niedzielę wieczorem przyłączył się na rekreacji do grupki braci. Rozmawiali przeważnie o sprawach duchowych.

- Pan Bóg spełnia wszystkie życzenia duszy szczerze Go miłującej - powiedział do nich.

- Czy to prawda, proszę ojca? - spytał brat Marcelli.

- Tak, to prawda - odpowiedział ojciec Maksymilian z powagą i dał jako przykład życie świętej Teresy z Lisieux.

- Pan Bóg może spełnić wszystko, bo jest wszechmocny, i chce spełnić, bo kocha tę duszę i oddaje się jej, jak ona Jemu się oddaje, tak, że między duszą a Bogiem istnieje przepływ i odpływ miłości. Jakie to wielkie szczęście - mówił ojciec Maksymilian - wielka łaska, gdyby można przypieczętować nasz ideał własnym życiem.

W poniedziałek rano 17 lutego 1941 roku ojciec Maksymilian jak zwykle wezwał do siebie brata Arnolda. Dyktował mu książkę o Niepokalanej, która wciąż jeszcze nie była skończona. Chodząc po celi, snuł myśli, które miały być przelane na papier.

- Czy ci nie ciężko tak pracować, drogie dziecko? Ciągłe ci przerywam, coś poprawiam.

- Ciężko? dla Niepokalanej? - zareagował żywo brat Arnold. - Ja bym chciał Jej służyć, ale nie wiem, czy potrafię. Ja wielu rzeczy nie rozumiem z tego, co ojciec mówi.

- Dziecko drogie, przyjdzie czas, że to wszystko, co ci mówię, zrozumiesz. Ona jest najbliżej Trójcy Przenajświętszej. Cała miłość Boża udziela się stworzeniom przez Maryję i cała miłość stworzeń płynie do

Boga przez Niepokalaną. Ona sama nazwała się Niepokalanym Poczęciem. W Niej łączy się niebo i ziemia, całe niebo i cała ziemia. Odmówmy, drogie dziecko, trzy Zdrowaś Maryjo i Chwała Ojcu na Jej cześć. Niepokalaną najlepiej się poznaje na klęczkach.

Modląc się pochylił głowę aż do ziemi. W kilka chwil później - była wtedy godzina dziewiąta minut czterdzieści pięć - zadzwonił telefon. Ojciec Maksymilian wziął słuchawkę i zdrygnął się.

- Tak? - powiedział zmienionym głosem.

Brat furtian zawiadomił go, że przybyło gestapo.

- Dobrze, dobrze, dziecko, zaraz idę. - Maryja.

Powiedział to już spokojnie i wyszedł pośpiesznym krokiem na spotkanie gestapowców. Było ich pięciu. Czterech w mundurach i jeden cywil. Ojciec Maksymilian przywitał ich uprzejmie i poprosił do swojego mieszkania. Przechodzili przez tory koło tartaku. - Bracia ciągnęli na wózku kloc drzewa, więc ze zwykłą słodyczą kazał im się zatrzymać.

- Poczekajcie, aż panowie spokojnie przejdą.

W celi zaczęła się rozmowa. Zarzucano ojcu Maksymilianowi, że wychowuje młodzież zakonną na przyszłych kapłanów, że prowadził działalność wydawniczą.

Brat Arnold poszedł zawiadomić ojca Urbana Cieślaka i ojca Piusa Bartosika, że ojciec gwardian ich prosi. Przyszedł też ojciec Justyn Nazim i ojciec Antonin Bajewski.

Gestapowcy chcieli obejrzeć działy pracy w Niepokalanowie, więc ojciec Maksymilian ich oprowadzał, wyjaśniał i tłumaczył cel istnienia klasztoru. Słuchali chłodno, a gdy powrócili do celi, było już wiadomo, że mają rozkaz aresztowania ojców. Ojciec Jerzy Wierdak został naznaczony przełożonym i miał pilnować porządku.

O godzinie jedenastej z minutami ojciec Maksymilian ubrał się w płaszcz, wziął czapkę i laskę do ręki. Z dwóch stron stanęli gestapowcy i powoli wyszli na ulicę. Brat Arnold zwrócił się do szefa gestapo z prośbą, że chciałby także jechać. Odpowiedziano mu, że jest za młody, zresztą ojcowie niedługo wrócą.

Na drodze, obok budynku zwanego "kwadratem", czekały na nich dwa duże samochody osobowe z napisem "Pol".

Ojciec Maksymilian spojrzął jeszcze raz na będących w pobliżu braci, na figurkę Niepokalanej, stojącą na dziedzińcu na wprost jego mieszkania. Był bardzo poważny, na twarzy jego malował się smutek i ból. Usta poruszały się w cichej modlitwie.

Aresztowanych poprowadzili Niemcy w stronę "Kwadratu".

Gdy już wszyscy siedzieli w samochodach, przybiegł brat Pelagiusz i podał teczkę z żywnością.

Ojciec Maksymilian otworzył okno samochodu i skinieniem głowy pożegnał ojca Jerzego i pozostałych braci.

O godzinie jedenastej minut pięćdziesiąt samochody ruszyły w stronę Warszawy.

XXXIX. Zwycięstwo

Na Pawiaku.

Zamknęły się ciężkie drzwi więzienne. Ojcu Maksymilianowi i jego aresztowanym współbraciom początkowo pozwolono chodzić w zakonnym ubiorze, ale ta okoliczność była właśnie powodem do stosowania wobec nich wyjątkowych szykan. Po pewnym czasie ojciec Maksymilian zgodził się, aby jego towarzysze zamienili habity na strój więzienny. Sam jednak nadal nie rozstawał się z szatą zakonną.

Wkrótce przeniesiono go do celi 103. Przebywało w niej dwu innych więźniów, spośród których jeden był wyznawcą religii Mojżeszowej. Szybko zaprzyjaźnili się z ojcem Kolbem, który umiał ich zainteresować rozmową na różne tematy. W takiej atmosferze może by nawet zapomnieli, że są w więzieniu, gdyby nie dochodziły ich z sąsiednich cel przeraźliwe jęki więźniów, którzy powrócili z tortur. Mimo woli narzucała się przytłaczająca myśl o Palmirach, gdzie odbywały się egzekucje ofiar niemieckiego terroru.

Pewnego dnia otwierają się nagle drzwi celi oznaczonej numerem 103. Zjawił się gestapowiec w randze Scharf-uhraera, a spostrzegłszy ojca Maksymiliana w habicie zakonnym wpadł natychmiast w szał. Jego straszna twarz nabrzmiała wściekłością. Oczy zaszyły krwią. Ojciec Maksymilian stał przed nim wyprostowany, z przymrużonymi oczyma. Niemiec wydał z siebie jakiś chrapliwy głos. Plugawe, ordynarne słowa zdawał się wypluwać ze skrzywionych szkaradnie ust. Szarpnął raz i drugi za krzyż od koronki i wykrztusił z siebie.

- I ty wierzysz w to... w to... ty... klecho?

- Wierzę - odpowiedział spokojnie ojciec Maksymilian.

Niemiec z furią uderzył go w twarz. Z całej siły - raz, drugi, trzeci. Kapłan pochylił się i zachwiał, poczuł w ustach krew.

- A teraz wierzysz?

- O tak, wierzę całym sercem.

Co za wściekłość! Ach, to bestia, która szaleje. Naciera coraz bliżej. Ojciec Maksymilian odpycha ją tym jednym słowem: Wierzę.

Zatoczył się, ale to nic. Gestapowiec bije go teraz po głowie pięściami.

Twarc ojca pokryły sinopurpurowe plamy, puchnie w oczach.

- Wierzę, wierzę! - powtarza.

To słowo jest jak błysk miecza. Zwycięzył.

Niemiec trzasnął drzwiami i wybiegł z celi jak wściekły. Nic nie wskórał. Więźniowie patrzą na to ze zgrozą.

Ojciec Maksymilian wstaje z trudem i uśmiecha się. Ktoś podał mu rękę, dźwiga.

- Ojciec twarz ma spuchniętą, zniekształconą - odezwał się drugi towarzysz współczującym głosem.

- Nie martwcie się o mnie - mówi, choć każde słowo sprawia mu ból nieznośny. - Macie przecież dosyć swoich zmartwień. Mnie się nic nie stało. To dla Niepokalanej...

Spokojny jak zawsze, nawet pogodny, bierze w ręce koronkę i zaczyna chodzić powoli, potem prędzej...

- Ach, ten krzyżyk. Jakże jest drogi teraz...

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie.

Święć się Imię Twoje...

Przyjdź Królestwo Twoje...

Bądź wola Twoja...

- Ojciec jest chory?

- Nie, mnie nic nie jest.

- Ależ tak. Ojciec pójdzie do szpitala - mówił pielęgniarz. Służba sanitarna postanowiła skorzystać z okazji, żeby go ratować.

- No, to pójdę, jak chcecie - zgodził się z uśmiechem.

W szpitaliu lekarze stwierdzili zapalenie płuc.

Leżał i modlił się.

Chcieli mu trochę dogadzać. Nie zgodził się.

- Żadnych wyjątków. Są słabsi ode mnie. Dajcie im.

Jako ozdrowieniec ojciec Maksymilian zgłosił się do pracy w bibliotece więziennej. Teraz miał większe szanse do apostołstwa, do roztoczenia opieki duchowej nad współwięźniami, zwłaszcza nad tymi, którzy storturowani i przygnębieni wracali ze śledztwa. Spowiadał ich w nocy, pocieszał, mówił o Niepokalanej i modlił się razem z nimi. W Wielkim Poście urządził nawet rekolekcje dla swoich najbliższych współtowarzyszy.

Pogodny, ufny, rozmodlony dodawał więźniom ducha.

Był wśród nich jak żywe świadectwo prawdy Bożej i miłosierdzia.

XL. Korona chwały

28 maja przyszedł rozkaz wyjazdu do Oświęcimia. Ojciec Maksymilian dostał tam pasiak, stare chodaki i numer 16.670. Pozornie niczym się już nie różnił od tysięcy skazańców.

Był zawsze głodny, pogryziony przez wszy, gnany biegiem do pracy, upadał pod ciężarem dźwiganych belek. Bili go bykowcem, kopali podkutymi butami, grozili śmiercią.

Nie miał żadnych praw człowieka, tak jak wszyscy, a jednak różnił się od innych. Gdy jego towarzysze, biegnąc po miskę wstrętnej zupy, popychali się, kłócili, on cierpliwie czekał na swoją kolej i dzielił się z nimi chlebem. Bardziej głodnym ustępował lepsze miejsce. Uśmiechał się, gdy inni złorzeczyli i przeklinali albo załamywali się z rozpacz. Modlił się za siebie i za nich.

Zachował się jego list do matki z dnia 15 czerwca 1941 r. Pisany przepisowo po niemiecku.

"Kochana Mamo! - Z końcem maja przyjechałem z transportem do obozu w Oświęcimiu. Powodzi mi się dobrze. Bądź spokojna. Mamusiu, nie troszcz się o mnie ani o moje zdrowie. Bóg jest wszędzie obecny i z wielką miłością czuwa nad wszystkimi i nad wszystkim... Lepiej, żebyście na razie do mnie nie pisali, gdyż nie wiem, jak długo tu zostanę".

"Krwawy, Krott", kat Oświęcimia, postanowił wykończyć księży.

Komando "Babice" było odległe 8 kilometrów od obozu. Mieli tam grodzić płot. Pół kilometra trzeba było na obitych, pokrwawionych plecach dźwigać faszynę. Więźniowie padali, brak im było sił. Wówczas zaczynały się sypać razy. Rozlegał się wrzask Niemców. Kapo Krott upatrył sobie ojca Maksymiliana. Kazał mu dźwigać podwójny ciężar. Kiedyś rozkrwawił mu nos i pobił ciężko. Nie mógł znieść tego "klechy", który nie dał się ugiać. Patrzył prosto w oczy. Spojrzenie miał jasne, przenikliwe, nigdy nie narzekał i nie prosił o łaskę. Złamać go za wszelką cenę. Poniżyć, wdeptać w ziemię to człowieczeństwo, w którym duch jest nieugięty i wolny, chociaż ciało wyniszczone i chore. Pewnego dnia skopał go, a podczas przerwy obiadowej polecił wymierzyć mu pięćdziesiąt uderzeń kijem. Zbitego do nieprzytomności wrzucił do błota i przykrył gałęzmi. Wieczorem odnaleźli ojca Maksymiliana koledzy i przynieśli na wpół żywego do szpitala obozowego.

W baraku miał najgorsze miejsce przy drzwiach. Sam sobie je wybrał.

- Tędy wnoszą w nocy zmarłych, to będę im błogosławił - powiedział. - Nie bójcie się o mnie. Niepokalana mi pomaga.

Jakoż był niestrudzony. Spowiadał po nocach, nauczał i pocieszał, obejmował nieraz jak matka, tulił i przyciskał do serca. Gdy go wzięli do szpitala - wprawiał w podziw swoją mężną postawą. Nawet Niemcy o nim mówili, że to jest niezwykły ksiądz.

Potem wzięli go na blok 14 i przeznaczili do obierania ziemniaków. Kierownikiem był pan Bolesław Świdorski. Chciał on pomóc ojcu Maksymilianowi, ale ten dziękował serdecznie i odmawiał.

- Dlaczego ja mam się wyróżniać spośród innych? Oni też potrzebują - mówił. - Wy jesteście młodzi, będziecie uratowani. Módlcie się tylko z ufnością do Niepokalanej.

W niedzielę po południu zbierali się potajemnie polscy księża na wspólne modlitwy i konferencje. Zaszyli się w ciemny kąt za barakiem. Nad nimi widać było skrawek nieba. Lipcowe słońce przygrzewało. Chudzi, wynędzniali siedzieli w ohydnych pasiakach. Ojciec Maksymilian mówił o stosunku Niepokalanej do Trójcy Świętej.

- Istota Niepokalanego Poczęcia uwidacznia się dopiero w świetle tajemnicy życia Bożego. Ona jest Córką Ojca, Matką Syna, Oblubienicą Ducha Świętego. Bóg przez Jej ręce spuszcza na ziemię obfitość łask wysłużonych przez Chrystusa. Całe nasze życie, każda myśl, słowo, uczynek, jest w Jej ręku... Ona sama musi każdego z nas i w w każdej chwili pouczać, prowadzić, przeobrażać w siebie, byśmy już żyli nie my, ale Ona w nas, jak Jezus żyje w Niej i Ojciec w Synu...

Oto wyrwał ich na chwilę z piekła Oświęcimia. Pociągnął za sobą, ukazał niewysłowione piękno Maryi. Siedzieli cisi, jakby przytłoczeni ogromem tych myśli.

- Są to niezgłębione tajemnice, gubi się w nich rozum skończony. Niepokalana odsłania ich rąbek tylko tym, którzy Ją pokornie proszą na klęczkach.

Ojciec Maksymilian skończył. Przez chwilę panowało milczenie. Słońce pochyliło się już ku zachodowi i świeciło prosto na niego. Siedział wzruszony z twarzą pogodną, jak to polskie, letnie przedwieczere.

W parę dni później z bloku czternastego uciekł więzień. Wiedzieli, że pozostałym grozi za to straszna kara. Za jednego dziesięciu szło na śmierć. W nocy nikt nie spał. Niektórzy spowiadali się u ojca Maksymiliana, klęcząc przy jego pryczy.

Pocieszał ich:

- Nie bójcie się. Niebo jest blisko, a w niebie czeka nas Matka Niepokalana.

Na drugi dzień zarządzono karny apel.

Stali na baczność w skwarze lipcowego słońca. Mijała godzina za godziną. Od wczoraj nic nie jedli. Nie wolno wyjść z szeregu. Ale i stać nie ma sił. Coraz to ktoś zachwieje się i pada. Esesmani wyciągają omdlałych, o twarzach nabrzmiątych i sinych. Ci, co jeszcze stoją w szeregach, wyglądają nie lepiej. Każdy z nich czeka na śmierć. Ojciec Maksymilian stoi zatopiony w modlitwie. On, rycerz Niepokalanej, nie czuje, że słońce pali, że głód skręca mu wnętrzności, że nogi stały się jak dwie ciężkie bolące kłody. Stoi wyprostowany i modli się. Oto zbliża się czas ostatniej rozprawy. Jest już tylko o krok od śmierci... Komendant obozu Fritzsch zbliżył się do nich.

- Zbieg się nie znalazł - mówi przez zęby. - Za jednego dziesięciu zginie. W bunkrze głodowym - słyszycie?

Lagerf~uhrer jest straszny. Małe oczki iskrzą się złowrogo. W twarzy widać tępotę i okrucieństwo. Jakaś piekielna radość, że się go boją, tak bardzo. Muszą się bać... bo inaczej... Na dnie jego nikczemnej duszy czai się także strach. Jeszcze gorszy. Ojciec Maksymilian patrzy spod przymrużonych powiek. Tak mu żal tych ludzi. Nawet Niemców mu żal. Fritzsch idzie wzdłuż szeregu i wskazuje palcem:

- Ten.

Przyboczny Palitzsch zapisuje numer.

- Jeszcze ten... i ten.

Ominęli ojca Maksymiliana. Nagle tuż koło niego ktoś jęknął.

- Nie zobaczę już mojej żony i dzieci - szlochał młody sierżant 36 Pułku Piechoty, Gajowniczek.

- Taki młody - myśli ojciec Maksymilian ze współczuciem.

I nagle decyduje się. Wyszedł z szeregu... Idzie prosto do komendanta.

- Stój! Czego chcesz? - wrzasnął Fritzsch i chwycił za rewolwer.

Przed nim stał już wyprostowany, pełen godności ojciec Maksymilian.

- Chcę pójść na śmierć za jednego ze skazanych - rzekł spokojnie.

Fritzsch osłupiał. To rzecz niesłychana. Ktoś mówi nie pytany. Nie boi się go. Ten jasny wzrok przeszywa go aż do głębi.

- Dlaczego? - pyta niepewnie.

- Jestem stary i schorowany - mówi ojciec Maksymilian - a on ma żonę i dzieci.

- Za kogo chcesz iść do bunkra?

Ojciec Maksymilian palcem wskazuje Gajowniczkę.

Jeńców ogarnia podziw. Wspinają się na palce, chcą ujrzeć, kto jest tak szalony, aby wybrać śmierć głodową zamiast nadziei powrotu.

- Kto ty jesteś? - pyta zdumiony Fritzsch.

- Ksiądz katolicki.

Fritzsch odwraca głowę. Nie może ścierpieć spojrzenia jasnych, mądrych oczu. Jest ogłupiały i wściekły.

- No, to idź! - mówi nieswoim głosem.

Palitzsch daje rozkaz:

- Marsz!

I kolumna dziesięciu skazańców wyrusza w milczeniu do bunkra.

Idąc ojciec Maksymilian podtrzymywał słabego towarzysza. Zmierzchało się. Na niebie rozpostarły się czerwone smugi, które z wolna przeszły w fiolet i zgasły.

Za ojcem Maksymilianem zatrasnęły się drzwi śmierci.

Więźniowie w ponurym milczeniu rozeszli się do swoich baraków. Nikt prawie nie spał. Nagle ci, co mieszkali nad bunkrem, usłyszeli śpiew... Z daleka, jakby z grobu, płynęła pobożna pieśń.

Mijała dzień za dniem. Coraz częściej dyżurny więzień wynosił zmarłych. Reszta konała. Leżeli nadzy na zimnym cemencie, wijąc się w głodowych męczarniach. Tylko ojciec Maksymilian chodził jeszcze po celi, stał albo klęczał, modląc się.

Ciągle był zajęty. Rano - rozmyślanie na klęczkach. Duchowe uczestnictwo we Mszy świętej. Komunia z Panem. Jakże piękne, radosne były słowa liturgii: "Wstępuję do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela młodość moją". Już tak blisko przed nim nieskończona szczęśliwość posiadania Boga, wolność doskonała, zjednoczenie z wieczną ofiarą Chrystusa. Niepokalana spełniła jego najśmielsze marzenia, więc w zimnej, cuchnącej celi, pełnej jęków i grozy konania, dziękował na klęczkach i miłość zalewała mu serce powodzią łaski. Cały dzień zajmowało mu postugiwanie braciom_skazaniom, wypowiadał ich, zaopatrzył na śmierć. Mówił do nich:

- Drogie dzieci! Spokojnie, spokojnie. Zaufajcie Niepokalanej. - Śmierć nie jest straszna.

Tak samo mówił w Niepokalanowie i w Japonii. A teraz musi wypełnić swoją ostatnią misję. Klęczy wśród nich i odmawia różaniec.

Kat Oświęcimia Bock otrzymał rozkaz wykończenia tych, co jeszcze żyli w bunkrze. Gdy Niemcy weszli, ojciec Maksymilian siedział wsparty o ścianę. Oczy miał otwarte, twarz jasną. Był czysty i wydawało im się, że z umęczonego ciała promienieje światło.

Gdy Bock zbliżył strzykawkę z fenolem, ojciec Maksymilian podniósł rękę i uśmiechnął się .

Było to 14 sierpnia 1941 roku, w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Nazajutrz, w samo święto, przewieziono ciało ojca Maksymiliana do krematorium i wkrótce jego prochy wiatr rozniósł na cztery strony świata, aby, jak ziarno pszeniczne rzucone w ziemię, wydały plon obfity.

XLI. Twórcza miłość

Prochy ojca Maksymiliana wiatr rozniósł... ale zostało po nim to, co najcenniejsze: przykład ogarniającej wszystkich, bezinteresownej, czynnej miłości.

"Nienawiść nie jest twórcza - powiedział kiedyś do braci - tylko miłość jest twórcza". I miłość zwyciężyła.

"W tych okrutnych czasach cicha postać ojca Maksymiliana jest jednym z punktów gorejących, może najbardziej świetlistych, o niezłomnej, choć na pozór paradoksalnej ufności" - powiedział o nim Ojciec święty Paweł VI.

Starania o beatyfikację ojca Maksymiliana, rozpoczęte wkrótce po jego śmierci, zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem: 17 października 1971 roku, w 30 lat po męczeńskim zgonie w Oświęcimiu, ojciec Maksymilian Kolbe został uroczystie ogłoszony błogosławionym.

Okazało się wówczas, jak rozległe jest jego dzieło misyjne. Polski Niepokalanów rozwija się dziś zgodnie z jego nowoczesną zasadą apostołstwa: pietyzm w zachowaniu nielicznych pamiątek i dokumentów, ubożuchna Sala Pamiątek i kapliczka, a obok tego piękny kościół o harmonijnej architekturze, świadczący, że osobiste umiłowanie ubóstwa nie sprzeciwia się wymaganiom estetyki i postępu.

O tej aktualności dzieł misyjnych ojca Maksymiliana Kolbego świadczy również znaczenie, jakie Kościół przywiązuje do samej uroczystości beatyfikacji i starań o kanonizację, która dopełni tego uznania i jeszcze bardziej rozpowszechni na świecie idee apostołskie założyciela Rycerstwa Niepokalanej.

Nie zdarzało się dotychczas, aby Ojciec święty brał osobiście udział w samej beatyfikacji, trzeba więc było opracować nową formułę obrzędów. Ojciec św. Paweł VI sam ogłosił uroczystie dekret Kościoła o uznaniu ojca Maksymiliana błogosławionym. Sam koncelebrował ofiarę Mszy świętej i wygłosił homilię, w której ojca Maksymiliana postawił w rzędzie wielkich świętych.

Tę uroczystość uświetniła jeszcze obecność 39 kardynałów i około 300 biskupów, zgromadzonych na synodzie, którzy nie tylko mieli przydać blasku tej niecodziennej ceremonii, ale ponieśli do swoich dalekich krajów sławę polskiego misjonarza.

W bazylice świętego Piotra zebrało się niemało dawnych współpracowników ojca Kolbego: brat Zenon Żebrowski, ojciec Mieczysław Mirochna i wielu innych współbraci z polskiej Japonii, a także ocalony przez niego Franciszek Gajowniczek. Przyjechał ojciec Pignaberi - jedyny żyjący z siedmiu założycieli Milicji Niepokalanej, świadek młodości, żarliwej pobożności rzymskiego studenta. Przybył też korpus dyplomatyczny, akredytowany przy Watykanie, oraz delegacja polskich władz państwowych: dr Aleksander Skarżyński, podsekretarz stanu, dyrektor Urzędu do spraw Wyznań, i Wojciech Chabasiński, ambasador PRL przy Kwirynale. Bazylikę wypełnił różnorodny tłum wiernych (około 30 tysięcy): pielgrzymki z misji franciszkańskich w Ameryce, Afryce i Azji, z włoskich diecezji, parafii, a przede wszystkim licznie reprezentowany japoński "Ogród Niepokalanej".

Kto nie dostał się do bazyliki, pozostał na placu przed bazyliką. Ilość przybyłych na uroczystości beatyfikacyjne szacuje się na 150 tysięcy ludzi.

Bazylika św. Piotra przedstawiała tego dnia szczególny obraz, jakby symbol tych uniwersalnych planów misyjnych ojca Maksymiliana: "zdobyć cały świat dla Chrystusa - przez Niepokalaną". Był to również triumf i radość dla nas, Polaków. To Polska wydała tego giganta świętości, wzór dla Kościoła Powszechnego, Polska odznaczająca się niezłomną wiarą i ufnością w cudowną opiekę Niepokalanej.

Od chwili przyjazdu, czy przylotu mostem powietrznym (co też ma swój urok), wszędzie na ulicach Rzymu można było zobaczyć Polaków, z ich wyraźną odznaką o barwach narodowych: dwie korony i napis Polska.

Twarze mają radosne, ale i uroczyste zarazem. Można powiedzieć, że są szczęśliwi, tak żywo odczuwają swoje wzruszenia i chłoną niecodzienne przeżycia.

Już od rana w niedzielę tłumy gromadzą się na placu św. Piotra i w bazylice. Gwardia papieska starannie sprawdza bilety wejścia, na szerokich schodach coraz gęściej od różnokolorowych pielgrzymów.

Polacy wypełnili ciasno transept z jednej i drugiej strony konfesji św. Piotra. Jest ich dużo, kilka tysięcy. Czują się jak u siebie, w domu Ojca. Nagle ponad szmer rozmów wznosi się polski śpiew maryjny: "Serdeczna Matko". Wypełniają tym śpiewem całą bazylikę i tak już będzie do końca uroczystości: w czasie Ofiarowania i Komunii św. Szczerłość, wzruszenie i żarliwość uczuć nadają jakiś ciepły ton całej Uroczystości.

W bazylice palą się wszystkie światła.

O godzinie 9.30 od strony głównego wejścia zbliża się Ojciec święty w ornacie i mitrze, opierając się na wysokim krzyżu. Idzie powoli. Przed nim kardynałowie i biskupi, którzy mają koncelebrować Mszę świętą razem z Papieżem: prymas Polski, kardynałowie Wojtyła z Krakowa i Król z Filadelfii, arcybiskup Shirayanagi z Tokio, biskup włocławski Zaręba i generał zakonu Ojców Franciszkanów - ojciec Heiser.

Zrywają się spontaniczne oklaski i zwyczajem włoskim głośne okrzyki: "Evviva il Papa!", które w miarę zbliżania się Ojca świętego do ołtarza przechodzą w polskie: "Niech żyje!", a następnie w śpiew pieśni religijnej.

Ale już Chór Sykstyński śpiewa psalm 20 i rozpoczyna się Msza święta. Po "Kyrie" następuje sam akt beatyfikacji. Ojciec święty siada na tronie papieskim, przed ołtarzem, a sekretarz Kongregacji do spraw Świętych msgr Antonelli odczytuje po łacinie prośbę o ogłoszenie ojca Maksymiliana Marii Kolbego - polskiego franciszkanina - błogosławionym. Tę samą prośbę powtarza po polsku biskup Rubin.

W odpowiedzi na to sam Ojciec święty Paweł VI wygłasza formułę beatyfikacji:

"My, spełniając życzenia wielu braci naszych biskupów, całego zakonu braci mniejszych konwentualnych i licznych wiernych, mając uprzednio uchwałę świętej kongregacji do spraw świętych, po dojrzałej rozwadze i po uproszeniu świata z wysokości, mocą i powagą naszą apostołską czcigodnego sługę Bożego Maksymiliana Marię Kolbego, kapłana wspomnianego zakonu braci mniejszych konwentualnych, w poczet błogosławionych wpisujemy, udzielając upoważnienia, aby jego święto w dniu jego narodzin dla nieba 14 sierpnia, w miejscach i w sposób ustalony przez prawo, corocznie można było obchodzić.

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego".

W złocistej "Glorii" Berniniego odsłania się powoli obraz, przedstawiający nowego Błogosławionego, Pośrednika u Boga.

Zrywa się burza oklasków. Ale już Ojciec święty intonuje "Gloria..." i kilka tysięcy głosów podejmuje na przemian z chórem tę pieśń chwały, pieśń dziękczynną za powołanie do chwały nieba skromnego zakonnika franciszkańskiego, który ofiarował się na dobrowolną śmierć z miłości dla Niepokalanej. Msza święta odprawia się dalej. Następują czytania - po polsku i włosku, i po łacinie Ewangelia według świętego Jana (rozdział 15).

Potem Ojciec święty wygłasza homilię o Błogosławionym. Mówi, że "Kościół uznaje w nim kogoś zupełnie wyjątkowego, w nim łaska i natura spłoty się tak przedziwnie, że powstało arcydzieło świętości. To, co

Boże i to, co ludzkie łączy się nierozzerwalnie i kształtuje stopniowo szczególny wymiar wielkości moralnej i duchowej, nieodparty pęd ku szczytom doskonałości, który nazywamy świętością".

"Cechą oryginalną mariologii ojca Kolbego jest wyjątkowe znaczenie, jakie przypisuje Maryi wśród obecnych potrzeb Kościoła; wiara we wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny i obecność Jej macierzyńskiej miłości". Ojciec święty mówi o postawie ludzkiej, społecznej i narodowej błogosławionego ojca Maksymiliana Kolbego.

Cytując jego słowa: "Tylko miłość jest twórcza" - Ojciec święty dodaje: "Te słowa powinny się wyryć w naszych duszach i w nowej historii świata".

Odprawia się ofiara Mszy świętej. Słychać tylko szmer modlitw, odmawianych kolejno przez koncelebrujących biskupów.

W czasie Przeistoczenia zapada w bazylice cisza pełna skupienia i żarliwych modlitw...

Dopiero gdy Ojciec święty zaintonował po łacinie: "Pater noster", z wielu tysięcy ust podnoszą się błagania do Ojca, który jest w niebie: "Sanctificetur Nomen Tuum... Adveniat Regnum Tuum...".

Potem zaczyna się Komunia święta przy śpiewie polskiej pieśni eucharystycznej: "Bądźże pozdrowiona, Hostio żywa..."

Rozśpiewali się Polacy. To nasz polski dzień w sercu Kościoła.

Paweł VI sam udziela Komunii świętej wybranym osobom z Polski i świata. Czterdziestu Franciszkanów udziela Komunii w bocznych nawach.

Gdy Ojciec święty po udzieleniu błogosławieństwa opuścił na sedia gestatoria bazylikę, odpowiadając przyjaznym gestom na owacje, jakie mu zgotowano. Wówczas na pożegnanie ze wszystkich polskich piersi zabrzmiała potężnie pieśń: "Boże, coś Polskę..."

Tymczasem na placu świętego Piotra gęstnieją tłumy. Olbrzymi obraz błogosławionego ojca Maksymiliana widnieje na frontonie bazyliki.

Gdy Ojciec święty ukazał się w oknie, powitały go żywiołowe oklaski i owacje. Jeszcze raz przypomniał zebranym życiorys błogosławionego Maksymiliana Kolbego, odmówił z ludem głośno "Anioł Pański" i uroczyście udzielił błogosławieństwa Urbi et Orbi - miastu i światu.

Wraz z tym błogosławieństwem Rzymowi i całemu światu został ukazany nowy błogosławiony - Maksymilian Kolbe, polski franciszkanin, który w szkole Niepokalanej zdobył naukę, by przekazywać ją ciągle Kościołowi i światu:

"Tylko miłość jest twórcza".